This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Rozmaite Pisma

LUDWIKA KROPIŃSKIEGO

3476

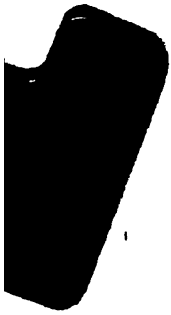

3976

Ludwik Kropiński.

Kropinski, L.

ROZMAITE PISMA

LUDWIKA KROPINSKIEGO

BYŁEGO JENERAŁA WOJSK POLSKICH I WIELU TOWARZYSTW

UCZONYCH CZŁONKA ITD.

LWÓW, STANISŁAWÓW I TARNÓW.

NAKŁAD JANA MILIKOWSKIEGO.

1844.

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
35 UNION SQ. NEW YORK, N.Y.

PG7155
K775A6
1844

JAŚNIE WIELMOŻNEJ PANI

MAGDALENIE

Z HRABIÓW

DZIEDUSZYCKICH

HRABINIE MORSKIEJ,

gorliwej miłośniczce i opiekunce piśmiennictwa ojczystego,

poświęca

wydawca

JAN MILIKOWSKI.

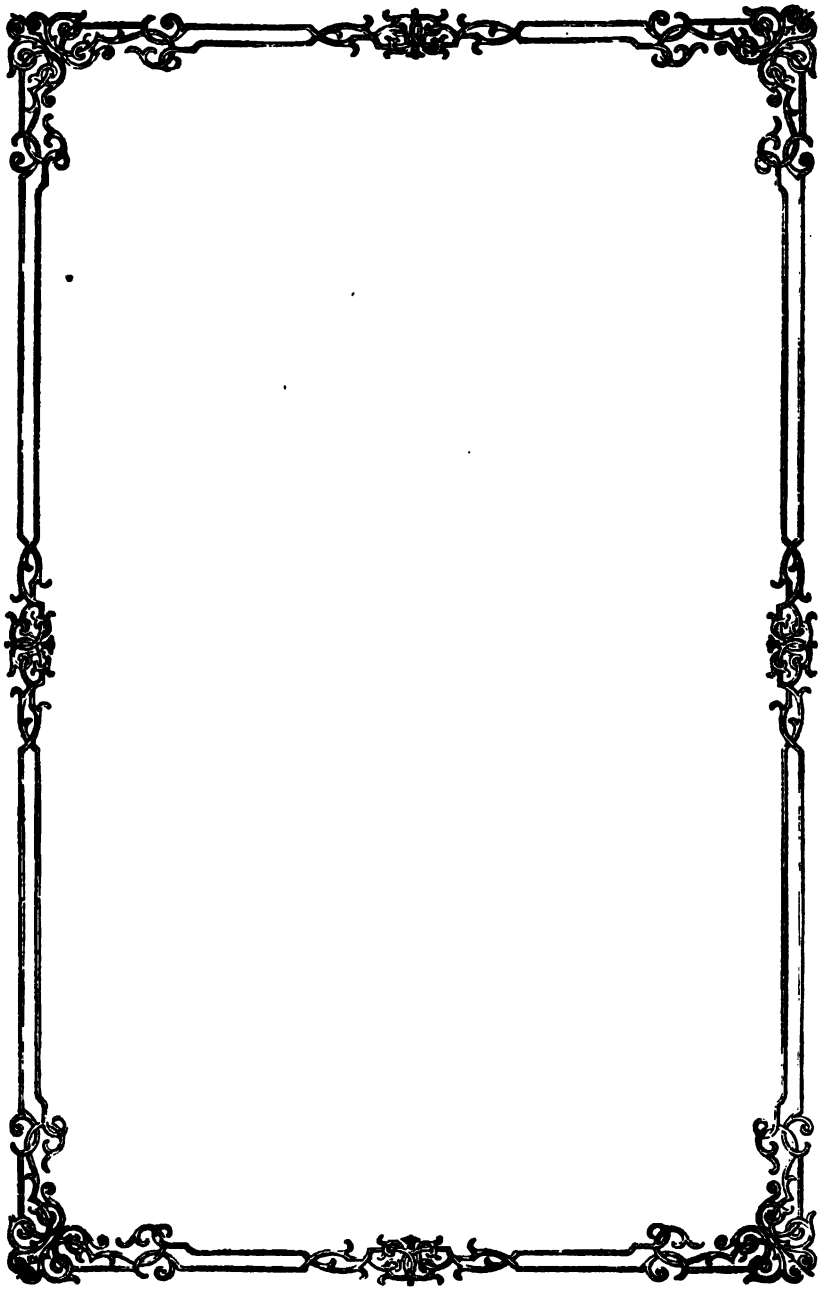

OSTRZEŻENIE.

Gdy niektóre moje wiersze przyjaciołom udzielane, niektóre, przez mniej delikatne osoby, z mych rękopismów wyjęte, w przepisywaniu przeistaczane, zostały w obieg puszczone, a nawet bez mej wiedzy wydrukowane, przymuszony przeto jestem sam udzielić pism moich publiczności, aby i tej małej, jaką mają w sobie, wartości przez omyłki przepisujących nie straciły.

Autor.

DO CZYTELNIKA.

Przez tyle lat kryte, a zawsze chciwie od powszechności żądane, powierzył mi nakoniec autor swoje pisma, zawarte w następnych trzech częściach. Sądzę że czynię przysługę czytelnikom wydając w zupełności to, co przelotnie tylko w ich rękach znajdowało się.

Nie szczędziłem ani kosztu ani trudów, aby wydanie godne było dzieła. Nie wspominam o autorze ani o jego zasługach w literaturze, bo komuż on i pod tym względem zaszczytnie nie jest znany?

Jan Milikowski.

DZIEŁA MIŁOŚCI

CZYLI

MUZ I PĘZLA

ŻARTY.

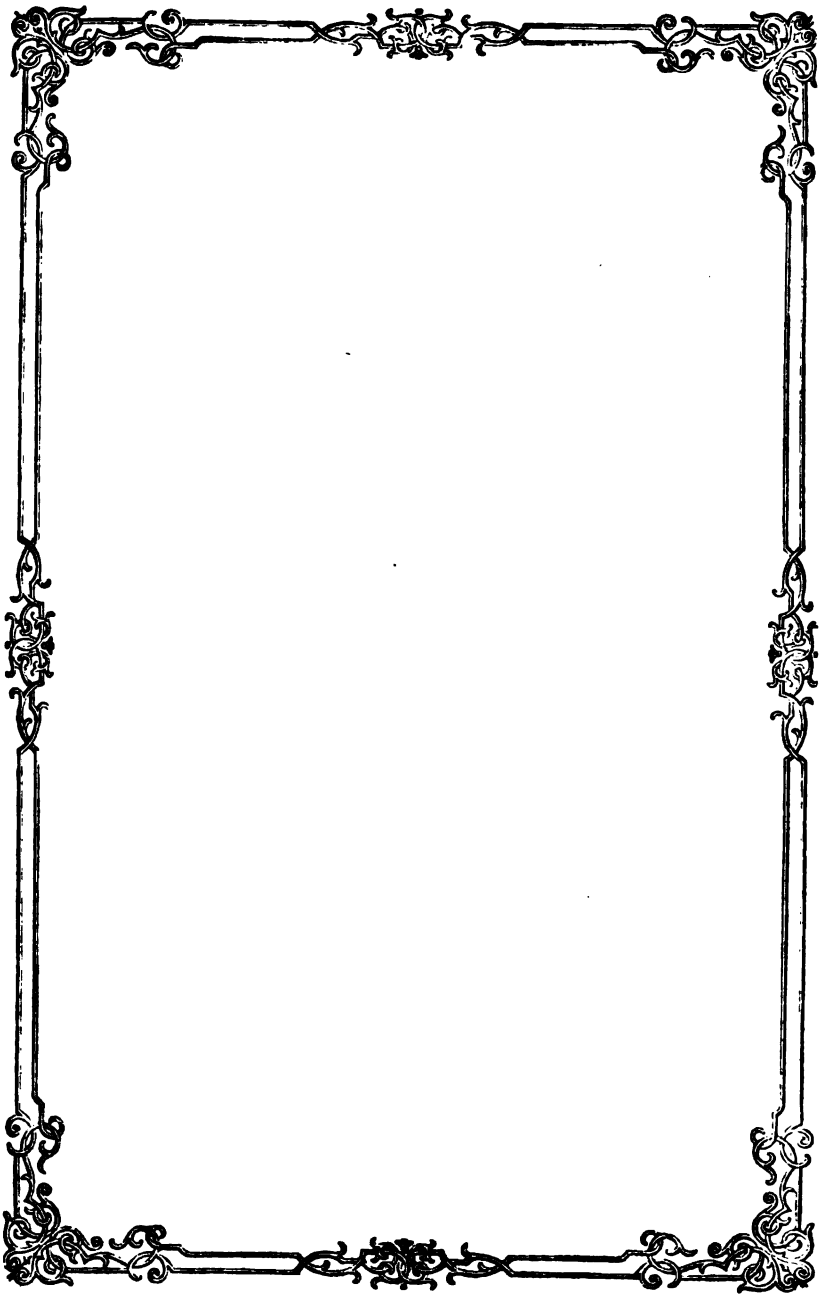

Do czytelnika.

Giovanni Gherardo de Rossi jest autorem dzieła pod tytułem *Scherzi Poetici e Pittorici.* Tego w jednej części jestem tłumaczem z pewnemi odmianami, w drugiej naśladowcą.

Tłumaczyłem i pisałem w pierwszej mojej młodości w czasie pobytu mego we Włoszech w roku 1796.

Autor.

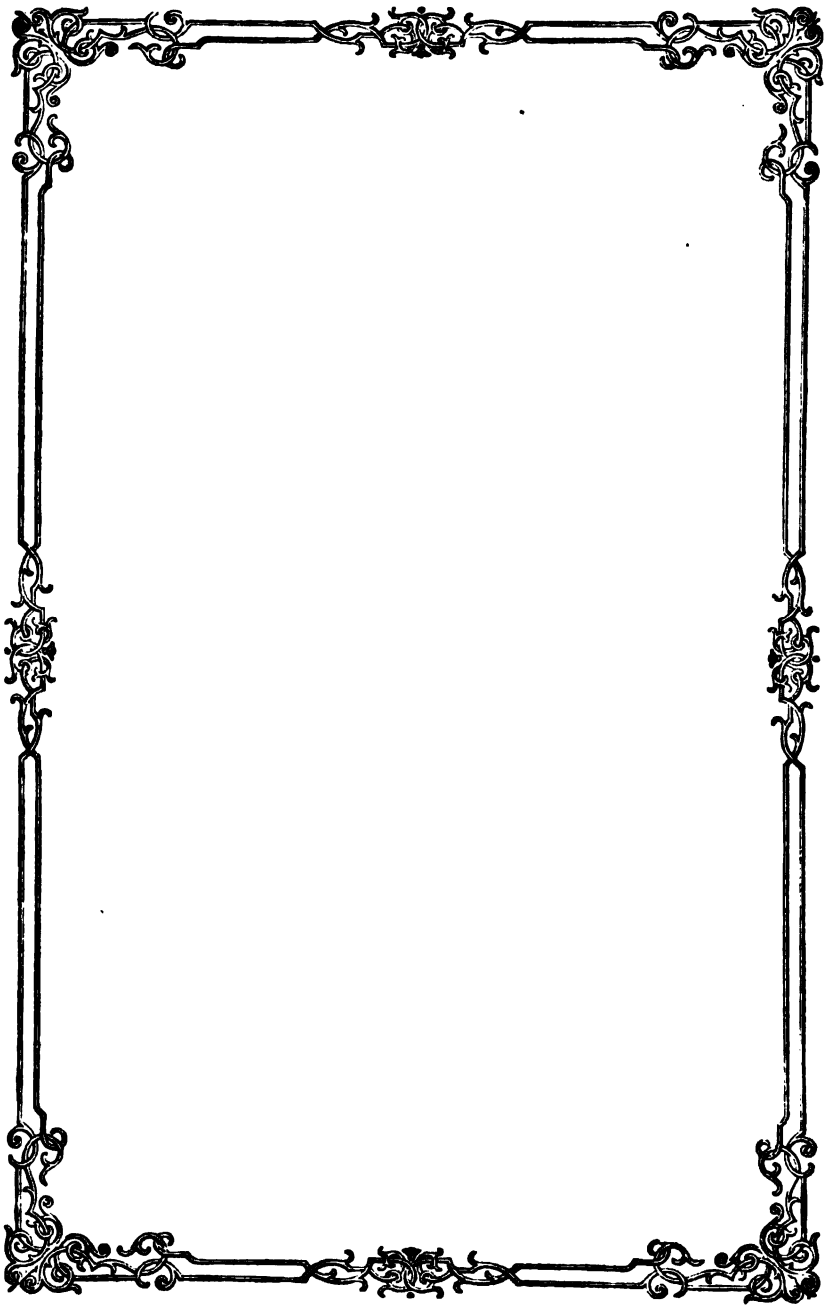

№ 1.
Dzieła miłości.

1.

Do...

Komuż poświęcę tę xięgę,
Co spiewa dzieła miłości?
Tobie, co bez jej lekkości
Masz jej wdzięki i potęgę.

2.

Miłość żeglarzem.

Wzywasz na morze, i już do biegu
Rozpinasz żagiel. Puszczę się z tobą,
Jeśli spokojność mojego brzegu
Zabierzesz z sobą.
Nie dosyć na tem, w szalonym pędzie
Gdy burza zechce ciszę wód skłócić;
Czyli naówczas wolno mi będzie
Do siebie wrócić? —
Rozśmiał się chłopiec, żagiel rozwinął,
I do zuchwalszych popłynął.

Miłość żeglarzem.

Miłość zegarmistrzem.

3.

Miłość zegarmistrzem.

Nie wiem co za przyczyna,
Dał mi zegarek chłopczyna.
Przyjąłem go ku mej biedzie,
On prawie zawsze źle idzie:
W szczęściu leci, a w złej doli,
Powoli.

4.

Miłość artylerzystą.

Po coż, chłopcze niespokojny,
Ciągniesz za sobą, ten piorun wojny?
Porzuć go, ach! twoje strzały
Nigdy serca nie chybiały!

Miłość artylerzysta.

Miłość niema.

5.

Miłość niema.

Wzięła raz chłopca myśl pusta,
Przepaską zdjętą z oczu przewiązać swe usta;
Słowem, całą zmienić postać,
Ze ślepego niemym zostać.
Żart niewinny, żart był krótki;
Ale go drogo przepłacił.
Okropne milczenia skutki!
Co ślepy zyskał, to niemy utracił.

6.

Miłość i wiosna.

Kupido, wiośnie zazdrośny,
Chciał się raz urągnąć z wiosny.
Ujrzawszy różę z lilią
Rzekł: piękne! lecz krótko żyją;
A ta na to, z wzgardą wzroku,
O niegodziwcze skrzydlaty!
Powiedz mi, proszę,
Trwają dłużej twe roskosze
Nad moje kwiaty?
Patrz, na tę różę którąś tak cenił,
Piękna! trwa jeszcze, i w listki się chowa.
Na to się chłopiec bardzo zrumienił
I ani słowa.

Miłość i wiosna.

6.

Miłość i wios

Kupido, wiośnie z
Chciał się raz ur
Ujrzawszy róże
Rzekł: pięk
A ta na t
O niego

Trv

Pa
r

Miłość i lato.

Miłość i lato.

Miłość i lato.

7.

Miłość i lato.

Lato upałem zmęczone,
Chłopca miłości na pomoc wzywa.
Posłuszny, zruca z oczu zasłonę,
I spiekłe lica lekko przykrywa.
Biedne, nie znało
Czego żądało.
Ledwie chłopczyna dotknął się czoła,
Szaleje lato, w szaleństwie woła:
Słońce, ach, słońce niech prędzej wschodzi
I mnie ochłodzi!

8.

Miłość i jesień.

Razem z jesienią chłopczyna
Jął wyciskać gronne wina.
Ale wkrótce wypędzony
W najdalsze od winnic strony:
Praca bowiem nie szła sporzej,
A co gorzej,
Najsłodsze wprzody,
Cierpki sok dały jagody.

Miłość i jesień.

Miłość i zima.

9.

Miłość i zima.

Cożto za ogień? zaledwie tleje,
Siły ci przy nim pokrzepły;
Tą cię pochodnią lepiej ogrzeję,
Płomień jej miły i ciepły.
Na to starzec z uniesieniem:
Znam ja cię, malutki człeku,
Precz odemnie z twym płomieniem,
Nieznośny on w moim wieku.

10.

Kuźnia miłości.

Z pustoty i z ciekawości,
Wszedłem do kuźni miłości.
Tam już jedne w pękach stały,
W rozmaitych kształtach, strzały,
Drugie chłopczyk, w ręku z młotem,
Nabijał złotem.
Z uśmiechem patrząc się na nie,
Mój mały, rzekłem, wulkanie!
Pokaż mi gdzie jest ta strzała,
Co mi serce przebić miała?
Na mój uśmiech wstrząsnął głową
I mruknął z miną surową:
Nieskończona;
Na jutro ci wygotuję.
Właśnie teraz zaostrzona,
W okrucieństwie się hartuje.
Niebaczny! za żart to wziąłem,
Co sobie mruczał chłopczyna.
Przyszło jutro.... i zginąłem....
Resztę niech powie Malwina.
Bo mnie na myśl tej swawoli,
Zawsze jeszcze serce boli.

N°10.

Kuźnia miłości.

Vice gadattiwa.

11.

Nice gadatliwa.

Już też nadto, Nice droga,
Gadatliwąś się zrobiła:
Ach! zaklinam cię na boga,
Bądź zemną jakeś wprzód była.
Czyż w tobie litości niema?
Mów ustami, milcz oczyma.

12.

Miłość i śmiałość.

Ślepy jesteś i mały:
Chybiać będą twoje strzały.
Rzekła matka do chłopczyka.
Lecz troskliwa o twą całość,
Daję ci za przewodnika
Bojaźliwość, albo śmiałość.
Wybieraj, czekają obie.
Wybrał chłopiec śmiałość sobie.
I od tej pory, to dziecię małe
Tak się zrobiło zuchwałe,
Że nie dość że strzały ciska:
Lecz z kochanków bojaźliwych,
Z ich cierpień skrytych i westchnień tkliwych
Czyni urągowiska.

Miłość i śmiałość.

Piękność uwolniona przez czas z więzów miłości.

13.

Piękność uwolniona przez czas z więzów miłości.

Jęczała piękność zamknięta
W miłości pęta.
Czas się nad nią wzruszył
I więzy skruszył.
Szczęśliwa z swojej wolności,
Gdy znow spotkała boga miłości,
On jej zwierciadło wskazuje,
Mówiąc: patrz co cię wolność kosztuje!

14.

Miłość i podejrzliwość.

Raz w zamyśleniu i na ustroni,
Pod dębem, co go okrywał,
Bożek miłości wsparty na dłoni,
Gdy nader długo spoczywał,
Czemś ważnem zajęty cały,
Postrzegł, że ogień w pochodni niknął.
Więc, aby go rozdmuchały,
Na swoje sługi krzyknął.
Lecą ich niezmierne tłumy:
Młodość, wesołość i wdzięki,
Żarty, dowcipy, rozumy,
Tkliwe westchnienia i jęki,
I nadzieja, wszystkim droga,
I niespokojność i trwoga,
Litość, łagodność, i owe
Różne niezgody chwilowe.
Nakoniec, w świetnej ozdobie,
Mistrzynie całego grona,
Obojętności obie,
Prawdziwa i zmyślona.
Dotąd wszystko dobrze, zgodnie,
Chłopczyna trzyma pochodnię;
Każda dmucha,
Płomień bucha,

N.º 14.

Miłość i podéjrzliwość.

Już się pali, już się wzmaga;
Ale chłopca nieuwaga:
Pozwolił podejrzliwości
Dmuchnąć w pochodnię miłości,
I wtedy właśnie,
W samym rozpale, pochodnia gaśnie.
Malwino! drzy serce moje,
Twej nieufności się boję.

15.

Miłość filozofem.

Widząc raz chłopca, jak na ręku wsparty,
W zamyśleniu przewracał starej xięgi karty;
Mniemałem, że już miłość roskoszą znudzona,
Zaczęła czytać Platona,
I że nim przenikniona, już odtąd mieć będzie
Szczęście rodu ludzkiego jedynie na względzie.
Ale cóż? gdy ciekawe oko bliżej sięga,
Spostrzegłem, że to była Epikura xięga.

Miłość filozofem.

Xięga miłości.

16.

Xięga miłości.

Biedna moja dola, biedna!
Lituj się Emino czuła.
Ciekawości chwila jedna,
Wszystkie mi chwile zatruła,
Widząc wczoraj pokryjomu
Wychodzącą ciebie z domu
Do ulubionego gaju,
I ja, choć nie mam zwyczaju,
A nawet, przyznam się, boję
Śledzić skryte kroki twoje,
Wyszedłem: nieba pogodne,
Powietrze chłodne,
I czas do dumania miły,
Wyjść mię złudziły.
Tyś w lewo, sarneczki skokiem,
Zakrętną ścieżką pobiegła;
Ja, myśląc żeś mię postrzegła,
Prosto, i powolnym krokiem,
Idę, patrzę, i szczerze
Dotąd mym oczom nie wierzę,
Widzę na miękkiej murawie,
O kilka kroków odemnie prawie,
Bez nikogo, bez odzieży,
Jakieś małe dziecię leży,

Raczkę pod głoweczką miało,
I jak zabite spało.
Żal mi się zrobił niebogi,
Zchodzę więc ku niemu z drogi,
Pełen tego przedsięwzięcia
Zająć się losem dziecięcia.
Zbliżam się, wpatruję; ale
Widzę co innego wcale.
Oczki związane,
Włoski różnie poskręcane,
Skrzydełka, łuczek i strzały,
Niestety! poznać mi dały
Bóstwo, którego w mem życiu całem
Nigdym nie widział i widzić nie chciałem.
Ach! na to dziwne zdarzenie
Uciekać było potrzeba;
Lecz inaczej chciały nieba.
Takie moje przeznaczenie!
Gdy mój wzrok chciwy,
Z żądzą niewymowną,
Zważa robotę cudowną
Łuczka, strzałek i cięciwy,
Wietrzyk, łagodnym powiewem,
Leżącej xięgi pod drzewem
Kilka razem kart przewróci.
Ciekawość mnie ku niej zwróci.
Z wielką trwogą,
Drżącą nogą
Postępuję,
Dech wstrzymuję,
Xiążkę chwytam

W bok odskakuję i czytam.
Na sam tytuł ledwie żyję!
Tytuł taki: *Sposób nowy*
Jak z twarzy, z oczu i z mowy
Poznać co serce kryje.
Ten, co siedzącej na stronie
Mówi mało, mówiąc płonie,
I słowa często ucina;
Kochać zaczyna.

Tamten, co szuka jej wzroku,
Czule mówi, łzę ma w oku,
Każde jej wielbi ruszenie;
Kocha szalenie.

Ten, co ma czoło ponure,
Co ukosem patrzy w górę,
Co się z przekąsem uśmiecha,
Gdy ona, drżąca i smutna,
Koi go czule i zcicha;
Zawiść go dręczy okrutna.

Ten, co się tak śmieje z drugą,
Kiedy z innym swoję widzi;
Najniższym swojej jest sługą,
I sam z siebie tylko szydzi.

Ten, co zda się nią gardzący;
Kochany i kochający.

Ten, co od wszystkich ucieka,
Na wszystko z wzgardą spoziera;

Straszna go rospacz pożera,
I na chwilę zemsty czeka.
Lecz już do końca dobiegam;
Nawet wzmianki nie spostrzegam
O najważniejszej dla nas potrzebie,
Płci piękna! poznania ciebie.
Aż na ostatek
Mały, lecz ważny dodatek:

Co do płci pięknej, czy ciężko wzdycha,
Czyli łzy leje, czy się uśmiecha;
Nie zdarzyło się jeszcze i nigdy nie zdarzy,
Ujrzeć jej serce na twarzy.

Na tem się skończyło dzieło,
Co mi odjęło
Moją nadzieję jedynę:
Choć kiedyś, poznać Eminę.

II.

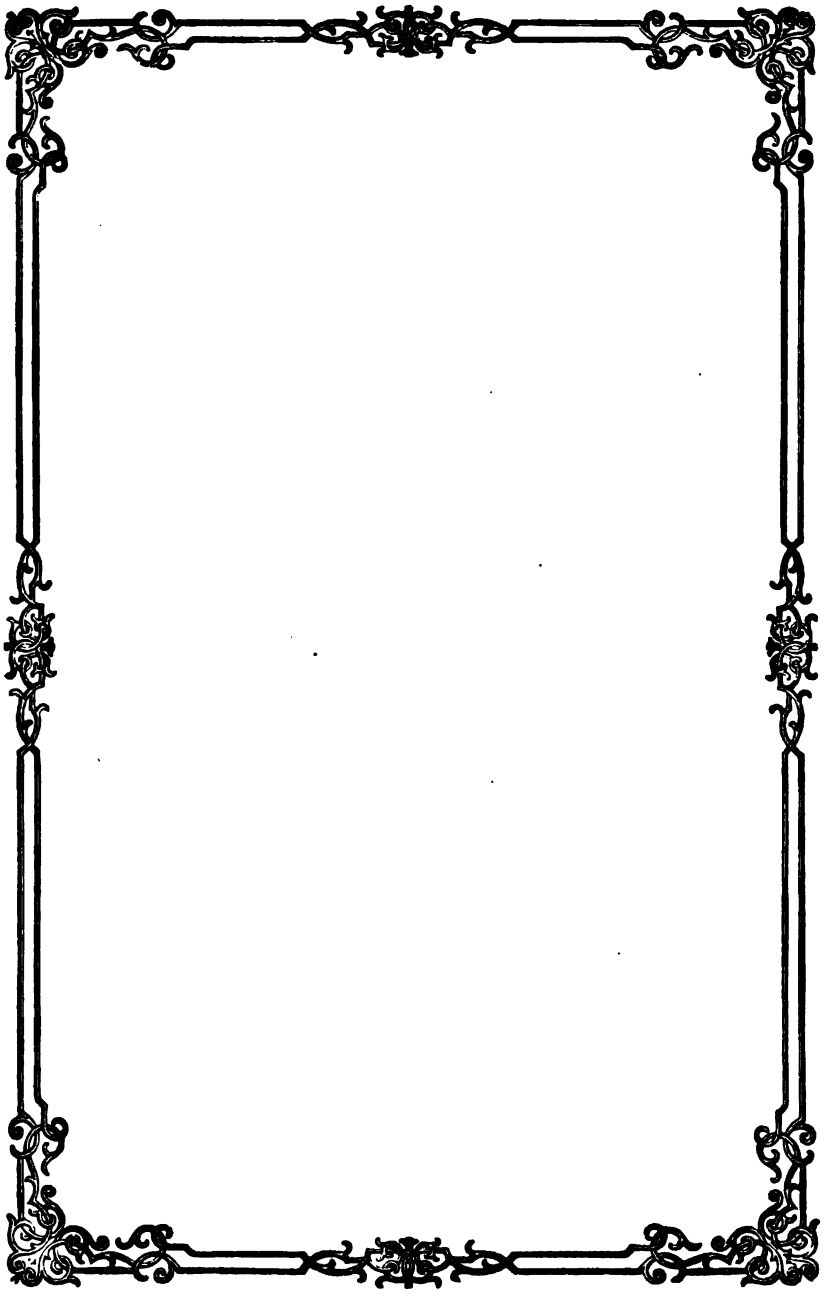

Miłość malarzem.

17.

Miłość malarzem.

Niech mi nie wierzy świat cały!
Widziałem, jak chłopiec mały,
Co go zwą miłości bogiem,
Za malarskim siadł trójnogiem,
I dziwną sztuką malarza,
W jednej chwili bóstwo stwarza:
Twarz świeżą uśmiechem skrasił;
Ogień oczu łzą przygasił;
Na śnieżnej szyi ponęty
Włos czarny i lekkokręty
Spuścił tak zręcznie i snadnie,
Że je z zasłony wzrok kradnie.
Taką zaś roskosz ustom dać umiał,
Że się sam zdumiał.
Ach! gdyby był na tem skończył,
Możebym tylko ją lubił;
Ale do wdzięków dobroć przyłączył,
I tem mię zgubił!

18.

Miłość uciekająca od starości.

Czemuż mnie stronisz, chłopcze niegodziwy?
Nie znasz mnie? Czy cię przestraszył włos siwy?
Ale uciekaj! wiek starości słaby
Przenosi nad twe, przyjaźni powaby.
Ostrzegam jednak, że jeśli cię zchwycę
Za ową przeszłość, za okrutną Nicę,
Skrzydełka utnę, strzałki ci pokruszę,
A może nawet i grzbiecika ruszę.

Miłość uciekająca od starości.

Żale miłości przed matką.

19.

Żale miłości przed matką.

Skarzył się matce chłopczyna,
Że nim pogardza Malwina,
I że wszystkie jego strzały
Odskakują od zuchwałej.
Lecz matka na to, tuląc go do siebie:
Wielkie jeszcze dziecko z ciebie.
Weź młodość, dowcip i śmiałość,
Przybierz je w całą bogactw okazałość,
I w obojętnej minie,
Ukaż się zdala Malwinie. —
Usłuchał chłopiec, rada nie płocha.
Kocha Malwina, i mocno kocha.
Co gorzej, tego co od niej stroni.
A niepamiętna
Ile udręczeń niosła obojętna,
Na obojętność łzy roni.

20.

Wojna miłości z przyjaźnią.

Nieprzyjaciółka pokoju,
Zawsze gotowa do boju,
Ufna w swoje siły zbrojne,
Nic nie mając na uwadze;
Miłość, wydała przyjaźni wojnę,
O większą nad ludźmi władzę.
Do tej niezgody
Byłyć powody:
Bo podobno serce Zosi,
Przyjaźń nad miłość przenosi;
Omijam, co obie strony
Użyły do swej obrony.
W pośród ich odważnych szyków,
Na przemiany szło zwycięstwo:
Równa liczba niewolników,
I prawie jednakie męstwo.
Na te klęski, na te boje,
Ileżto się łez wylało!
Ach, były tam łzy i moje!
Nie powiem komu serce sprzyjało.
Lecz przecież Jowisz rządzący w niebie,
Wznosząc prawicę w pioruny zbrojnę,
Zawoławszy je przed siebie,
Tym wyrokiem skończył wojnę:

Nr 30.

Wojna miłości z przyjaźnią.

Traf ślepy serce wyciągnie,
A sprawiedliwość osądzi
Która z was niem silniej rządzi,
Która zwycięstwo osiągnie.
Rzekł; na toczystem stojąca kole
Ślepych wypadków bogini,
Świętą Jowisza dopełnia wolę,
I do głębokiej wieczności skrzyni,
Gdy obojętną ręką posiągnie,
Serce wyciągnie.
Serce! ach czyje? wzrok wznieść się boję!
Malwino, twoje.
Posłuszne bogu ledwie spostrzegły,
Przyjaźń z miłością w nie wbiegły.
Pierwsza w niem z lekka aż do dna duszy
Najsłodsze uczucia wzruszy;
Druga przeciwnie, płonąca,
Wszystkie razem żądze zmąca,
I nieustannie dziwaczy:
To się oddaje rospaczy,
To znów się nadzieją łechce,
To pragnie, to znowu niechce;
A gdy, w sprzecznych żądań tłumie,
Dręczy się, troska, wyrzeka,
I radzić sobie nie umie;
Do przyjaźni się ucieka.
Tu sprawiedliwość, ponurego czoła,
Zachwiawszy szalą, zawoła:
Słuchajcie! obie zadrzały;
Równej są wagi waszych władz skutki.
Ogień przyjaźni powolny, lecz trwały;
Ogień miłości wielki, lecz krótki. —

Tym wyrokiem, ich pokojem
Ziemia się uradowała.
Malwino! nie wiem co w sercu twojem;
Lecz w mojem miłość została.

Siatki.

21.

Siatki.

Stawiała
Malwina siatki,
A co złapała,
Do klatki!
Wtem raz w rospięte sieci
Chłopiec miłości wleci.
Bieży Malwina szczęśliwa,
Chłopca z więzienia dobywa.
A gdy, z tak wielkiej zdobyczy
Same szczęścia sobie liczy;
On jej wymknąwszy się zręcznie,
W własne ją oplącze siatki;
A co gorzej, niewdzięcznie,
Dawne więźnie puści z klatki.

22.

Skarga miłości przed Jowiszem an nienawiść.

Do olimpskich z ziemi progów
Weszła miłość zapłakana,
I przed wielkim bogiem bogów
Drżące ugjąwszy kolana,
Skarzy się na nienawiść, której serca twarde,
Największą mają dla miłości wzgardę.
Lecz bóg, co wszystko ma na swojej straży,
Co przeszłość z przyszłością waży,
Rozśmiał się na łzy chłopczyny
Mówiąc: śmiałe puszczaj strzały,
Lecą twej władzy godziny,
Co cię niedawno mijały.
Dziecię! nie znasz swych korzyści,
Koleją idą skłonności,
Z miłości do nienawiści;
Z nienawiści do miłości.
Rzekł, i mocą swej potęgi,
Z wysokiej Olimpu góry,
Rozsunąwszy światów kręgi,
I czarne nad ziemią chmury,
Wskazał chłopcu serc tysiące,
Na których wstręt jęczał w niebie,

Skarga miłości przed Jowiszem
na nienawiść.

Ogniem miłości płonące.
Piękna Malwino! na ciebie
Płakał przed wielkim, bóg mały;
Ty płaczesz na jego strzały.

23.

Miłość i spokojność.

Miłość, co ma z natury niespokojną główkę,
Zawsze pochlebców otoczona dworem,
Rzekła raz do nich nad samym wieczorem:
Jutro się rano puszczę na wędrówkę.
Są bowiem jeszcze zuchwali,
Co mnie bogiem nie uznali.
Rzekła. Nie było czasu uwadze:
Pochlebcy każdą potakują władzę.
Więc wszystko, co miłości i sprzyja i służy,
Gotuje się do podróży.
Sam nawet bożek niezmiernie się zwija,
Próbując skrzydeł, to w górę się wzbija;
To znowu na dół, to znowu do góry,
Ciesząc się wartkiemi pióry.
Nakoniec spokojnie siada,
Przebiera strzałki złocone,
Nabok odrzuca ztępione,
Ostrzejsze w kołczanek składa,
I po skończeniu roboty,
Raz jeszcze obejrzawszy swój łuczek i groty,
Z radości rączkami klasnął.
A że tą pracą się znużył,
Schylił głowkę, oczki zmrużył,
I zasnął.

Miłość i spokojność.

I zasnął tak spokojnie,
Z takim uśmieszkiem na twarzy,
Iż byłem pewien, że już nie o wojnie,
Lecz o szczęściu świata marzy.

Noc mija; brzask się wznosi; jak skromna kochanka,
Już się rumieni zorza na widok poranka.
Zaledwie zefirków mnóstwa
Przez kręte włoski przeleciały bóstwa;
Zrywa się chłopiec, i uzbrojony
Rusza w nieznane dotąd mu strony.
Szedł, a całe przyrodzenie
Miłości boga poznało,
I pożądne jego tchnienie
Roskosznie w powietrzu ssało.
Łąki się w kwiaty ubrały;
Strumieniom przybyło wody;
Drzewa się rozzieleniały;
Ze skał nawet wyszły płody:
A co tylko życie miało,
Pieniami radości wrzało.

Gdy wszystko żądzą oddycha,
I uczcić miłość leci w zawody;
Jak czyste sumienie, cicha
Spokojność, wśród swej zagrody,
Na władzę boga ponętną,
Co świat roskoszą poiła,
Niedbałą i obojętną
Była.
Lecz on, którego potęga
Szczególniej zuchwałych sięga,

Na tę pogardę, w zapalczywości,
Ku spokojności
Zwracając drogę;
Wysłał naprzód bladą trwogę.
O dniu okropnych klęsk świata!
Gdzie tylko trwoga przelata,
Przed straszliwą onej władzą
Kryją się wszystkie stworzenia,
Nawałnice się gromadzą,
Dzień jasny w noc się zamienia,
Zdarte z wiosny piękne szaty,
Żółkną listki, więdną kwiaty,
Potokami łzy się leją;
Wstrzęsła się natura cała.
Już się świat żegna z szczęściem i nadzieją,
Już i spokojność zadrzała.
A gdy spostrzegła,
Że ją szczęście, nadzieja, swoboda odbiegła,
Sama, cóż czynić miała?
Z pokorą boga uznała.
Lecz odtąd, zawsze z daleka,
Drżąc od miłości ucieka.

Miłość i skrytość.

24.

Miłość i skrytość.

Miłość, nierozsądne dziecię,
Przybrawszy na się obojętną postać,
Nagle zachciała przebiedz świat skrycie,
I niewidzialną zostać.
Rozkaz wydany; więc w jednę chwilę,
Tak, jak przystało malutkiemu panu,
Zaprzęgła lekkość krasne motyle
Do najlżejszego z konchi rydwanu.
Wsiada, posadził skrytość przy sobie,
Lejce i biczyk wziął w rączki obie,
Wózeczek lekki, droga ubita,
Sam wesoły; więc z kopyta!

Pędzi, i mniema,
Bo doświadczenia niema,
Że mając skrytość przy boku,
Jak gdyby w jakim obłoku,
Przez wszystkie przemknie się strony
Niepostrzeżony.
Ale z oczu, z westchnień, z twarzy,
Którą ogień serca żarzy,
Chociaż leciał w wiatrów pędzie,
Poznany wszędzie.

Wszędzie go widzą:
Tu się litują; tam szydzą;
Tu go biorą na obmowę.
Spostrzegł chłopiec, stracił głowę,
I sam już nie wie
Co robi w gniewie.
To na złą służbę wyrzeka skrytości,
To bez pamięci
Chłoszcząc rumaki ze złości,
W prawo, w lewo lejce kręci.
Wierna miłości towarzyszka, skrytość,
I ze strachu i przez litość,
Szczerze ukoić ją chciała,
Mowiąc: nie mogę ci służyć lepiej,
Chybabyś ślepa widziała,
A patrzący byli ślepi. —
Ta prawda nic nie pomogła.
Owszem w chłopcu (nad pojęcie),
Złość się wzmogła
Tak zawzięcie,
Że w rozpędzie niesłychanym,
I skrytość z wózka wyrzucił,
I sam z wózkiem połamanym
Wpółżywy do Cypru wrócił.
A tam, gdy z gniewu ochłonął,
Mówią, że na matki łonie,
Z żalu, po skrytości zgonie,
Łzy ronił, i wstydem płonął.

Od tej pory, miłość biedna
Zawsze idzie sama jedna.

Zawsze jej serce jakąś trwogą bije.
A choć się kryje
Czyto w fiołki, czy w róże,
Ukryć się jednak nie może.

Nieznająca jeszcze trwogi;
Nieznała bowiem miłości,
Przyjmuje go w swoje progi
Niewinność pełna radości.
Z początku, zwykłym zwyczajem,
Grzecznie, lecz zimno nawzajem.
Ale zaledwie przeszło chwil kilka,
Żarty, śmiechy i przegony.
Już złapał dla niej motylka,
Pęk kwiatów u nóg złożony:
Wszystko zręcznie, wszystko składnie,
Patrzy czule, mówi ładnie;
Ktoż w takie nie wleci sidła?
O zdrado! zdrado przebrzydła!
Kiedy się już słońce zniża,
Chwile pożegnania zbliża;
Bierze chłopiec postać inną:
Cichem westchnieniem,
Nieśmiałem niby spojrzeniem,
Spłonił niewinną,
I sam zdala, jak bez myśli,
Na korze coś strzałką kryśli.
Spłonęła. Wesołość znika;
Jakaś tkliwość ją przenika;
Wzrok jej już błądzić zaczyna;
Już nawet sobą nie włada.
Łza się zbiera, łza upada:
Ledwie ją spostrzegł chłopczyna
Do nieszczęśliwej przyskoczy.
A niewdzięczny i bezczelny,
Przez swoje oczy w jej oczy
Rzuciwszy pocisk śmiertelny,

W samym tryumfie okrutny,
Żegnając się z niewinnością,
Wyrzekł do drżącej i smutnej:
Nie żartuj nigdy z miłością!

Władza miłości.

26.

Władza miłości.

Kiedy się miłość rodziła,
Wielka w niebie wrzawa była
Nad tem, co ją składać miało.
Bo jedni, skąpi w podziele,
Dawali jej zbyt mało;
Drudzy zbyt wiele.
Mówią, że tak mocno bogi
Duch niezgody był pokłócił;
Że Jowisz, z gniewu czy z trwogi,
Taki piorun wśród nich rzucił,
Że bogi, Olimp, świat cały,
Przez dni kilka ciągle drżały.
Rzucił, mówiąc: Dziecię małe
Maż mieć z waszych niesnask chwałę?
Czytam ja w xiędze przyszłości.
Iluto nieszczęść przyczyną
Będzie ów bożek miłości.
Przezeń wielkie państwa zginą;
Przezeń ciężkich smutków brzemię
Spadnie na ziemię;
Ale widząc znam, pan nieba,
Jaką mu władzę dać trzeba.
Kaprys nim będzie rządził,
Nadziei każe go chować,

Ażeby ślepy nie zbłądził,
Skłonność nim będzie kierować.
Jeżeli, chłopczyna mały,
Spotka kiedy, w jakiej stronie,
Zuchwałych, ma ku obronie
Łuczek i strzały.
Jeżeli zbytek roskoszy
Z jakiego miejsca go spłoszy,
Dają skrzydła, niech zdaleka
Od niej ucieka.
Na znak zaś mojej opieki,
By miłość trwała na wieki,
I jej nad ludźmi przewaga;
Za moją najwyższą wolą,
Rozum, rozsądek, rozwaga
Przejdą w miłości niewolą.
Rzekł; i miłość z niebios łona
Przyszła do ludzi szalona.

Czas do Malwiny.

27.

Czas do Malwiny.

Twój wzrok tkliwy, twarz blada i częste westchnienia,
Wyjawiają przyczynę skrytego cierpienia.
Ty myślisz, że twe serce, w takim jak dziś stanie,
Strute srogą miłością na zawsze zostanie?
Nie Malwino! Ten pewnie i pewnie nie błądzi,
Co wierzy, że czas wszystkiem, i miłością rządzi.
Ktoż ubrał ziemię w rozmaite szaty?
Twój gaj rozwinął, twe ufarbił kwiaty?
Kto koła losu i szczęścia obraca?
Kto państwa wznosi i państwa wywraca?
Lub czyją władzą, rządną kolej mienią
Lato za wiosną, zima za jesienią?
Czasuto dzieła. Czujem w nas ich skutki:
Byt i zniszczenie, pociechy i smutki.
I twoich jęków, o piękna Malwino!
Wierz mi, nie miłość, ale czas przyczyną.
Bądź jeszcze chwilę wytrwała,
Odmiany jesteśmy dzieci:
Miłość z czasem przyleciała;
Miłość z czasem i poleci.

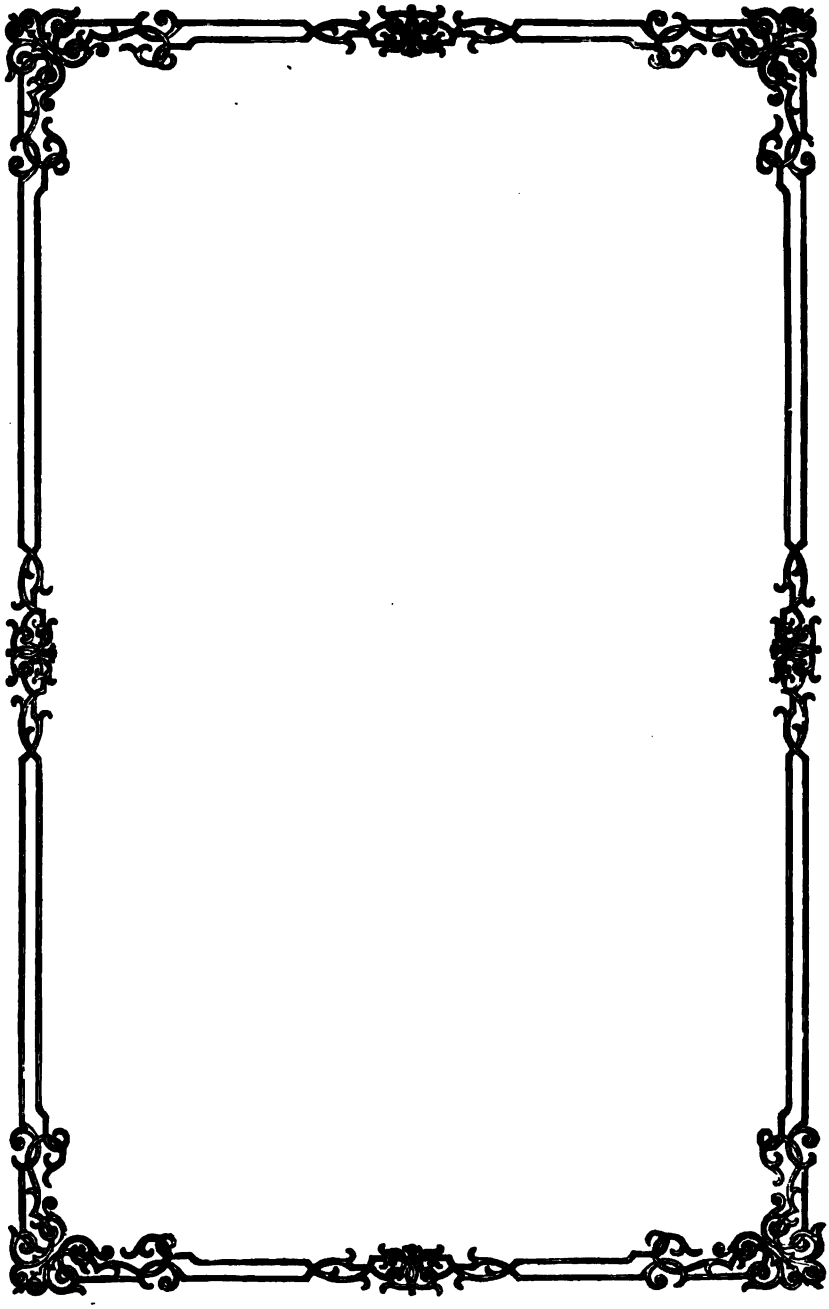

ROZMAITE WIERSZE.

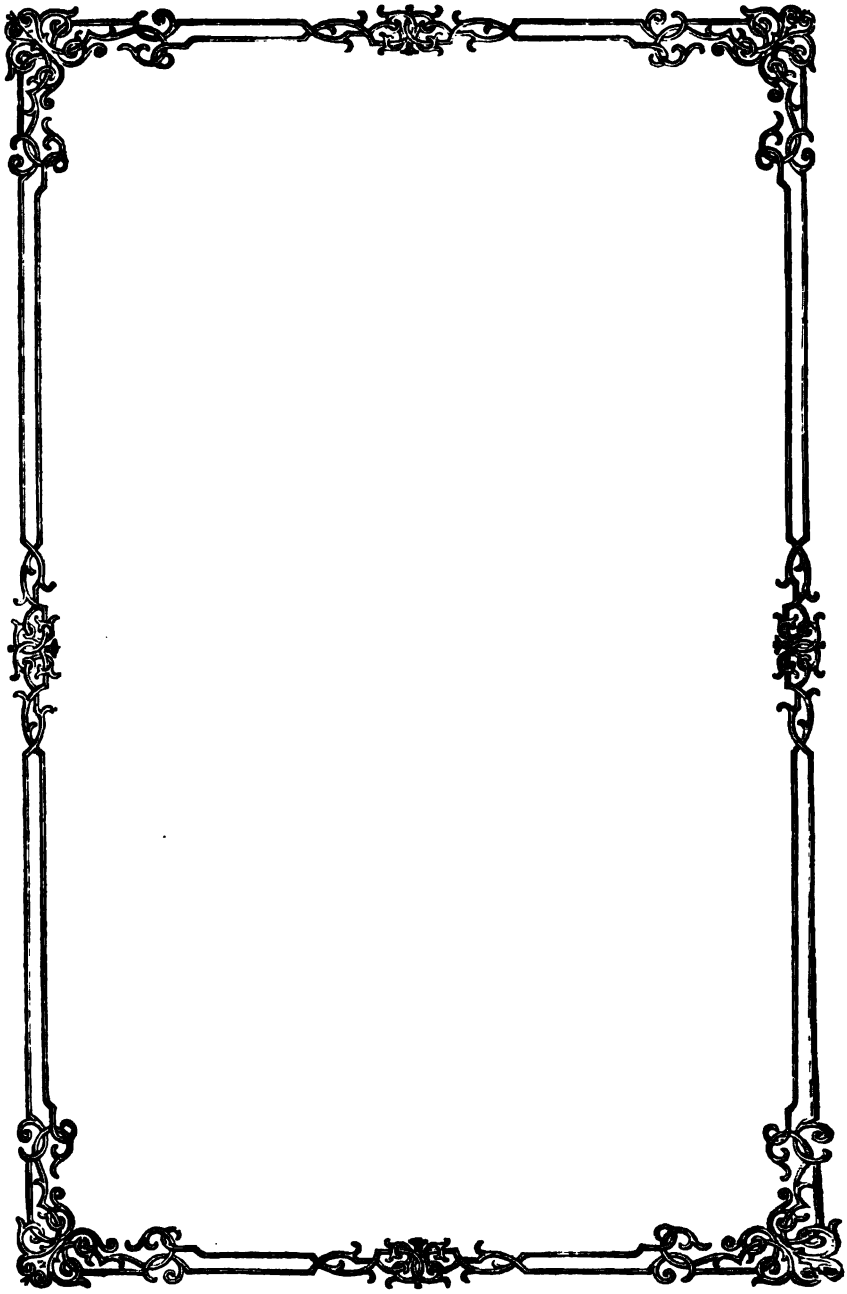

Bajki.

Człowiek i motyl.

Naśmiewał się człek z motyla,
Że u niego wiekiem chwila.
Zginął motyl. Rok za rokiem,
Sto lat zbiegło rączym krokiem.
Przyszło do zawarcia powiek;
Sto lat, chwilą nazwał człowiek.

Mądry i głupi.

Rozprawiał głupi o naturze ducha;
Mądry go słucha.
Gdy skończył, głupi się zdumiał,
Że go mądry nie zrozumiał.
Więc nawzajem głupi słucha:
Mądry rozprawia o naturze ducha.
Gdy skończył, mądry się zdumiał,
Że go głupi nie zrozumiał.

Orzeł i skowronek.

Górnie bujającego orła bystre oko
Dostrzegło, że skowronek zbyt latał wysoko.
Pan silny, dumny, zuchwały,
Tą myślą zajęty cały,
Że państwem orłów są nieba,
Skarcić, mówił, skarcić trzeba
Te napowietrzne owady,
Co śmieją latać,
Z nami się bratać,
I w orle wzbijać się ślady.
Nikt odtąd więcej nie wzleci
Ni ku słońcu, co mnie świeci,
Ni też nad ziemię nikczemną,
Co się gdzieś toczy podemną.
Rzekł, i chociaż był wysoko,
Ku większej sławie,
Gdzie ludzkie nie sięgnie oko,
Wzbiwszy się w pół nieba prawie,
Strasznym wzrokiem wkoło błysnął,
Skrzydła stężył, szpony ścisnął,
I jak gdyby piorun z chmury,
Puścił się ku ziemi z góry.
Puścił się, leci i powietrze kraje:
Duma i zemsta pędu mu dodaje.
Ciesząc się swoich skrzydeł szumem i szelestem;
Pokażę, mówił, czem jestem. —

Tymczasem skowroneczek, co z trudem wzlatywał,
Podnosząc się ku światłu co grzeje i świeci,
Gdy wiośnie, swej kochance i oraczom spiewał,
Nic nie wie, że na niego pan powietrza leci.
Byłby zginął, lecz orzeł gdy, skrzydły wielkiemi
Zastępując mu słońce, rzucił cień po ziemi,
Obejrzy się ptaszyna, a widząc śmierć zbliska,
Ściąga w strachu skrzydełka i na dół się ciska:
Pada, i szczęściem upadłszy pod krzaczek,
Stulony czeka losu i drzy nieboraczek.
Orzeł tuż za nim; a że, dzięki bogu,
Byłto krzew kolczystego tarnu, czyli głogu,
Rozdarł na nim pierś silną, co w dumie bez granic,
Prócz siebie, wszystkie inne stworzenia miał za nic.
Dobra ptaszyna, na zgon takiego mocarza,
Zaczęła się litować, i żal swój umarza.
Lecz, gdy on jej złorzeczy, karę trafem zowie;
Wzlatując i spiewając, skowronek mu powie:
Wszystkim, tymbardziej orłom wiedzieć to potrzeba,
Że i nad małym ptaszkiem opieka jest nieba.
Tyś po to wyżej latał, abyś krew rozlewał;
Ja, bym wiosnie, kochance i oraczom spiewał.
Tak więc, ten co urągał słabym i naturze,
Nim zniknął w dole, ujrzał skowroneczka w górze.

Emina i żaba.

Hoża jak trzcina,
Jak wiosna piękna Emina,
Idąc przez łączkę spiewała,
Spiewając kwiatki zrywała.
A że młoda i szczęśliwa,
Podskakując kwiatki zrywa,
I w bukiet sobie układa.
Wtem, gdy zmęczona usiada,
Aż przed oczy
Żaba skoczy.
Zlękły się obie:
Emina sobie, a żaba sobie.
Lecz więcej żaba:
Bo chociaż była i stara i słaba,
Jak młoda, w wielkich skokach, do bagna uciecze,
Skrzecze z przestrachu i bez końca skrzecze.
Na głos jej trwogi,
Na jej obronę,
Przez różne drogi
Żabki zlęknione,
Jak która zdoła
Spieszą, a otoczywszy babunię dokoła,
Niespokojne o jej zdrowie
Gdy czekają co im powie;
Z trudnością oddychając, rzecze żabsko stare:
Straszną widziałam maszkarę.

Duma upokorzona.

Mówił raz lew do zwierząt, nikt nie przeczył panu:
Trzech nas mocarzów w naturze,
Ja na ziemi, wieloryb w pośród oceanu,
A orzeł w górze.
Wtem kaczka w południowe przelatując strony
Kaczka, coto i chodzi i pływa i lata,
Dajcie mi, rzecze, wielkość, pazury i szpony,
Sama będę panią świata.

Strumyk i potok.

Biegąc doliną,
Między leszczyną,
Czysty i mały strumyczek, mruczał;
Nie daleko, potok huczał
Wielki, wspaniały.
Z wysokej skały
Gdy się dumnie na dół ciskał,
Na wszystkie strony pryskał.
Co raz to bliżej siebie; lecz potok nie słyszy,
Zgłuszony swym hałasem, biegącego w ciszy.

Nakoniec siebie ujrzeli
Wmiejscu, gdzie obu, wązka smuga dzieli.
Gdy strumyk zwracał w lewo, a ten pędził w prawo,
Rzekł potok, z dumą łaskawą:
Żal mi ciebie nieboraku!
Leziesz na raku.
Lecz nie długo ten brzeg sporzę
I wezmę cię z sobą w morze.
Na to strumyk rzecze skromnie:
Nie zbliżaj się, proszę, do mnie.
Nie zgodzim się nigdy z sobą:
Wielka różnica między mną a tobą.
Tyś zbyt silny, tyś pienisty;
A ja słaby, a ja czysty.
Ciebie żywią śniegi, lody;
Ja mam trocha własnej wody:
Słowem, nie bądź panie mściwym!
Tyś wielkim; a ja szczęśliwym. —
Nie miła prawda. Potok, choć w zapale,
Nie wszystkom dobrze słyszał, coś ku mej rzekł chwale.
Wiedz jednak o tem, że karzę
Niewdzięczników i potwarze.
To mówiąc chciał zdwoić biegi,
Silniej szumieć i rwać brzegi.
Ale pan całej natury
Podniosłszy słońce do góry,
Niszcząc i śniegi i lody,
Odbierał potokowi pożyczane wody.
Już więc coraz słabiej huczy,
Coraz mniejszy,
Pokorniejszy;
Już tylko czasem zamruczy,

Już, przed którym wszystko drzało,
Tyle tylko mu zostało,
Że podobny do ponika
Wodom zazdrości strumyka.
Już niknie ... już znika ... ginie;
A strumyk, jak płynął, płynie.

Pieśnie.

I.

Jakże podobny Eminie
Ten mały strumyk co płynie!
Jejto obraz oczywisty,
Bo i spokojny i czysty.
Ale te brzegi zielone,
Biegiem jego rozdzielone,
Moich są nieszczęść obrazem:
Zawsze blisko, nigdy razem.

II.

Skowronek do ...

Swej kochance wierny, stały,
Spiewał skowronek dzień cały.
Z miejsca na miejsce przesiadał.
W górę wzlatał, na dół spadał;
Trzy nocy i trzy poranki
Szukając swojej kochanki.

Ale na próżno: bo ona
Wdziękiem innego schwycona,
Jak wiatr, lekka i niestała,
W obce strony uleciała.
Malwino! czy byłby winny,
Gdyby poleciał do innej?

III.

Te brzóz kilka, bieg tej wody,
Jak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu niegdyś była Emina.

Ona tak miło i snadnie
Przez oczy weszła do duszy;
Jak wietrzyk, gdy w listki wpadnie,
I spokojność drzewa wzruszy.

Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
Pamięci człowiek nie traci?
Nie wzdychałbym za mą lubą,
Ni płakał poległych braci.

Gaje, pagórki, doliny,
Przeszłości obrazie miły!
Bez ojczyzny i Eminy,
Jakżeście wiele straciły!

IV.

Jeśli ci się ujrzeć zdarzy
Wiosnę w wdziękach, wiosnę w tchnieniu;
Roskosz w ustach, dobroć w twarzy,
Światło xiężyca w spojrzeniu;
Jeśli Alkara wspomina,
Mojato, moja Emina!

Jeśli ma zawsze łzę w oku
Dla wzywających litości,
I wszystko, nawet rzut wzroku,
Pod straż oddaje skromności;
Jeśli Alkara wspomina,
Mojato, moja Emina!

Jeżeli, na wzór strumyka,
Płynie czysto i bez szumu,
I z wstydliwością unika
Ścigającego ją tłumu;
Jeśli Alkara wspomina;
Mojato moja Emina!

Lecz jeżeli o miłości
Mówić się tobie z nią zdarzy,
A z westchnieniem, łza litości
Nie zrosi jej świeżej twarzy;
I Alkara nie wspomina,
Nie mojato już Emina!

V.

Nie masz nad szczęście w miłości,
Kiedym kochany wzajemnie:
Trony, bogactwa, wielkości
I ty, precz sławo odemnie!

Gdy dusza wbiega do duszy,
I jedno w drugiem się czuje;
Gdy nic oddzielnie nie wzruszy,
Kiedy myśl myśli zgaduje;

Kiedy spojrzenie rozkazem,
Gdy sobą tylko zajęci
Widzą niebo w byciu razem,
Wszystkie szczęścia w zgodzie chęci;

Wówczas na ziemi cóż może
Zrównać roskoszy miłości?
Ach, innej nie żądam, boże!
Na łonie nieskończoności.

Powieści.

Dziecię Idy.

Powieść.

Zdarzenie prawdziwe.

Dziecię Idy, że w dzieciach uwagi jest mało,
Zwykle się u jedzących jadła napierało.
Matka chcąc go oduczyć od tego nałogu,
Za karę, wśród obiadu stać każe u progu.
Mówiąc: „Spuść się na matkę; i ciasta i lody
Mieć będziesz, jeśli będziesz grzeczniejszy niż wprzódy."
A że do ciast i lodów chłopiec miał gust wielki,
Przyjął; i byłby przyjął obowiązek wszelki.
Stoi chłopiec; je matka; a że piękną była,
Wszystkich mowy i oczy ku sobie zwróciła.
Postrzegłszy ten swój tryumf, a większego chciwa,
Rozumu i dowcipu pomocy przyzywa.
I wnet przez usta świeże i pełne słodyczy,
Ile słów wypuściła, tyle więźniów liczy.
Tymczasem chłopiec stoi grzeczny i spokojny.
Kiedy po głowie marzy jak będzie dar hojny,
Wstają, a on za matką z twarzą zapłakaną:
„A ja się spuścił, i nic mi nie dano."

Młodość i roskosz.

Powieść.

Młodość, mająca zwiedzać z kolei
Wszystkie cztery pory roku,
Ruszyła w towarzystwie cnoty i nadziei.
Z początku w każdym jej kroku,
Na taką odległość drogi,
Widać było troche trwogi.
Szła jednak, jak należało,
Bardzo skromnie i nieśmiało.
Ale zaledwie w kraj wiosny wstąpi,
I morze kwiatów przemierzy okiem,
Których młodości wiosna nie skąpi,
Zchwycona tylu ponęt urokiem,
Cała roskoszą zajęta,
Dobrem przyjęciem szczęśliwa,
Na dalszą podróż już niepamięta,
I potok żądz ją porywa.
I po krainie którą wiosna kwieci,
Nie tak jak dawniej bywało!
Już nie idzie, ale leci,
Już nie skromnie, ale śmiało.
Nie dosyć na tem. Cnotę i nadzieję
Swe towarzyszki od siebie odpłoszy.
Cnotę zwie zrzędą, z nadziei się śmieje,
Wszystko za zdaniem roskoszy.

Nieboraczka! nie wiedziała,
Że już nad przepaścią stała.
Kiedy pędzi nazbyt nagle
Rozpuściwszy żądzom żagle,
I w szaleństwie się wysila,
Znika marzeń obraz miły,
Nikną wdzięki, nikną siły;
Rozwagi nadeszła chwila.
Wówczas dopiero spostrzegła,
O nienagrodzona strato!
Że minąwszy jesień, lato,
Do zimy wbiegła.
Odtąd sama, na ustroni,
Łzą smutku łzy żalu goni.
Nic jej ukoić nie może zgryzoty,
Nawet powrót do niej cnoty.

O strumyku do Haliny.

I coż ci ten strumyk szkodzi,
Co w czystym i chyżym biegu,
Twe kwiaty i ciebie chłodzi,
I ozdobą twego brzegu?

Co na kamyczek z kamyka,
Sunąc lekko i przyjemnie,
Szepce nam wszystkim do ucha:
Haliny obraz jest we mnie.

Co, jak twa dusza przejrzysty,
Przez krętych zwrotów tysiące,
Zawsze wesoły, bo czysty,
Igra z kwiatami po łące;

Co, kiedy gałązka czasem,
Chce jego zamącić wody,
W bok ją odtrąca, z hałasem,
I znowu bieży jak wprzódy?

A ty, niewdzięczna Halino!
Chcesz jego nieszczęściem słynąć;
I masz za roskosz jedyną,
Gdzie nie chce, kazać mu płynąć.

Patrz! twoją ręką zwrócony,
Z jakim jękiem, nieboraczek!
Żegna swój brzeg ulubiony,
I ulubiony mu krzaczek.

Gdzie każesz pójdzie on wszędzie;
Lecz obrażony rozkazem,
Już on nam szeptać nie będzie:
Haliny jestem obrazem.

Czemuż twa moc nie powściąga
Tej Wisły szalone biegi?
Co się z twej władzy urąga,
I twoje porywa brzegi:

Co wstecz szerząc płowe wody,
Niesie strach i spustoszenie,

W twoje błonie i zagrody,
I w twój gaj, wdzięków schronienie.

Mówisz, że pragniesz jej zguby,
A Wisła u nóg twych płynie.
Mówisz, że ci strumyk luby,
A luby z twej ręki ginie.

Lecz się już nieba zemściły,
Przed okrutną, co uciska,
I drżące strumyki skryły,
W nasze, Halino, siedliska.

Z tych jeden, na mojej łące
Czystemi napawa wody,
I brzozy nad nim płaczące,
I moje kmiotki i trzody.

Często ja na jego brzegu,
Jak poeta, rymy snuję.
Jak filozof, w jegu biegu
Bieg życia i szczęścia czuję.

On mnie bawi, smuci, uczy,
On, jak ja, spokojny płynie,
A co szepce, na co mruczy,
Powiem to kiedyś Halinie.

Do Jana.

Zbliżmy się Janie do tego tłumu,
Co się w około Idy zgromadza.
Wdzięków, dobroci, cnot i rozumu,
Zobaczmy, jaka jest władza.

Patrzaj! już Alkar zabity leży,
Od jednej tylko z jej oczu strzały.
Pogromem kobiet, kwiatem młodzieży,
Liczne zwycięstwa go zwały.

Już i Emroda, widzę, prowadzą,
Wsród ran głębokich woła litości.
On, coto niegdyś rozumu władzą,
Poskramiał wszystkie skłonności.

Widzisz zuchwałą Damona postać?
On, szydząc z innych sam z siebie szydzi:
Dumny! nie mogąc szczęśliwym zostać,
Że cierpi wyznać się wstydzi.

Gdy ją okrutną zowie świat cały,
Że, jak on, nie jest zmienna i płocha;
Cnotliwy Mirtyl w miłości stały,
W jej okrucieństwie się kocha.

Janie! co robisz? po coż tak zbliska?
Wielu ufało, zginęło wielu.
Uciekaj! widzę wzrok na cię ciska,
Już po tobie, przyjacielu!

Przy tkliwej duszy tyle cnot razem,
Przy tylu wdziękach, powab skromności,
Pięknym są twoim Ido obrazem;
Ale nieszczęściem ludzkości.

Do x. A. C.

Z wielu xiężyców pierścień Saturna się składa?
Wiele niebo gwiazd stałych lub planet posiada?
Jaki los czeka ziemię w ostatnim jej zgonie?
Czy ją porwie kometa lub słońce pochłonie?
Niech się tym inni trudnią. Ja nie myślę wcale
Na to bezbrzeżne morze puszczać się zuchwale.
Słyszałem, jak nie jeden wzrok wlepiwszy w górę,
Chcąc śledzić biegi światów i onych naturę,
Przez sto bezsennych nocy idąc do odkrycia,
Co mu sławą zapewnić miało wieczność życia,
Gdy swoje spostrzeżenia objawić nam raczył,
Spojrzał drugi, i wszystko inaczej zobaczył.
Ale niechaj Adamie, w szlachetnym zapędzie,
Mierzą, liczą, dochodzą, co było, jest, będzie;

My oba do ciepłego komina zbliżeni,
Posłuchajmy na wzajem cichej lutni pieni,
Której dźwięk, tkliwy zawsze, mimo nas się stoczy
Na twej lubej błękitne, na mej czarne oczy.

Nagrobek proboszczowi w Ozdeniżu.

W obronie świętej wiary niezgięty i śmiały,
Obowiązkom kapłana poświęcał się cały;
Ubogi, nędzę wspierał, pocieszał i radził,
Zbłąkanych z łagodnością do cnoty prowadził;
Jak kochać boga, bliźnich, jak iść cnoty torem,
Był w każdej chwili życia przykładem i wzorem;
Wsród włościan, szczupłej wioski, mało światu znany,
Żył kochany i czczony, umarł żałowany.

Motyl do Malwiny.

Dumny z różnofarbnej szaty,
Obiegał motylek kwiaty:
Bławatki, fiołki, róże;
Nic go zatrzymać nie może.
Ku jednym swym lotem mierzy,
W drugie skrzydełkiem uderzy,
Z każdym popieści się chwilę,
Jak zwykle robią motyle.
Nakoniec, czy dla odmiany,
Czy chciał spocząć zmordowany,
W ustroni, gdzie strumyk płynie,
Na bujnej siada leszczynie.
Biedny! nie znał co go czeka.
Widzi Malwina zdaleka.
„Z chwili korzystać należy"
To rzekłszy, ku niemu bieży.
A że jej zawsze wszystko idzie snadnie,
Pod krzak leszczyny z cicha się zakradnie;
On siedzi. Ona z lekka gałązeczkę nagnie,
On siedzi. Wtem ją spostrzegł, już, już wzlecić pragnie;
Nie czas. Bohatyr, co lekkością słynął.
Strzepnął tylko skrzydełkiem i w jej ręku zginął.
Malwino! żeś mnie złapała,
Nie wielka dla ciebie chwała:
Cóż się oprze twojej sile!
Ty łapiesz nawet motyle.

Pszczółka,

z Anakreona.

Niebaczny chłopiec różę rozwitą
Chcąc zerwać, rączką listki odkłada.
Budzi wsród listków pszczółkę ukrytą,
Ostre jej żądło w paluszek wpada.
Przejęty bolem jęczy chłopczyna,
I łzą odwilża rączkę zranioną:
Potym skrzydełka złote rospina
I niesie żale na matki łono.
Staje i woła: matko miłości,
Litości wzywam, litości!
Mały wąż, zbrojny w skrzydełka małe,
Co go pospólstwo pszczółką nazywa;
Ostrą mi w rękę wypuścił strzałę
Sił mi już nawet ubywa.
Lecz matka na to: chłopczyku mały!
Jeśli tak ciężka od pszczółki rana;
Jakaż być musi, twojemi strzały
Sercu zadana?

Wiersz,

na inaugurację domu, gotyckim zwanego, w Puławach dnia 25 marca 1811 roku *).

Czasy, ludzie, ich dzieła, miejsca i narody,
Były znikłe, i chwałą świat dziwiące wprzódy,
Tobie winny, xiężno! tobie,
Że Polak ich pamięć głosi;
Że życie biorą na grobie
Który im twa ręka wznosi.

Wstępujmy wszyscy za mężem,
Co na usługach oyczyzny,
Bez skazy dożył siwizny,
Nie trwożącym świat orężem,
Ani przez zwycięstwa krwawe,
U żyjących i potomków
Dopomina się o sławę.
W miłym stoletnich lip cieniu
Dosyć mu na tem wspomnieniu:
„Polaków kształciłem z ziomków."

---

*) W tym dniu, do skończonego gotyckiego domu, xiąże Czartoryski jenerał ziem podolskich otworzył pierwszy raz drzwi dla zebranych gości.

Z uszanowaniem głębokiem
I ty, płci piękna! wstępuj do świątyni,
Gdzie jeniusz założycielki
W każdym pomyśle tak wielki,
Cudownym gustu urokiem
Przeszłość obecną nam czyni.
Z posadą ziemską przed nasze oczy
Wieki za wiekami toczy,
I mocą swojej potęgi,
Istnące wprzódy
Czasy, ludzie, ich dzieła, miejsca i narody
Wyrywa z zapomnień xięgi.

Do moich niwek w Woronczynie.

Tam gdzie zielone smugi otaczają drzewa,
Które zdobi kochana, a strumień oblewa;
Gdzie sam człowiek, swobodnie wszystkich chwil używa;
Tam tylko szczęście dla mnie i roskosz prawdziwa.
Świat się przedemną zniża, nikną wszystkie żądze,
Gdy w cienistych zakrętach moich niwek błądzę.
Tu myśli zagłębionych zawsze jedne cele:
Bóg, ojczyzna, kochana, i wy przyjaciele!

Emrod.

Prysnęły lody. Słońce, po czystym lazurze
Tocząc się pysznie, życie wracało naturze;
A siejąc złote, ciepłe i żywne promienie,
Roskosz wiosny na całe lało przyrodzenie.

Już skowronek, w powietrzu niedostrzeżon oku,
Tkliwem pieniem ogłosił piękną porę roku;
W liść stroiły się gaje, zamruczały zdroje;
Powietrze lotnych stworzeń napełniły roje;
Kwiaty się rozfarbiały, a żądza miłości
Wszelkich płodów natury syciła skłonności.
Gwar ptasząt, szmer strumyków, drobnych muszek brzęki,
Wonią zaprawny oddech spłonionej jutrzenki;
Odgłos w polach oraczów i flety pastusze
Przyjemnie każdą czułą roztkliwiały duszę.
Ale Emrod, któremu Telimeny strata
Czarną spuszcza zasłonę na roskosze świata,
Niczem niepocieszony wzrok wiodąc po niebie,
Z westchnieniem nieszczęśliwych tak mówił do siebie.

„O wiosno, dobroczynna matko przyrodzenia!
Ciebie z radością wszystkie witają stworzenia;
Wracając drzewom listki, farbne łąkom kwiaty,
Czem bolesnej nie wracasz Emrodowi straty?
Gdzież moja Telimena? to bóstwo słodyczy,
Co odwracało kielich odemnie goryczy;

Ów anioł pocieszyciel, którego spojrzenia
Wnosiły w serce lubą podzielność strapienia;
Co łzami łzy ocierał, jęk jękiem przytłumiał,
I z samych cierpień szczęście wyprowadzać umiał?
Co tyle razy..." Umilkł, i z łez pełnem okiem
Wolnym ku jej mogile postępował krokiem.

Słońce, już wówczas jasne przebiegłszy sklepienie,
Ostatnie z gór wierzchołków zbierało promienie.
Już wieczór, rozświeciwszy gwiazdy niezliczone,
Do bram zachodu wielką dociągnął zasłonę.
Spuszcza się sen posilny, i skrzydły cichemi
Niesie słodki spoczynek utrudzonej ziemi.
Noc wszystko ogarnęła; piją rosę kwiaty,
Przerażającą wieczność przebiegają światy.
Wstaje xiężyc: przyjemne jego światła tchnienie
W wiotkich gałązkach lekkie sprawiło wzruszenie.
Ów przyjaciel cierpiących postępując z trwogą.
Od ognistych promieni opuszczoną drogą,
Bladością którą po tle błękitnawem rzuca,
Najszczęśliwszych roztkliwia, strapionych zasmuca.

Tym widokiem Emroda przenikniona dusza,
To żalom ulgę daje, to żal większy wzrusza,
A zwykłą nieszczęśliwym puszczając się drogą,
Kędy się ludzkie myśli wynieść tylko mogą,
Obłąkana w mniemaniach, nie wstrzymana w pędzie,
Szuka swej Telimeny we wszystkiem i wszędzie.
Raz ją widzi w powietrza i czystych wód ciszy,
W tchnieniu wietrzyków czuje, w szmerze listków słyszy;
To łzami obciążone wiodąc w górę oczy,
Wśród przestrzeni ją wznosi, z światami ją toczy;

To łagodną, jak światło, co jej grób oświeca,
Po nieśmiałym ją spuszcza promieniu xiężyca;
To zapędnego serca myślą nieścignioną,
Przebiegłszy nieskończoność światy napełnioną,
Gdzie się wieczność zaczyna, a kończy natura,
Przed tronem boga stroi w anielskie ją pióra;
To w odwrót, jakby ulgi dać żałował sobie,
W nędznej garsteczce prochu zawartego w grobie,
Wpośród myśli od których wiara się odłącza,
Wszystkich istot żyjących istnienia zakończa.

Tak, gdy żal uniesiony w czuciach nie zna granic,
Dręczy się obecnością a przyszłość ma za nic;
Gdy opłakując znikłej, na co myśl truchleje,
Najmilszą dla człowieka odbierał nadzieję;
Zapada xiężyc krwawy, brzask powstaje blady.
Zatarte nocą dniowi odznaczając ślady.
Z niepewnem jego światłem noc walcząca chwile,
Niechętnie dnia przemożnej ustępuje sile.
Już zefiry wybiegły i z trawką się pieszczą,
Obudzone ptaszęta listkami szeleszczą;
Już perłami poranku obciążone kwiaty,
Świeże wydają wonie, nowe biorą szaty;
Już nikną iskry nieba, i jutrzenka złota
Panu nieba wschodowe otworzyła wrota.
Wychodzi pyszne słońce!... milionów pienia
Ogłosiły wstęp jego na górne sklepienia.
A kiedy krąg ognisty coraz wyżej wznosi,
Leje strumienie życia od osi do osi.

„Ach! dla czegoż, niezmienna odwiecznemi laty,
Natura w koło człeka rozsypując światy,

Ciążąc na jego słabe pojęcia i myśli;
Obraz nieskończoności śmiertelnemu kryśli?
Który czuje by cierpiał i cierpieć przywykał,
Walczy aby upadał, a żyje by znikał,
Co mimo dar rozumu, ów zaszczyt wielkości,
Wszystkiemu nad czem włada niekiedy zazdrości.
Szczęście obok nieszczęścia nie jest żadnym darem:
Pamięć pierwszego w drugiem jest życia ciężarem.
Chwiejąc się nieustannie człowiek w pośród obu,
I żyć nie chce, i wstąpić lęka się do grobu.
A taż sama nadzieja, bóstwo dobroczynne,
Łagodząca, niestety! wszystkie straty inne;
Cóż może swym powabem? co jej władza znaczy,
Dla serca przejętego trucizną rospaczy?"

Tak mówił ten, któremu Telimeny strata
Odjęła powab życia i roskosze świata.
Codzień on do jej świętej zbliżony mogiły,
Którą posępna jodła z smutną brzozą kryły;
Miłym zbiegłej przeszłości wzruszony obrazem,
Płakał za Telimeną i swem szczęściem razem:
A słowik, głos swój łącząc do Emroda jęków,
Dodawał wagi czuciom, a nieszczęściu wdzięków.

List do x. A. C.

roku 1806.

Adamie! zbiegły w szczęściu młode nasze lata.
W pośród klęsk dojrzeliśmy ojczyzny i świata.
Jakże los różne drogi przeznaczył nam obu!
Jam najmilsze osoby wprowadził do grobu;
Jam może w ówczas, kiedy mocarz twych cnot świadom,
Losy państw i swą sławę twym powierzał radom,
Zrywał niski fiołek, pił u zdroju wodę,
Lub smutne sadząc brzozy zdobił mą zagrodę;
A ulegając woli mego przeznaczenia,
Szukałem szczęścia w ciszy wioski i sumienia.
Szukałem go przez skromne i życie i chęci.
Czas zwolna przeszłość w mojej zacierał pamięci.
Z sercem tkliwem, umysłem na wypadki zbrojnym,
Jeślim nie jest szczęśliwym, przynajmniej spokojnym.

Wracam. Miły, Adamie! po trudach spoczynek.
Lulka, przyjaciel, grabem płonący kominek,
Wspomnienia o przeszłości, o tkliwej Eminie,
O brzegach, gdzie wspaniałym Wisła nurtem płynie,
O nas młodych, wesołych, gdy oszczep zwycięski
Lewartowskim odyńcom niósł postrach i klęski.
Wierz mi, nieraz przyjemniej godziny spędzały,
Niż zbiegłe w wrzawie świata, lub na polu chwały.

Los, co nam złego z dobrem naznaczył koleje,
Niszcząc jednę, zwykł drugą utwarzać nadzieję;
Jejto powab zwodniczy, od młodego wieku,
Wrażenia trosk i pociech zagładza w człowieku;
I pochlebiając naszym żądzom i zabiegom,
Nieznacznie nas przybliża ku wieczności brzegom.
Ja sam, wśród żalów, trudów, nadziei i trwogi,
Nie postrzegłem żem życia już ubiegł pół drogi.
Obejrzyj się, Adamie! pędzą twoje lata:
Miej wielkość, lecz i razem koniec Cyncynata.
Miło dla szczęścia ludów, lub ziomków pomocy,
Poświęcać w pocie czoła całe dni i nocy.
Lecz miło, gdy potrzeba czynności ustaje,
Ujrzeć krewnych, przyjaciół, swój dom, łąki, gaje:
Gdzie każdy krok zrobiony, przed myśli i oczy,
Wśród samej obecności, w odwrót przeszłość toczy.
Tak niegdyś zmęczonego Mecenasa Rzymem,
Wzywał na wieś Horacy nieśmiertelnym rymem.
Wcieniach roskosznych gajów, ukryci przed tłumem,
Gdzie Teweron swe wody ciska ze skał z szumem,
Nie raz oba swe dusze otwierając wzajem,
Od trosk i wrzawy świata przedzieleni gajem,
Ważąc znikomość rzeczy na rozsądku szali,
Nieznanej w pośród Rzymu roskoszy doznali.
Nie myśl, abym z Horacym chciał się równać dumnie:
Nawet żądaniem aby Mecenas był u mnie.
Z cudzych przykrości, pociech nie żądam dla siebie.
Chceszli? przybądź. Otwartem czekam sercem cieb e.
Nie roskosze Tyburnu, nie z Falernu wina,
Lecz przyjaźń i starego butelka węgrzyna,
Ustroń przyjemna, troche talentu poety;
Oto są Woronczyna mojego zalety.

List do J.* L.*

Sąsiedzie dobry, grzeczny, uczony, spokojny,
Zasłużony Temidzie, znany bogu wojny,
Mój Pegaz na cię czeka! dosiadaj go śmiało:
I jakby za zającem pomykaj za chwałą.
Ale przebacz, nie darmo. Kosztuje to głowy,
Pisać wiersz, a do tego trzynastozgłoskowy.
Sławą dodońskiej puszczy okolice całe
Okrzyknęły w twych lasach sosny wybujałe.
Mnie ich nie wiele trzeba. Pięćdziesiąt, a wreszcie,
Z skromnością rymoklety przyjmę ich trzydzieście.
Jednak sumiennie w każdej postępując rzeczy,
Mając innych sąsiadów wybiegi na pieczy,
Bojąc się manifestów i pozwów i sprawy,
Tak dla mojej pewności, jak i twojej sławy,
Ostrzegam cię, że jeśli Pegaz utknie nogą,
Lub zamiast nieśmiertelną, zwykłą pójdzie drogą;
Jeśli, (na co truchleję) w pół biegu cię zruci;
Poeta zapłaconych już sosen nie wróci.

Inne raczej odkrycia zdrowy rozum radzi:
Znamyż już drogę co nas do szczęścia prowadzi?
Staliśmyż się naszego przeznaczenia godni,
Upowszechnieniem cnoty, wyniszczeniem zbrodni?
Nieustannie z nas każdy na losy wyrzeka:
Człowiek przecież przyczyną jest cierpień człowieka.
Nie jeden z mieczem w ręku zmienił ziemi postać;
Nikt dotąd nie chciał onej dobroczyńcą zostać.
Do obcego nam zawsze zwracani zawodu,
Marzym tylko o szczęściu człowieczego rodu,
I wśród klęsk, których ciężkie naciska go brzemię,
Poznajem wprzód powietrze, niż siebie i ziemię.
Zaniechaj więc Sniadecki! przyjaźń radę daje,
Błyskawic i piorunów przelatywać kraje.
Wstrzymaj niebaczny zapęd i dobądź się z głębi,
Której bezdenność duszę przeraża i ziębi.
Waszej mówią nauki kres tak jest daleki,
Że czem u nas są chwile, tem są u was wieki:
Że chcąc słońca w powietrznym zliczyć oceanie,
Znaleść i objąć liczbę człowiek nie jest w stanie:
Że każdy, ty sam nawet, z zadziwem i z trwogą,
Cofasz myśl wypuszczoną ponad mleczną drogą
Co mówię? Jażto ciebie tym przestworem straszę,
Gdzie nas wzywać zdają się przeznaczenia nasze?
Nie! Ty, co przymiotami obdarzon wyższemi,
Umiesz zbierać nad ziemią korzyści dla ziemi;
Co uważnie prowadząc wzrok z dołu do góry,
Szanujesz ludzkie prawa, praw szukasz natury;
Ty więc, dla wspólnych wszystkim chwały i użytku,
Do świętego tajemnic wdzieraj się przybytku.
Z których, jak bóg, odwieczna i wielka zasłona
Spadła, zerwana jednym pomysłem Newtona.

O, ileżto państw przejdzie i wieków upłynie,
Nim w bezdennościach czasu imię jego zginie!
On pierwszy, w otchłań cudów wszedłszy śmiałym krokiem,
Przejrzawszy nieskończoność jeniuszu wzrokiem,
Jakgdyby świadek działań najwyższej istoty,
Wykrył światów kierunki, biegi i obroty.
Idź za nim, niestrwożony wielką jego chwałą:
Ileż jeszcze tajników w naturze zostało!
Nędzny obrońca boga, mylnie o was sądzi,
Mercier *), co w powietrzu i na ziemi błądzi,
Co w zapędzie, pęk słabych wyrzuciwszy gromów,
Chce kłaść więzy na myśli i na astronomów;
Przebacz mu! Ty nie na to poświęcasz twe nocy,
Byś dojściem przyczyn z skutków twórczej przeczył mocy;
Byś mniemał, dumnej mędrków uczestnik ślepoty,
Że te wszystkie, nasz rozum dziwiące istoty,
Same sobie z zamętu, w którym zaród miały,
Postać, ruch, rodzaj bytu, lub życie nadały.
Że wszystko się przez wszystko utrzymując wzajem,
Jest tą władzą której my imię bóstwa dajem.
Ty czujesz razem zemną, że bóg wszystkie ciała
Tworzy, niszczy, przetwarza, i sam tylko działa.
Że myśl naszę, z słabego nawinąwszy wątku,
Skrył przed nią tajemnice końca i początku.
Że gdy człek marzy, mniema, porównywa, sądzi;
Czas leci... światy idą... my nikniem... on rządzi...
Ale, Sniadecki! gwiazdy iskrzące po niebie,
Na uroczystość nocy już wzywają ciebie:
Już i xiężyc ku tobie krąg śrebrzysty toczy,
Idźmy! ty twe otwierać; ja me zamknąć oczy.

*) Autor dzieła przeciwko astronomii i astronomom.

A jeśli kiedy w wyższej spotkamy się sferze,
Z kąd myśl moja nadzieje i pociechy bierze,
I tam waszej nauce złożę hołd powinny,
Co mi byt wskazywała i wieczny i inny.

Poeta podlotek.

Satyra.

Rzekł raz sobie uczeń młody:
„Gdy wszystko ganią, jak słyszę,
Co tylko pisano wprzódy,
Więc ja inaczej napiszę.
Coż ztąd żem jeszcze młodzieniec;
Mam zdolności, mam nadzieję
Że porwę ten sławy wieniec
Który nigdy niewiędnieje."
Rzekł, chwycił papier i pióro
I na ziemię i w obłoki
Ciska tych myśli potoki,
Co rozbrat czynią z naturą,
Nie wiedząc o tem,
O czem się dowiedział potem,
Że poeta jest malarzem,
Że ten tylko nie umiera,
Co stając przed jej ołtarzem
Wszystkie z niej widoki zbiera,

Z nią się spuszcza, leci w górę,
A przez myśli i wyrazy
Układa wielkie obrazy,
Słowem maluje naturę.

Gdy w dziecku szparciej krew bieży
Z nią strumienie wyobraźni,
Więc się dziwić nienależy
Że nasz Fenix bez bojaźni
Ni dnia ni nocy nie szczędzi,
Mimo burze, mimo fale,
Z rozpuszczonym żaglem pędzi
Ku wiekuistej chwale.
Co napisze, sobie czyta,
Sam siebie o zdanie pyta
I sam odpowiada sobie,
Chociaż pisał dziwolągi,
„Cudnie! nikt niezrówna tobie!
Stawiać ci będą posągi!
Wtem jedynie młody zbłądził,
Że jeszcze bez sił i wprawy,
Już się w locie orłem sądził
I puszczał się na szczyt sławy,
Gdzie z podziwem tego świata
Jeniusz tylko dolata.

Każda chwała ciężkie brzemię,
Zwłaszcza do nieśmiertelności,
Nasz więc ptak, mimo zdolności,
Jak Faeton spadł na ziemię,
Lecz mu jeszcze słońce świeci;
Doświadczeniem nauczony

Gdy odpocznie, może wzleci,
W też same gdzie leciał strony.
I daj boże, z serca życzę
By do narodowej chwały
Którą nasze ojce brzmiały
Dodał i swoje zdobycze.

Pożar.

Powieść historyczna.

Trudną jest rządzenia sztuka.
W tej powieści ta nauka
Że ci nader wielce błądzą,
Co przestrachem tylko rządzą,
I nie pomną na to wcale,
Że każdy człek ma swe ale,
Że skłonności lub nałogi,
Są w nas bałwochwalcze bogi,
Które łagodność, nie trwoga,
Do prawego zwraca boga.

Pan jeden, nie powiem jaki,
Co miał wszystkie państwa znaki,
Co na zbytki wszystko tracił,
A sługi kijami płacił,

Będąc czegoś w złym humorze,
Ogłosił nagle w swym domu,
Że czy w chacie czy na dworze,
Co się nazywa nikomu,
Oprócz jednego
Pana samego,
Pod karą setnej nahajki,
Nie wolno palić fajki.
Ten wyrok dobił furmana,
Co miał łożysko wśród siana.
Stary, zadrżał na nahajkę,
Lat dwadzieścia paląc fajkę,
Nieboszczyka ojca woził,
Co mu tylko palcem groził,
Jeżeli czasem w niedzielę
Wypił wódki nadto wiele,
Gdyż był poczciwy, pobożny,
Wierny, a z ogniem ostrożny,
Nigdy państwa nie wywrócił,
Gdy koń niejadł, on się smucił;
Więc rzekł sobie: „smutna dola!
Biedy za biedami gonią,
Nic niemam, ciśnie niewola,
Fajki nawet palić bronią.
A to moja roskosz jedna.
Biedna taka starość! biedna!"
Gdy tak się przed sobą żali,
Rozmyślając o swej biedzie
I kryjomo fajkę pali,
Słucha, słyszy że ktoś idzie.
Był to pan, co szedł na szpiegi
Między sług swoich szeregi,

Czy od razu
Słuchano jego rozkazu.
Hej! hej! zawołał, Macieju!
Zerwał się Maciej na nogi,
Wyrzucając fajkę w siano,
Wybiegł z stajni wrzeszcząc z trwogi:
Jestem panie dobrodzieju!
Gdzie pan chce jechać tak rano?
A ty fajkę palisz może?
— Kto? ja panie? — broń cię boże!
A konie? —
Gdyby słonie!
Poczyszczone!
Zchędożone!
Nakarmione!
Napojone!
Siwosz tylko nam faluje
I coś mi się niepodoba,
Raz wraz bowiem pokaszluje,
Przez końce oba.
Gdy tak gwarzą, wietrzyk wieje,
Ogniem z fajki siano tleje,
A wtem i krzyk: „Stajnia gore!"
Aż i wicher, na oborę
Cisnął zapalone snopki,
Na gwałt dzwonią, biegną chłopki,
I pan z niemi jak wiatr leci
Wrzeszcząc: ratujcie mnie dzieci!
Ratujcie pana!
Którego dobroć wam znana.
Choć głos zdradny, dobre chłopki
Brały go jednak do ucha,

Ale wiatr roznosi snopki,
Pożar nikogo nie słucha,
Z obory płonie stodoła,
Próżno pan ratujcie! woła,
Próżne prace i nadzieje,
W mgnieniu oka dom goreje
A od domu wioska cała,
Jak garść konopi zgorzała.
Tak pan sam srogim rozkazem
Spalił swoj dom, ze wsią razem,
Gdyż wtem nie wina furmana,
Co był poczciwy, pobożny,
Wierny i z ogniem ostrożny,
Że się zląkł srogiego pana.

Do młodych.

Pisklątek te są prawidła,
Co się jeszcze w puszku grzeją,
Dopóty nieufać w skrzydła
Póki piórka niedojrzeją.
Więc was błagam lube dzieci
Was, unoszonych nadzieją,
Niech żadne w górę nie leci,
Póki piórka nie dojrzeją.

Atrament i ołówek.

Bajka.

Rzekł atrament do ołówka:
Żal mi ciebie, słaba główka
Ledwie się ruszy
Już się i kruszy.
Próżno żądasz pójść w me ślady.
Zawsześ jak ubóstwo blady,
Ja, gdy się raz w papier wryję,
Wiekami żyję.
Na to ołówek w momencie
Odrzekł: panie atramencie!
Zyskto marny
Żeś wiecznie czarny.
Losy z nami dziwy robią,
Jak źle piszesz, ciebie skrobią.
Gdy się dmiesz, żeś wiecznie czarny,
Ja się tem jedynie wsławiam,
Że kornie, acz biedak marny,
Twoje omyłki poprawiam.

Portret.

Pewien przyzwawszy malarza,
Który w swej sztuce był sławny,
I miał, co się rzadko zdarza,
Do portretów pęzel wprawny,
Rzekł mu: odmaluj mię proszę,
Daj w oczach duszy wyrazy,
Włos czarny, siwych potrosze,
Jak się malują obrazy
Co przejść mają w pokolenia,
Których czas nawet nie zmienia;
Tylko nierób ze mnie starca,
Drzącego z każdym dniem marca,
Przecież zapowiadam, że chcę
I pan niech tak zrobić raczy,
Próżność mię bowiem nie łechce,
Iż kto mój portret zobaczy,
Krzyknąć winien: doskonale!
Jakgdyby dwie krople wody!
Przecudnie! podobny wcale!
Widać że był kiedyś młody!

Podług danego rozkazu,
Majster do swych dzieł sposobny
Ruszył pęzlem, i do razu
Wykreślił portret podobny,
Oddając wdzięki bez liku,
Człowieka w siódmym krzyżyku.

Dał nos duży,
Twarz rumianą gdyby w róży,
Zbyt naśladując naturę,
Dał na głowie łysą górę,
A lekkiego pęzla biegiem,
Włos czarny posypał śniegiem.

Wiecież, czyja ta rozmowa?
Moja, ledwie nie do słowa,
Z panem Haarem co mnie dobił
Tem, że trafny portret zrobił.
Jednak wyznam wam otwarcie,
Żem o sobie mówił w żarcie.

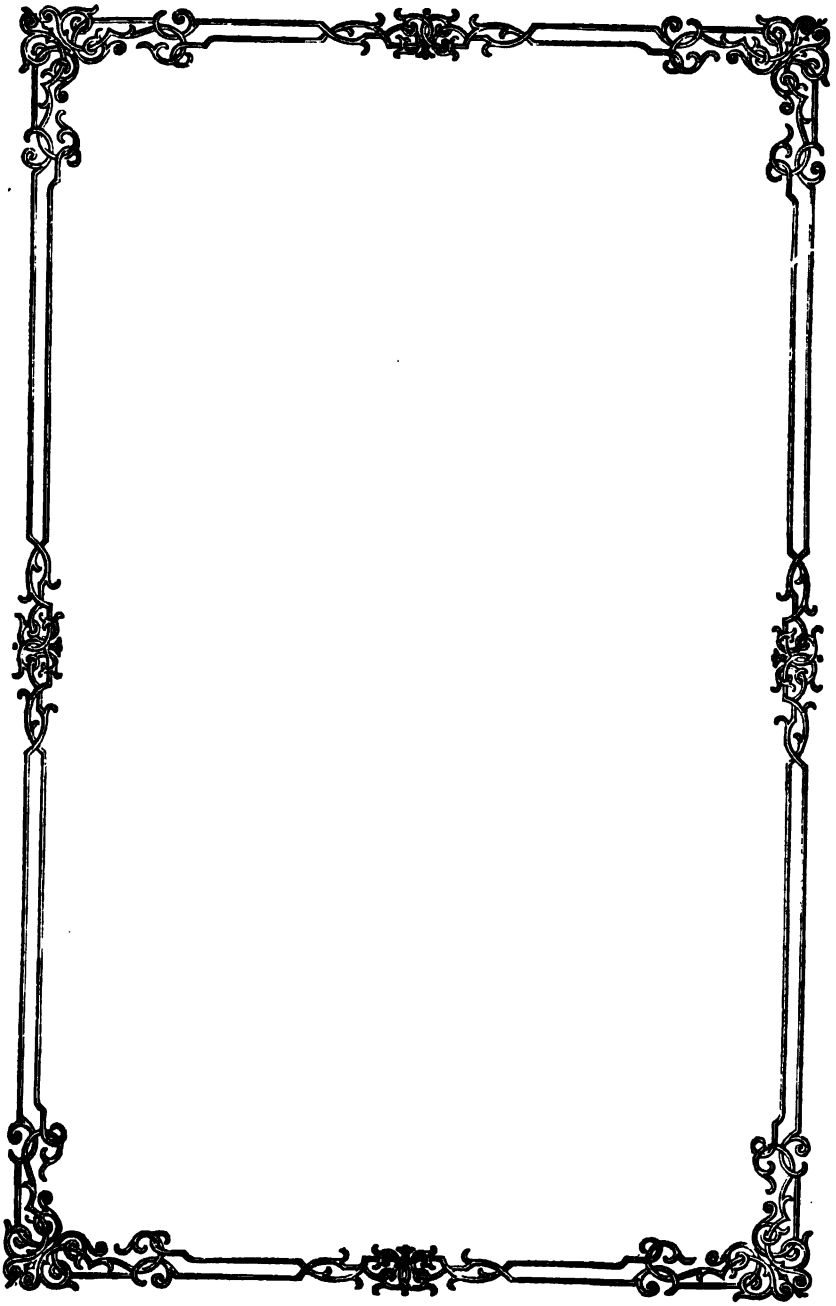

POECI.

Satyra.

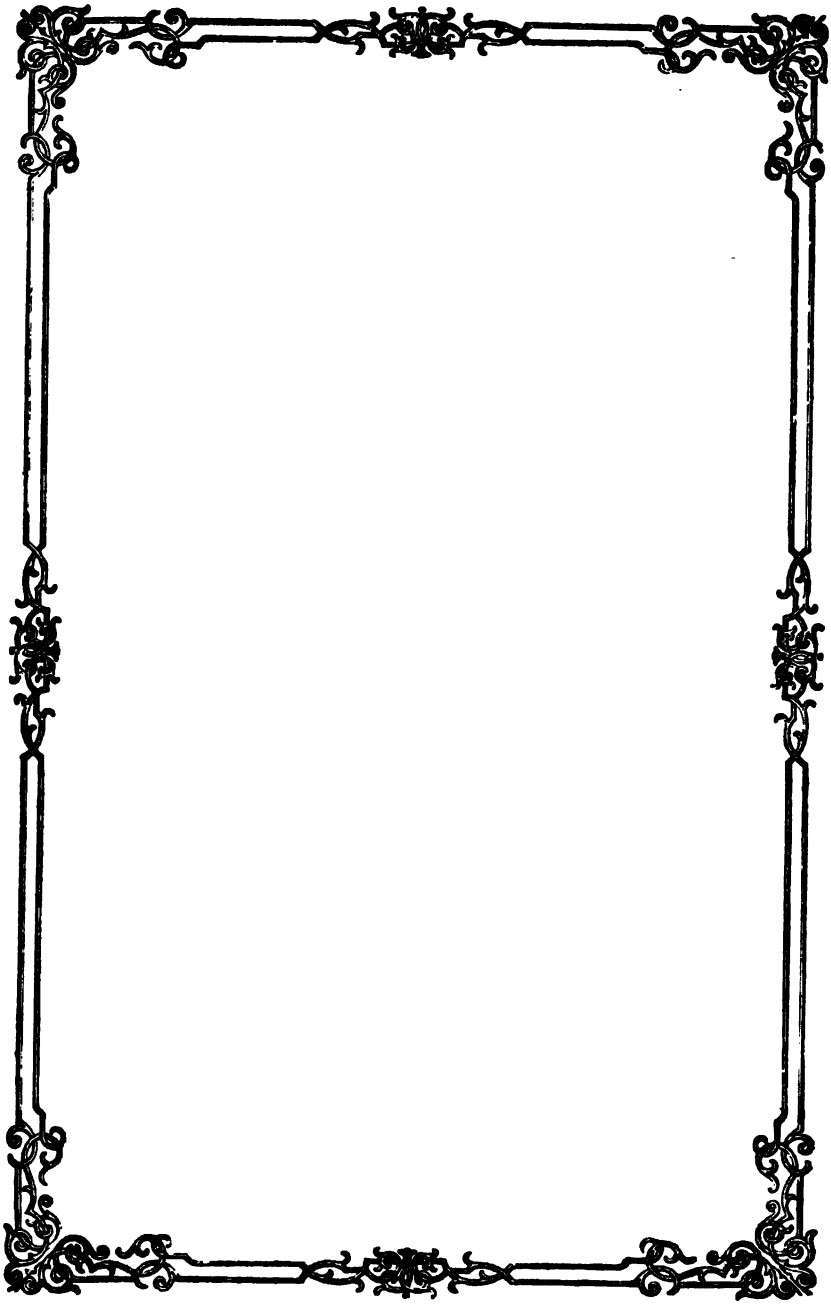

Poeci.

Satyra.

Czy widzisz jak wstaje, siada?
Zrywa się, do siebie gada
Z przewróconemi oczami,
Macha ku niebu rękami;
Nawet płacze, nawet rzewnie;
To musi być wariat pewnie.
„Ogłupiałeś! On poetą.
Szaleństwo jego zaletą.
On zawsze nad ziemią lata,
W nim gra poetycka wena,
Jak grała w myślach Hajdena,
Gdy tworzył stworzenie świata."
Wena! Cożto za instrument?
Ja nie wiem, przysięgam bogu!
„A! ty widzę bratku w rogu.
Kto ma wenę, ma monument,
Który i za życia stawią
Tym, co dziwne rzeczy prawią."
Coż on robi? — „Ciągle pisze,
Co jemu natchnienia każą.
Ja pierwszy raz o nim słyszę.
Bo co pisze, drudzy mażą.
On jednakże niezachwiały,
Tonąc, jeszcze brnie do chwały:
I jak powiadają wszędzie,
Że aż do zawarcia powiek,

Jak pisał, tak pisać będzie."
O cożto za wielki człowiek!
A ty pisałżeś co kiedy?
„Raz najpierszy
Probowałem kilka wierszy
Ale to jeszcze wtedy...
Za Stanisława Augusta,
Gdy, po szczekocińskiej bitwie,
Mieliśmy ruszać ku Litwie.
Byłato bajeczka pusta.
Lecz, że przyjaciela miałem,
Jemu naprzód przeczytałem.
Słucha, myśli, potem do mnie
Acz pomieszany troszeczka,
Rzecze bardzo słodko, skromnie:
Wiesz, żeto kiepska bajeczka."
„Przeszła wojna. Smutno w domu
Próżno drga ręka do szabli;
Więc pisać skusili diabli.
Wyznam ci, nie mów nikomu,
Napisałem dzieł ogromy.
Gdyż dotąd najmniej trzy tomy.
W nich prawie wszystko zawarte,
Co tylko czytania warte.
Był moment, pokusa brała
Zaiskrzyć przed całym światem
Wszystkich mych pism majestatem.
Ach! kogoż nie skusi chwała?
Szczęściem mojem, Piotr zbyt śmiały
Wyprzedził mnie, pędził za nią;
Wydrukował. Wszystko ganią
I utonął brnąc do chwały.

A chociaż tylu widziało,
Co się z nieborakiem stało;
Mimo tak wielką przygodę,
Drudzy za nim, hul na wodę!
Każdy z nich bowiem rozumiał,
Że pan Piotr pływać nie umiał. —
Popłynęli,
Wiatr przeciwny. Utonęli.
Ja tylko jeden po między niemi
Oczekując lepszej pory
Z wszystkiemi skarbami memi
Jak kret skryłem się do nory
Myśląc sobie, kiedyś one,
Jak panny długo tajone,
Skoro wyjrzą na blask słońca,
Trąbić im będą bez końca.
Siedzę, czekam, strach wyjść z nory,
W norze siedzieć nudne życie,
A więc, nie czekając pory,
Przyjaciołom niby skrycie
Czytam, czytam, jeszcze czytam,
Każdego o zdanie pytam.
Brawo! krzyczą, drukuj śmiało!
Nieśmiertelność po cię jedzie.
W prawdzie to wszystko się działo
Po dość wesołym obiedzie.
Tyle zdań zgodnych! Ja szczerze
Moim przyjaciołom wierzę.
Więc do druku; jęczą prasy.
Aż wtem kilku wrzeszcząc wpada:
Biada nam kolego! biada!
Inne przyszły mody, czasy:

Romantyczność bierze górę,
Uciekaj czemprędzej w norę,
Wszystkie dzieła tylu wieków,
Wielkie dzieła Rzymian, Greków,
Jak nasze prace przepadły. —
A każdy rzekł jak trup zbladły.
Na to, ciarki przeszły po mnie:
Gdyż chciałem żyć wiekopomnie;
Potem widząc, że zbyt tchórzą
Przed jakąś nieznaną burzą;
Zatem bardzo zimno rzeknę:
Dzieła piękne, zawsze piękne.
Klasycznie czy romantycznie,
Można pisać bardzo ślicznie.
My nie szewcy, całe życie
Na jednem robić kopycie.
Sprawiedliwie wszystkich ludzi
Ciągła jednostajność nudzi.
A nareszcie, czyż koniecznie
Być poetą, by żyć wiecznie?
Ja, moi bracia, co do mnie,
Pod innym służyłem znakiem.
Chcę, by powiedziano o mnie
Gdy trumnę przykryją wiekiem:
Że żyłem dobrym Polakiem
I zawsze prawym człowiekiem. —
Odeszli, troszeczka z kwasem,
Gdyż już myśleli o wojnie;
A ja tymczasem
Zasnąłem sobie spokojnie."

Przemysław. *Idźmy! — Wyroki moje już są niecofnione —*
Mając w Ryxie kochankę mieć będę i żonę.
Ryxa. *Ach patrz! Ludgarda* —
Przemysław. *Idźmy!* — — —

Sztuka rymotwórcza.

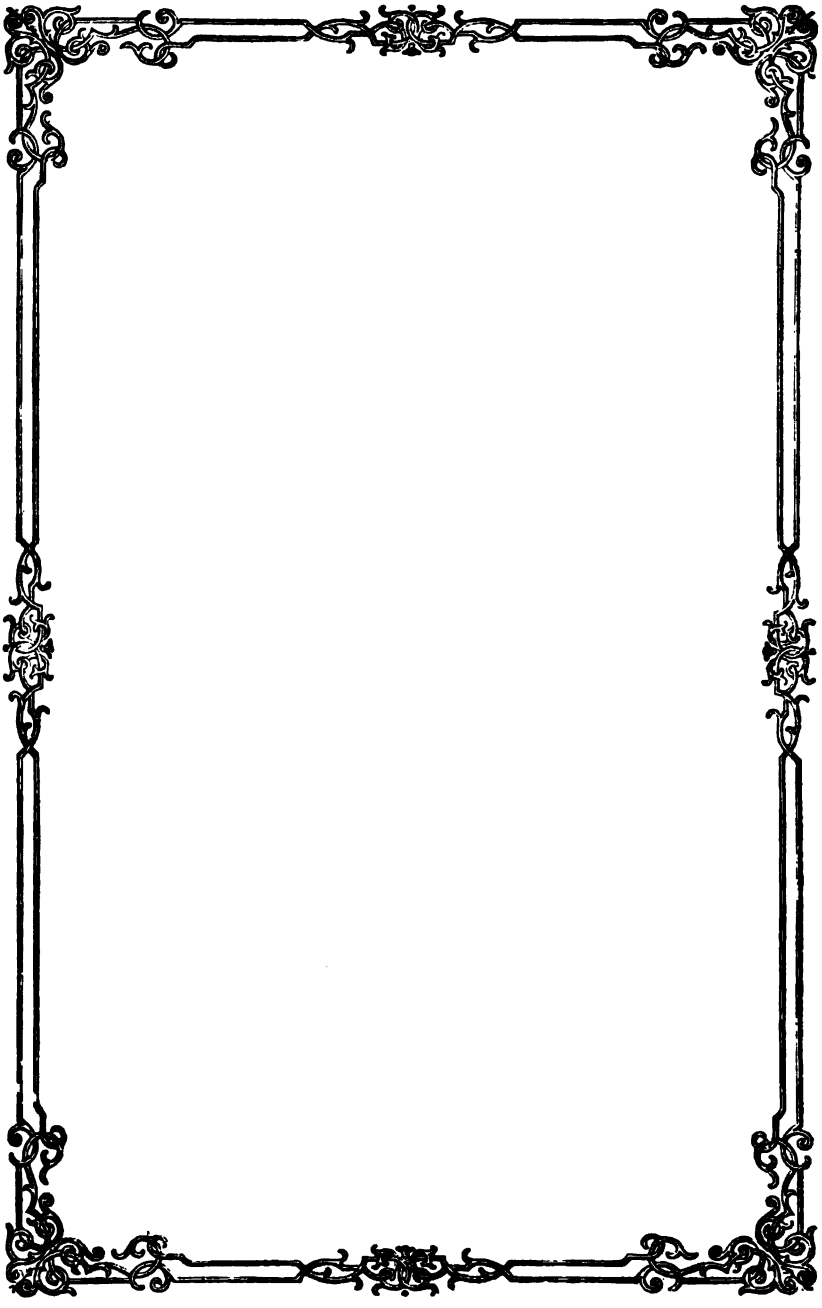

Przemowa.

Gdy niektóre moje bruliony mające służyć za zbiór materiałów do sztuki rymotwórczej i innych pism, przez mało delikatne osoby z tek moich wyjęte, przez też osoby zmienione i pomnożone, nie tylko w obieg zostały puszczone; ale nadto bez mej wiedzy do druku podane, zmuszony przeto jestem istotnych prac moich publiczności udzielać, aby i tej małej, jaką w sobie mają, wartości, przez obce dodatki i myłki przepisujących nie straciły.

O sztuce rymotwórczej, szczerze wyznaję, iż nie tyle dla własnej pisałem chwały, ile dla użytku puszczającej się w ten zawód młodzieży, która w dzisiejszych zapasach i anarchii parnasowej, potrzebuje więcej niż kiedy ostrzeżeń, przestróg, uwag i przepisów, aby z pięknej, wielkiej i do chwały wiodącej drogi nie zeszła w obłędną, którą łatwo zapęd i zarozumiałość, stronnictwo i moda poprowadzić mogą.

Zwykle starzy dawne tylko, a młodzi teraźniejsze dzieła i czasy wychwalają. Co do mnie, dotąd jeszcze biję czołem temu wszystkiemu, co jest pięknem, wzniosłem, zachwycającem, co mówi do serca, podnosi duszę, daje nadzieję nieśmiertelnej chwały, do której, jeżeli nie wszyscy ludzie, to przynajmniej wszyscy autorowie wzdychają, i o nię się kuszą. Biada temu! kto młodzież zwodniczemi wzorami od niej odwraca; kto ten kwiat naszych nadziei tchem zaraźliwym próżności i zawiści, przed dojrzeniem warzy i niszczy. Z boleścią widziałem nie raz, jak zawiść i stronnictwo (te może najszkodliwsze serc

nieszlachetnych wady) szyderskiem wyśmianiem gasiły zorzę wschodzących talentów, które byłyby mogły kiedyś narodowi nawet przyświecać swoją chwałą. Cóż dopiero mówić o cnotach i zasługach, na których poniżenie, dla podniesienia siebie, zawsze one pracują. Ale wracam do rzeczy.

Po pismach o sztuce rymotwórczej Arystotelesa, Horacego, Wida i Boala, trudno już jest co nowego w tym rodzaju napisać. Są prawidła, które wszystkim wiekom służą, a gdyby nawet kiedy niejakie w nich zaszły zmiany, będą tylko odcieniem dawnych. Gdy Boalo (Boileau) rozrucone po tylu dziełach przepisy, w jeden ujął obraz, poszedłem jego śladem. Co więc dosłownie z niego, co z innych wziąłem, co jest mojem własnem, a co naśladowanem, łatwo uczony czytelnik rozpozna.

Przez samo uczucie sprawiedliwości przekonania, łączącego się ze zdaniem powszechnem, podając wzory dla zaczynających pisać, musiałem przywieść (gdzie ku temu miejsce było) imiona niektórych dawnych, niedawno znikłych i żyjących jeszcze wsławionych naszych poetów; pochlebiam sobie, iż mnie nikt nie posądzi, abym przez to chciał najważniejsze dla mej pracy pozyskać kreski. Znany ten sposób, zwykł najczęściej przeciwne sprawiać skutki.

Wystąpiwszy na chwilę jako zastępca na katedrę nauczyciela, schodzę z niej z tem gorącem życzeniem, aby chęć moja i czyste zamiary dosiągnęły swojego celu, chociażby nawet o mnie powiedziano: lepiej naucza, jak pisze.

Sztuka rymotwórcza.

Pieśń.

Cokolwiek myśl doścignąć, co objąć jest w stanie,
Wszystko pod swe poeta bierze panowanie.
Jegoto wyobrażeń i pomysłów władza
Pod twórcze pióro same piękności zgromadza:
On jest wielkim malarzem w najmniejszych obrazach,
W naturze zbiera wzory, farby ma w wyrazach,
A co sam widzi, czuje, co przez myśli toczy,
Do mego wciska serca i stawia przed oczy.

W przyczynach swoich działań przyrodzenie skryte,
Dzieli między autorów dary rozmaite:
Tego wiersze goreją miłości płomieniem,
Ten tkliwem ciężkie straty opłakuje pieniem;
Ów nad obłoki orła wybija się lotem,
Ów uciesznym zaostrza epigramę grotem.
Jan Kochanowski niechaj wielkość boga głosi,
Jęczy za swą Urszulą, jej grób łzami rosi.
Szymonowicz niech spiewa łąki, pola, gaje,
I miłości pasterskie i wiejskie zwyczaje.
Krasicki, co z dowcipem połącza gust czysty,
Niech pisze fraszki, bajki, powieści i listy.
Nadewszystko satyry. W nich się wzorem staje,
Czołem bije osobom, gani obyczaje. *)
On każdego rodzaju okrył się zaletą:
Jest wesołym, poważnym i tkliwym poetą.

*) Krasicki.

Ale być nim nie jeden przeto się rozumie
Że czczych słów miliony w rymy wiązać umie;
Że kraj cały zalewa swych wierszy potokiem,
Na które, prócz drukarza, nikt nie rzucił okiem.
On niczem niestrwożony, w niczem zawad niema,
W minucie ulał odę, a w trzech dniach poema.
Czasem, dla odpoczynku, zniżyć siebie raczy,
Homera, Ariosta, Miltona tłumaczy.
Niestety! jaka strata i zdrowia i czasu,
Nieustannie się wdzierać i spadać z parnasu.
Skąpo natura wielkich talentów udziela.
Tycian przemalować nie śmiał Rafaela.

Jeżeli na słowiańską chcesz przetopić mowę
Iskrzące pięknościami ich pienia wzorowe,
Z uczuciami tych mistrzów połącz swe najściślej,
Przejmij się ich natchnieniem, zanurz się w ich myśli.
Waż słowa, daj każdemu miejsce przyzwoite,
Ale to, żeś je ważył, niech będzie ukryte.
W tem śmiałem przedsięwzięciu twem staraniem pierwszem
Każdą rzecz wiernie oddać harmonijnym wierszem.

O czemkolwiekbądź piszesz, chciej pamiętać o tem,
By zgodnie rozum z rymem szły za swym przedmiotem,
Próżno się nienawidzą przez różnicę stanu,
Rym niewolnik, posłusznym powinien być panu.
Będzie nim, lecz go nie dręcz. Wielką tych jest wadą,
Co nań wszystkie ciężary, jak na osła, kładą.
Naśladuj wiersz Molskiego: rzecz ta ciebie godna,
Lecz po nim już nie spełniaj kielichów aż do dna. *)

*) Rymy sławne Molskiego w obronie Stanisława Augusta: godna, do dna; Polaków, Kraków.

Nie zdziwisz, ale raczej uśmieszysz rodaków,
Że choć z drogi, koniecznie zawrócisz na Kraków,
I nie myśl, że rym piękny, a sensu daleki,
Jak kolumna Pompeja, przetrwać może wieki.

Gdy romantyczność z wszelkich wyzuta wędzideł
Uwiecznionych odbiegła wzorów i prawideł,
I wszędy przelatując pod hasłem swobody,
Wyrzuciła na Parnas kość długiej niezgody;
W miejscu, gdzie swój majestat założyła sława,
Same dzisiaj stronnictwa, niesnaski i wrzawa.
Wszystko w warze próżności swym się kręci wirem.
Tu wrzeszczą za Rasynem, ówdzie za Szekspirem.
Po pięknych błoniach Gōtych, Szyllerów, Bajronów.
Pełno zdrożnej swawoli w dziwactwach przegonów.
Mary, widma i duchy snując się bez przerwy,
Do reszty muz drażliwych wyniszczają nerwy.
Nie przeczę, i ten rodzaj ma wielkie zalety,
Jeśli go w ścisłe karby wziął talent poety.
Lecz rodzaj bez talentu chwały nam nie zjedna.
Na sto lecących balad, dobra ledwie jedna
Każda, chwilę zabłyśnie jako raca właśnie,
Iskrząca wylatuje, zaiskrzywszy gaśnie.
Źle biedz ślepo za modą, dla tego że moda.
Ileż poczwar z piękności wyszło Wallenroda!
Lubię ja ten głos słyszeć: Kiedy wieki zbiegłe
Nałogowi małpiarstwa były zbyt uległe,
Otwórzmy inne szranki dla myśli człowieka
I zawstydzajmy przeszłość chwałą co nas czeka.
Nic więzów. Jestże człowiek, sąż jakie narody,
Któreby nie tęskniły i do tej swobody?

Sądzim, że myśl poety żadnych granic nie ma.
Że, patrząc w nieśmiertelność śmiałemi oczyma,
Może nam nieustannie przez dzielne wyrazy
Coraz większe jej cudów przesuwać obrazy;
Lecz natura, chcąc skrócić śmiałość tej nadziei,
Ciemność i światło ludziom wypuszcza z kolei.
Myśl więc, żeśmy w niej wyżsi od Rzymian i Greków,
Może nas wstecz potrącać do zbłąkanych wieków.
W wolności, jak we wszystkiem, zachowajmy miarę.
Chwalmy równo co dobre, czy nowe, czy stare.
Ten tylko nam nie przyzna, co sądzi zapałem,
Że wszystko jest klasycznem co jest doskonałem.
Poeta czy się czołga, czy lata po niebie,
Zbyt srogo innych sądzi, zbyt pochlebnie siebie.
Niepomny, że go wkrótce potomność osądzi,
Która na grobach naszych rzadko kiedy błądzi.
Ja tu nie o tych mówię, którzy z dzisiaj żyją,
Dumni, że czasem czarkę czczych pochwał wypiją,
Ale o tych, co kraju ozdobą być mogą,
Jeśli błędną nie puszczą swych zdolności drogą.
Ty w tej domowej wojnie zostań obojętnym.
Badaj się, czy nie jesteś jak drudzy namiętnym,
Czy zbyt dawność, lub nowość nie unosi ciebie,
Czy się czołgasz z innymi, czy latasz po niebie.
Od każdej, nim rozważysz, nowości stroń zdala:
Nie wszystkiemu dowierzaj co zapęd pochwala,
Nowość, stronnictwo, moda, jak z śniegu potoki,
Rwą wszystko, by nurt sobie wyryły głęboki.
Lecz wróci słońce, znikną pożyczane wody,
I zwrócą się ku słońcu ludzie i narody.
Wierzaj mi, te są piękne i trwałe budowy,
Które stawia gust czysty i rozsądek zdrowy.

Jak zawisny kochanek od kochanki swojej
Na krótką nawet chwilę oddalić się boi,
Tak nie jeden, gdy myśli nie umie dać zwrotu,
Nim go wyssie, dopóty nie rzuci przedmiotu.
Jeśli wszedł do ogrodu, ani miej nadziei,
By ci choć jednę plantę wypuścił z kolei,
Musisz koniecznie wiedzieć jakiego są rodu,
Z południa czy z północy, z wschodu czy z zachodu,
Jakie mają własności, w jakim gruncie rosną;
Że zmarznąć mogą w zimie, że puszczają z wiosną,
On tobie gotów, nawet bez żadnej pomyłki,
Liczyć ząbki na listkach i na kwiatach pyłki,
A że tyle spamiętać trudno jest niezmiernie,
Więc wszystko kilkokrotnie powtarza ci wiernie.
Te są czczej obfitości cechy niezatarte;
Ty, maluj nie co widzisz, ale co jest warte.
Wszystko co nadto, powiesz z niesmakiem i wstrętem,
Przez nasycony umysł zostanie odciętem.
Kto nie znał w pismach granic, ten pisać nie umiał:
Wpadł w gorsze ten co złego uniknąć rozumiał.
Zdawał ci się wiersz słaby, w twardy go przelałeś,
Strzegłeś się być rozwlekłym, i ciemnym zostałeś.
Ów zbyt muzę obnażył, by prostotą słynął;
Ów się bał nadto zniżać, i w obłokach zginął.
Inny ma za zniewagę iść za jakim wzorem.
Chcąc więc oryginalnym zrobić się autorem,
Puszcza w dzikie bezdroża lot swych wyobrażeń;
W nich zbiera mnóstwo dziwnych myśli i wyrażeń,
I hojnie ten skarb drogi rozruca w sonety
Wytłaczane z przepychem, nakładem poety.
Pragniesz dla się powszechne zyskać uwielbienia?
Wdzięczną rozmaitością zaprawiaj twe pienia

Nie czytamy autora co nas zmusza ziewać,
Co razwraz jednym tonem zda się psalmy spiewać.

Jakbądź piszesz, pisz, można; lecz płasko, broń boże!
Styl, chociaż mniej wyniosły, przyjemnym być może.
Lubię nieraz, wielkości wrzawą zmordowany,
Skryć się w mój dom ubogi, w te lepione ściany, *)
I prostota ma drogę wytkniętą do chwały.
Lecz był czas, gdy na Parnas, jako grad padały
Poziomych rymotwórców napuszone płody:
Bez sensu dziewosłęby, bez zapału ody.
Gdzie autor nędznym wierszem i błahością rzeczy
Co słowo, rozum, uszy i język kaleczy.
Nikt na świat nie przychodził, nikt świata nie rzucał,
Aby się świat nie cieszył, lub świat nie zasmucał.
Każdego co miał urząd, znaczenie lub włości,
Wśród trąb nieśli poeci do nieśmiertelności.
A im kto pisał więcej, trefniej i zawilej;
Tym do szczytniejszej chwały zyskiwał przywilej.
Nakoniec, wiek Augusta otrząśniony z błędów,
Pohamował tę powódź szalonych zapędów:
A rozróżniając płaskość od pięknej prostoty
Rzucił na pastwę mulom olbrzymie ramoty.
Maszli podobnie pisać? próżno głowy nie łom:
Taki styl nie przystoi poetyckim dziełom.
Gminowi zostaw trefność, nie naśladuj Baki, **)
Jego wiersz jednosłowny zawsze ladajaki.

---

*) Karpiński: Powrót do domu.
**) Wiersz tegoż Baki.

Ni z Bardzińskim w Farsalii nie syp gór jęczących,
Złożonych z ciał pomarłych i ciał konających *).
Nawet choć w rzędzie sławnych poetów go liczym,
Strzeż się z szumnonadętym biedz Naruszewiczem.
Który chcąc Horacego podnieść lot wysoki,
Leje paszczą pluszczącą nie syte posoki **)
Ty prostotą kryj sztukę, idź w natury ślady:
Twórz wyniosłość bez pychy, piękność bez przesady.
Pisz tak, by twoje pisma zawsze były świeże,
Niechaj ucho surowo zgody dźwięków strzeże:
Niech w potoczystych wierszach myśl swobodnie pływa,
Zawiesza ich średniówkę, z nią troche spoczywa,
Niech samogłoska, zawsze zbyt szparko lecąca,
O drugą samogłoskę rzadko się potrąca.
Każdą rzecz, harmonijnych słów okraś doborem,
Chroń się tych, co z ust z ciężkim wychodzą oporem,
Wiersz pełny, myśli wielkie nie dobiegną duszy,
Gdy jego chropowatość razi moje uszy.

Niegdyś, w owym pierwotnym muz słowiańskich czasie,
Jakie kto chciał stanowił prawa na Parnasie.
Wiersze bez miar, średniowek i bez rymów prawie,
Zaledwie miernej prozy równać mogły sławie,
Zakonne dialogi, pieśnie bożej chwały,
Ni świętego zapału, ni sensu nie miały.
Głupstwa i nadętości związek nader ścisły
W zamętach szkolnych ciążył na młode umysły.
Bez wzorów i zachęty, bez pewnych prawideł,
Nikt nie śmiał i nie umiał wznieść poziomych skrzydeł.

---

*) Bardziński.
**) Wiersz Naruszewicza.

Aliści, z powszechnego uspienia ockniony,
Wziął lutnię i słowiańskie nawiązawszy strony,
Jan Kochanowski pierwszy, tkliwy i przyjemny,
Podniósł myśli i wierszom kształt nadał foremny,
Nie tak przecie, by za nim ślepo pędzić w ślady.
Ma on wielkie piękności i niemałe wady.
Z jego braci i z innych wierszopisów wielu,
Żaden zamierzonego nie dosiągnął celu.
Piotr czasem w świętej wojnie do Tassa się zbliża:
Jędrzej ciągle Marona kaleczy i zniża.
Twardowski, jak dziejopis i prozą rymową
W swym poemacie wojnę opiewa domową:
Chrościński w heroidach, wyjąwszy imiona,
Nawet aż do tytułu odstąpił Nazona.
Otwinowski, Żebrowski, gładszem piórem nieco
Rzadko gdzie pięknościami Owidego świecą.
O śmiałej Petrycego nic nie wspomnę pracy.
Jakąż mową oddanym być może Horacy!
Jeśli upadli w swoich śmiałych przedsięwzięciach;
Czasy są ich wymówką, a zasługi w chęciach.
Lecz Szymonowicz wzgardził tą obroną wieków:
Nie miał wzorów w ojczyznie, szukał ich u Greków.
Słodkie jego sielanki ktokolwiekbądź czyta
Wdzięki zsłowiaczonego czuje Teokryta. *)
Zimorowicz z Gawińskim, acz mniejszej zalety,
Wdzięcznie się jednak w wiejskie odzywają flety.
Zdawało się, że przez nich niebo nam łaskawsze
Muzę Kochanowskiego powraca na zawsze;
Ale przebóg! następcy jakby dla przekory,
Odpędzając z pism swoich gust, rozsądek, wzory;

*) Fr. Dmochowski.

Psuli ojczystą mowę zepsutą łaciną,
Skarani! w wiekuistej niepamięci giną.

Pierwszym dla nas był wprawdzie Trembecki przykładem
Jak pięknym wiersz uczynić samym słów układem,
On, czystości języka pilnując surowo,
Dowiódł, że ma właściwe miejsce każde słowo.
W treściwych jego wierszach ukrytą jest sztuka,
Zda się że nie on rymu, lecz rym jego szuka. *)
Łączyć myśli i zręcznie umie myśli staczać.
Wiersz jeden nie śmie nigdy na drugi zakraczać;
A jeśli zań niekiedy przejść pozwoli sobie,
Nie z musu, ale zawsze ku rzeczy ozdobie.
Nieznanym poprzednikom puściwszy się torem,
Byłby doskonałości dla następców wzorem,
Gdyby (ostateczności tykają się blizko)
Ze szczytu wyniosłości nie spadał zbyt nizko.
Lecz, przy wielkich zasługach, nikną błędy małe.
Wdzięcznością naszą milszą uczyńmy mu chwałę,
Jegoto szkoły ucznie, z niego przykład brali
Ci, co dziś mistrza przeszli, lub co mu zrównali.

Są, których myśli ciężkie i nierozognione,
Snują się zawsze w miejscu mgłami otoczone:
Nigdy promień rozumu nie przebił tej chmury,
Nieustannie padają chcąc się wzbić do góry.
Cokolwiek więc dla innych przedsiębierzesz kryślić
Niżeli zaczniesz pisać, naucz się wprzód myślić.
Pojmiesz dobrze twój przedmiot, wnet słowa przylecą.
One ćmią myśl zawiłą; myśli jaśnej świecą.

---

*) Aloizy Feliński.

Jeślim cię nie zrozumiał, powtarzasz daremno,
Nie ja tępo pojmuję, lecz ty piszesz ciemno.
Wszelkich pism ta jest pierwsza i najdroższa własność,
By dać najgłębszej myśli promienistą jasność.

Czasem dla piękniejszego wydania obrazu,
Wyraz albo jest słaby, lub braknie wyrazu.
Otwórz więc dawne xięgi staropolskiej mowy,
Szukaj, poradź się Słowian; nie znajdziesz? twórz nowy,
Ale go twórz z uwagą, tak, by łącząc razem
Wdzięk z treściwością, zdał się być znanym wyrazem.
Na język nasz częstokroć płocho wyrzekamy,
Jestto skarb nieprzebrany ale go nie znamy.*)

Nie naśladuj tych nigdy, co nowemi słowy
Zasłużone z ojczystej wypędzają mowy,
Żaden się z nich tłumaczyć jak inni nie może,
Napisze ci ziemica; a ziemia? broń boże!
I bez żadnej przyczyny, bez żadnego celu,
Odmienia płeć wyrazów, jeden zlepia z wielu;
Tak, że ten dziwny potwór, albo zbyt szeleści,
Albo przez swą otyłość w wierszu się nie mieści.
Dla słów tworzonych gustem z potrzeby, nie z mody,
Możesz być prawie pewnym jednomyślnej zgody.
Lecz gdy zły nowy wyraz, stokroć lepiej zatem
Przyjąć obcy i uczcić go indigenatem.

W pismie, co cię ma stawić w rymotworców rzędzie,
Nadewszystko niech język szanowanym będzie.
Niech nadto miękkie pióro zbyt stylu nie muska,
Pisz po polsku, a nigdy po polsku z francuska.

---

*) Fr. Dmochowski.

Nie naśladuj wyrodków, i grom ich surowo,
Co dla obcej ojczystą pogardzają mową.
Broń wziętej po naddziadach tej drogiej puścizny,
Z której upadkiem idzie upadek ojczyzny.
Pisz zwolna, nieustannie pamiętając o tem,
Że nieład za pospiechem jednym pędzi lotem.
Poeta każde dzieło w gorączce utwarza;
Ty więc wcześnie rozsądek wezwij za lekarza.

Spiesz pomału i mężnie, gdy już koniec wzięło,
Dwadzieścia razy w odwrót bierz na warstat dzieło.
Pisz i maż, pisz, odczytuj; maż wiele, pisz mało,
I nie łudź się nieuków lub grzecznych pochwałą.
Nie dość dla pisma które tysiąc błędów ciśnie
Że gdzieniegdzie wyskokiem dowcipu zabłyśnie.
Szykuj myśli i słowa, niech przez ciągły wątek
Środkowi odpowiada koniec i początek.
Niech, przez powabną skrytej sztuki okazałość,
Tworzy się z pięknych części doskonała całość.
Lękasz się surowego publiczności sądu?
Nie przebaczaj twym pismom, chroń się w nich nierządu.
Głupstwo zawsze jest chętne chwalić samo siebie.
Staraj się o przyjaciół chcących sądzić ciebie,
Staraj się aby byli (acz takich nie wiele)
Prac twoich powiernicy, wad nieprzyjaciele.
Skromność, miłą wszystkiego zaprawą się staje;
Zniż więc dumę, coć imię autora nadaje.
Unikaj pospolitej wierszopisom wady:
Szukaj nie tych co chwalą, lecz co dają rady.
Dba o twoich dzieł sławę, kto z nich złe odcina.
Poprawiał poprawiany Boalo Rasyna.

Znaj pochlebcę. On zaraz wielkość twoję głosi,
Każdy wiersz co mu czytasz dziwi go, unosi.
Wszystko boskie! przecudne! Siada, wstaje, skacze,
Zadziwiony słupieje, roztkliwiony płacze.
Nie wierz mu chociaż nie raz z zachwycenia wrzasnął;
On się tem tylko broni ażeby nie zasnął,
Nie wierz w obiecywaną tobie nieśmiertelność,
Prawda ma postać skromną, przesadną bezczelność.
Mądry przyjaciel, srogi i nieubłagany,
Każdy błąd wytknie tobie, zmusi do odmiany:
Miejsc słabych nie przebaczy, i podnieść je każe,
Wiersz twardy zmiękczyć radzi, a wiersz zły przemaże.
On stylu napuszystość lub ciemność wytyka,
On mówi: tu jest nieład, tu myłki języka;
Taki głos zwykle bywa prawdziwych przyjaciół.
Ale nie jeden tak się w rytmach swoich zaciął,
Że obstając za niemi, ile tylko razy
Chcesz go poprawić, zaraz ton bierze urazy.
Tego wiersza, powiadasz, że złe wysłowienie
„O przepraszam. Co tego, to już nie odmienię."
Ty przekładasz: ten wyraz piękność myśli zmniejsza.
Jabym go rad. — „Zmiłuj się to rzecz najpiękniejsza!"
Ten zwrot mi się nie zdaje. — „On wszystkich unosi."
Tak więc ciągle pochwały swoich błędów głosi.
I jeśliś mu choć słowo do poprawy wskazał,
To właśnie jest przyczyną aby go nie zmazał.
Mówi jednak że rady ma twe na uwadze
Że ci nad swojem dziełem zupełną dał władzę;
Lecz te wszystkie grzeczności któremi cię łechce,
Są łapką byś go słuchał, choć się słuchać nie chce.
Skończył, pełen tryumfu odchodzi, i szuka
Ażeby mógł zadziwić jakiego nieuka.

Znajdzie go bez trudności, bo wprawdzie, jeżeli
Wiele głupich autorów, więcej ich czcicieli.
Każde najbłahsze dzieło, od niepomnych czasów,
Zawsze gorliwych o nie miało mecenasów.
Słowem zważywszy wszystko na rozsądku szali,
Znajdzie głupi głupszego który go pochwali.

Pieśń II.

Wpośród zamożnych grodów, wielkości przybytków,
Pozwalam, nie szczędź ozdób przepychu i zbytków.
Zawieszaj tam obłoki na miedzianych szczytach,
Tocz złociste rydwany po gładkich granitach,
Zachwycaj wzrok i zmysły, otwórz mi podwoje,
Gdzie po miękkich jedwabiach stąpa bóstwo twoje.
Z jej czarujących wejrzeń syp zabójcze gromy,
Po ulotnych kędziorach mieść sylfy i gnomy;
Niech jej śnieżyste ciało świetna kryje szata,
Na którą się składały cztery części świata.
Lecz jeśliś polubieniec ciszy i natury,
Od których cię dzieliły niebotyczne mury,
Schodząc w pokryte strzechą wieśniacze zagrody,
Chcesz spiewać łąki, pola, pasterze i trzody;
Proszę cię i zaklinam na bogi i nieba,
Nie wznoś trąb epopei, nie przyzywaj Feba;

Ani z włosów Jutrzenki palcy różanemi *)
Wstrząsaj perłową rosę dla spragnionej ziemi.
Przez słodkie tylko zdołasz prostej fletni pienia,
Zebrać wiejskie dziewice pod bukowe cienia,
Przypatrzyć się ich wdziękom, niewinnym zalotom,
Wytworności bez sztuki, miłości i cnotom.
Nie szukaj dla nich ozdób; na poblizkiej łące
Znajdą, jak same, piękne i świeżością tchnące.
Biada temu kto złoto miesza w ich uploty,
Kto nie różniąc prostactwa od wdzięcznej prostoty,
Gdy gustem i rozsądkiem wyrazów nie mierzy,
Mowę pastuszą w usta przenosi pasterzy:
Lub z nich utwarza pełen homerowskiej weny,
Wymuskane Parysy i zgubne Heleny. —
Pragniesz w tych miłych spiewach ujść wszelkiej przysady?
Wstępuj za Teokrytem i Wirgilim w ślady.
Oni tobie jedynie, oni wskazać mogą
Którą się bez podłości zniżyć możesz drogą.
Patrz! jak inne celuje Amarylis młoda!
Jak skromne jej wejrzenia! jak kształtna uroda!
Jak piękna! gdy zwiesiwszy nad wstydliwem czołem **)
Wieniec, z polnych bławatków rownem wity kołem,
Na głos fletów od rzeskiej ścigana młodzieży,
Po wierzchu gjętkich trawek, jak cień lekka bieży,
I nie chybiając miary, tak swym krokiem włada,
Że zawsze jakby trafem w ręce swego wpada.
Oby twoja sielanka jej była podobną!
Równie jak ona czułą, skromną i nadobną.

---

*) Wyrażenia ulubione Francuzom.
**) Gawiński.

Tkliwszych tonów smutniejsze wymagają sceny.
Ach cóż jest smutniejszego nad żale i treny? *)
Nad tych! co niepowrotnej opłakują straty? —
Ich twarze łzami zryte, ich żałobne szaty,
Wzrok ostry, włos w nieładzie, i martwe milczenie,
Okropne na mej duszy sprawiają wrażenie.
Próżno stroskana przyjaźń pociechy im niesie,
Litość srożej ich jeszcze rozjątrzać zdaje się.
To przez najtkliwsze jęki, czułość i kochanie
Niebo, ziemię i piekieł wzruszają otchłanie;
To wśród bezsennych nocy, gdy światło xiężyca
Ociemnionym jodłami grobowcom przyświeca,
Przerażającym głosem z wiecznego uspienia
Wzywają miłych osób niepowrotne cienia,
To nakoniec, przez wszelkich uczuciów pozbycie,
Pragną pogardą życia nędzne skończyć życie.
Wówczas myśl, którą rozpacz tworzy zapalczywa,
Od pociech świętej wiary nagle się wyrywa.
I kiedy obłąkana za ten kres ucieka,
Którym stwórca okrążył pojęcie człowieka,
Waha się, powątpiewa, złorzeczy, urąga,
I na wszystko okropne nicestwo rozciąga.
Lecz wnet rozum myśl cofa, przeraża ją trwoga,
Wraca sercu nadzieję wracając do boga.
O! ty więc, w którym muza wznieca myśl i chęci,
Przenieść znikłych, do wiecznej żyjących pamięci;
Jeśli chcesz byśmy żal twój dzielili i czuli,
Płacz tak jak Kochanowski swej płakał Urszuli;
Lecz by jego uczucia mogły być oddane,
Trzeba kochać, i stracić osoby kochane. —

*) Treny, rodzaj poezji opłakującej ciężkie straty, różniącej się od elegiów.

Jakże bezczelność tego poety obrusza!
Który mnie, sam zmrożony, do tkliwości zmusza,
Który szukając myśli dwadzieścia piór zmęczy.
A czy w więzach miłości umiera, czy jęczy,
Swym pismom nad któremi nieustannie drzymie,
Nadawszy świętokradzkie elegiów imię,
Przez sto wierszy kochanka przybierając postać,
Nie może nim, nie może i na chwilę zostać.
Niebaczny! jakże śmiałeś, po tych bryłach lodu,
Do jednego z Tybulem posunąć zawodu?
Trzeba znać (nim się równej jemu sławy dopnie)
Wszystkie nieszczęść, czułości i kochania stopnie.
W jego pismach wiersz każdy ma serce i duszę.
W nich ja czuję że żyję, w twoich martwieć muszę.
Ach czemuż się przed tobą jego skryła xięga?
Tambyś poznał co miłość, jaka jej potęga,
Jej dziwactwa, roskosze, cierpienia i żale.
Zlituj się! lub pisz lepiej, albo nie pisz wcale.

Co za obfitość myśli? jaka w nich swoboda?
Z jakąż mocą i z jaką wspaniałością oda
Wznosi się nad poziomość nikczemnych prawideł?
Lot najwyższy jej śmiałych nie morduje skrzydeł.
Pełna wielkich obrazów i twórczego ducha,
Jako piorun wypada, jak płomień wybucha *).
Ona w świetnych gonitwach, wśród drżących kochanek,
Niecierpliwe rycerze wypuszcza do szranek.
Głosi tryumfy zwycięztw, Olimpu narady,
Maluje gzy, miłostki i skoczne biesiady.
Topi niezbędne troski w spełnionym puharze,
Wiedzie trwożne dziewice przed święte ołtarze.

---

*) Fr. Dmochowski. Sztuka rymotworcza.

Lub nagle, w uniesieniach granic nie mająca,
Do dna piekła przewraca, i o gwiazdy trąca.
Próżno cię więc twe pióro do jej lotu wprawia:
Ty drzysz na jej szaleństwa, karcisz jej bezprawia,
I nie dostrzegasz, mimo wielkość twej nauki,
W jej dziwnych zwrotach związku, w jej nieładzie sztuki;
Lecz jak ckliwy dziejopis, na dni i godziny
Licząc kroki i wszystkie bohatyrów czyny,
Ciężkie, i zawsze jednym przedmiotem ciężarne,
Lejesz wiersze jak działa co rozbiły Warnę.
Czujesz w sobie jej zapał? nim się imiesz pracy,
Niechaj całego ciebie przeniknie Horacy.
Nader wielu go czyta, czuje nader mało.
Poznałeś go do gruntu? zaczynaj! i śmiało
Rozpuść myśli w przestrzenie niemające końca,
Zgłąb serca, obież ziemię i wzbij się do słońca!
Umiej jednak nad sobą panować w zapale:
Łatwo wpół zwycięztw zginąć, lecąc zbyt zuchwale.
Domysłem tylko możesz, albo długą wprawą
Zgadnąć, gdzie się masz wstrzymać, lub cofnąć ze sławą.
Niebezpieczny to zawód! tyle zbiegło wieków,
Sam Horacy wśród Rzymian, sam Pindar u Greków!

Wielu lada wierszykom, co ledwie sens mają,
Epitrów czyli listów świetne imię dają:
I nie zważając wcale co onych zasadą,
Stosy nikczemnych pochlebstw na pochlebstwa kładą,
Próżno tych ofiarników zwracasz do prawideł.
Nie rzucą trybularzów, aż braknie kadzideł.
Listy, czy tym podobne, przez jakowe czasem
Z ulubionym Horacy mawiał Mecenasem;

Czy tym, w których Krasicki za Boalem w ślady,
Igrając upomina, lub wyszydza wady;
Niechaj wznioślejszej prozy mają tok i własność,
Styl gładki, zwięzłość rzeczy, swobodę i jasność:
Wśród wesołych, obficie syp dowcipu kwiaty,
Smutnym, tkliwym, głębokim, daj poważne szaty.
Niech z jednej myśli druga łatwo się wysnuwa,
A wiersz lekko się toczy, lub dumnie posuwa.

I piosnka ma swą sztukę i piękności swoje.
Nie myśl więc byś tchem jednym mógł ich stwarzać roje!
Jak tę lubię, co kiedy głos tkliwy podniesie,
Wszystkie uczucia serca wyjawiać zdaje się.
Wśród szczęścia lub rozpaczy, nadziei lub trwogi,
Nigdy z lubej nie zbacza przystojności drogi.
Zawsze mówi z kochaną i tkliwie i skromnie;
A co mówi o innych, ja myślę że o mnie.
Czemże są przy niej owe spiewy niezliczone
Z błahych myśli, z półmartwych uczuciów zlepione?
Ich skaliste boginie nudzą mnie niezmiernie.
Wonie róży mię słabią, a zbyt kolą ciernie.
Kochankowie w kajdanach, zawsze w strasznej męce,
Najpokorniej całują dręczycielki ręce.
Nie spiewaj mi tym tonem! nic mnie on nie wzruszy.
Czego serce nie słucha, to morduje uszy.
Zasmucać i roztkliwiać, te są pieśni cele,
Słów mało, nic przysady, a obrazów wiele.
Czcza sława, stuxięgowym chcieć zostać autorem.
Doskonałość iść zwykła za niespiesznem piórem.
Lecz, jeżeli przy chętce niezbędnej pisania,
Bez talentu, masz tylko łatwość rymowania;

Odrzuć papier, a idąc za przodkami twemi,
Orz lemieszem twą skibę, broń szablą twej ziemi.
Nie żałuj kto źle pisze, wiele siebie ceni.
Ów, któremu papiery wyłażą z kieszeni,
Że raz, dwa, nie złe wiersze ułożył trafunkiem,
Upojony próżnością, rymotworców trunkiem,
Najwyższej odtąd chwały powziąwszy nadzieję,
Jak Niagara wody, zawsze wiersze leje.
Nie zasnie, póki nowej piosenki nie skleci,
Budzi się i dzień dobry z ust wierszami leci;
Wychodzi, uprzykrzone z nim lecą owady,
I długie logogryfy i krótkie szarady,
I fraszki i zagadki, natrętna gromada!
Która wszystkich, a nawet gazety obsiada.
Stój poeto! twa muza nazbyt wiele lata,
Wszakże sam bóg odpoczął po stworzeniu świata.

Pieśń III.

Szczęśliwy ten, co zdołał nieśmiertelnem pieniem
Połączyć imię swoje z ojczyzny wspomnieniem.
Tak kiedy wszystko wiecznej ulega zagładzie
Homer z Grecią swoją żyją w Iliadzie.
Tak Ossian, co gorzko swych się strat użala,
Dotąd w obłokach szkockich unosi Fingala.
Oto z nadbrzeżów Dniepru, nad Dnieprem zrodzona,
Idzie sławiańska duma, laty obciążona,

Łzawem na zbiegłe czasy poglądając okiem,
Powolnym w zamyśleniu postępuje krokiem.
Ona z przeszłości zdarzeń życie swoje bierze.
W niej miłością i męztwem pałają rycerze.
Świadkiem przygod, i świadkiem będąc wielkich czynów,
Z ust do ust je przenosi od ojców do synow.
Przyjaciółka czułości, wszystko nią przenika:
Wesołości i żartów, dowcipu unika.
Rzucając wzrok boleści na królów siedliska,
Na groby wojowników, na grodów zwaliska,
Głosem samego serca i wdzięcznej prostoty;
Spiewa naddziadów dzieła, miłości i cnoty.
Ten pierwszy wsparł jej starość, co na śnieżnym koniu
Prowadził Sieniawskiego po cecorskiem błoniu *)

Ale rytmy wszelakie, lekkie czy wspaniałe,
Mają właściwe wdzięki i właściwą chwałę.
Tak powieść, doskonałej ma cechę powieści:
Jeśli pasmem wypadków które w sobie mieści,
Ostrzy moję ciekawość, słuchać mnie przymusza,
Zajmuje, bawi, śmieszy, zachwyca lub wzrusza;
Tak epigramma, która dowcipu jest płodem,
Kilkorymowym zwykle ścieśniona obwodem,
Gdy zręcznie igra z myślą, trafny zwrot jej daje,
Dopełnia swego celu i znośną się staje;
Ale kiedy na oślep lecąc jak szalona,
Żądło z jadowitego wypuszcza ogona;
Gdy drzą na jej szyderstwo niewinność i cnota,
Którem kąsa, obraża, lub obelgi miota,

*) Julian Ursyn Niemcewicz.

Gdy niem zabić gotowa częstokroć dla rymu,
Wówczas chciałbym na powrót wygnać ją do Rzymu,
Gdzie to Marcialisa ulubione dziecię
Wzięło i dało mnogim pokoleniom życie.
Nie sądź bym chciał na dowcip kłaść więzy niewoli;
Niechaj czasem w przelocie muza poswawoli,
Z słowem jakiem, mającem znaczenie dwoiste;
Lecz to słowo niech będzie jak niewinność czyste.
Precz ten, co myśl swawolną bezwstydnie obnaża!
Śmieszność bez szat skromności nudzi i odraża.
Prawda nawet, tak wielce bogom ulubiona,
Długo dla swej nagości od ludzi gardzona.
Chcąc się w ich serca wcisnąć i przyjemną zostać,
Musiała śmiesznej bajki przybrać na się postać.
Tę pierwszy Ezop stworzył, i wszystkiem przyodział,
Co ziemia i powietrze dostały w swój podział.
Kazał jej pełzać, biegać i latać i pływać
Kazał myśli i głosu człowieka używać.
A tak Greków (ów twórca nieznanej istoty)
Przez bajki mówiąc prawdy, nakłaniał do cnoty.
Dowcip ten lat tysiące zadziwiał i bawił.
Nim Rzym Fedra, a Paryż Lafontena zjawił.
Jakże niezmierne przerwy! jaka Polszcze chwała,
Co blizki ostatniemu geniusz wydała!
Krótki czas ich przedzielał, jeden gust ich łączył,
Podnosił głos Krasicki, gdy Lafonten kończył.
Polubiłeś ten rodzaj? śledź z niemi naturę.
Umiej czołgać się z płazy, z ptaki lecieć w górę,
Idź wśród mieszkańców jaskiń, wód, łąk, borów, gajów,
Naucz się ich języka, skłonności, zwyczajów.
Zapomnij żeś człowiekiem, bądź filutem z lisem,
Z lwem dumnym, z osłem głupim, drapieżnym z tygrysem.

Nadstawia, niba jak dąb z trzciną się rozmawia,
Jak wilk biednej owieczce narzuca bezprawia,
Lub jak cielę z osłątkiem *), ludzkim obyczajem.
Jedno drugiem wzgardzając, krzywdzą się nawzajem,
I przez nich, nasze karcąc zdrożności i błędy,
Mów prawdy, ucz, poprawiaj i ludzi i rządy.

Kryjąca się czas długi pod obcem imieniem,
Ośmielona szczęśliwem bajki powodzeniem,
Otwartej prawdy zawsze przyjaciółka szczera,
Ukazała się światu poważna satyra.
W temto wielkiem zwierciadle niepochlebnem wcale,
Każdy siebie i innych pozna doskonale.
Tu zobaczysz filuta jak się grzecznie zniża,
Pędziwichra co wszystko złe wywiózł z Paryża,
Co ze stroju i z mowy Francuza udaje.
Drwi z kontusza, nagania ojczyste zwyczaje;
Tu tkliwego lichwiarza, co dając obdziera,
Patriotę, co za kraj przy winie umiera,
I z rożańcami w ręku gorszące dewotki,
Co wrzeszcząc na obmowy, rozsiewają plotki,
I gracza co w kwindeczu, z wszystkiego obdarty,
Jak Ossę i Pelion rzuca w górę karty: **)
Wszystkie takie przywary i podobnych wiele
Są surowej satyry zaprawy i cele.
Lucyl pierwszy jej głosem, w otwartej prostocie
Karcił występki Rzymian, cześć oddawał cnocie.
Horacy z jej ostrością wesołość pomieszał.
Nic bezkarnie nie puszczał, chłostał i rozśmieszał.

---

*) Cielę i osioł przez Fr. Morawskiego.
**) Krasicki.

Persiusz w ścisłych wierszach częstokroć niejaśnie
Zamknąć mniej słów, niż myśli, za chwałę miał właśnie.
Juwenalis zjadliwy, w którym nic nie zdoła
Ni zapędu powściągnąć, ni rozmarszczyć czoła,
Srogi! piorunujący! ilekroć powstaje
Na zepsute spodlonych Rzymian obyczaje,
Wśród najwyższych piękności i śmiałych obrazów
Nie szczędzi prawd surowych ni wolnych wyrazów.
Pod jego ostrem piórem pełnem wielkiej chwały,
Satyry obelżywość lubić zaczynały.
Poskromił je Boalo, prawodawca nowy,
Nakazał mówić prawdy przystojnemi słowy.
I sam czyli się gniewa, czy wyszydza wady,
Gniewa się, śmieje, szydzi, bez żadnej przysady.
Z tych mistrzów wzory brali, z ichto ucznie szkoły:
Naruszewicz ponury, Krasicki wesoły.
Każdy innym sposobem nas bawi i uczy:
Ów łaje, ten się śmieje, ów gromi, ten mruczy.
Ale wszystkie piękności razem połączone
Szalę na Krasickiego przechylają stronę.
Co za znajomość serca, narodu i świata!
Z jaką lekkością z żartu do żartu przelata!
Za iskrzącym dowcipem, z którym wszystko kreśli,
Same lecieć zdają się słowa, wiersze, myśli.
Tak jest; łatwość tak trudna wyższym go stanowi.
Inni satyry piszą; Krasicki je mówi,
I póki tylko będą pisać je na ziemi,
Żona modna celować będzie nad innemi.

O ty! co lekce ważąc rady które daję,
Na wszystkie wierszopistwa rzucasz się rodzaje!

I na próżno w czczej pracy piękne trawiąc lata,
Oczekujesz oklasków uczonego świata;
Jeśli wresz żądzą sławy którą wre wiek młody,
Nie mogąc być poetą bież w inne zawody.
Kraj ci onych dostarczy, rzuć niewdzięczne pióra
Gdy im orlego lotu odmawia natura.
Może twem przeznaczeniem, może ci się uda,
Brać na płótno cne męże, przyrodzenia cuda,
Ryć marmur, lać posągi, ciskać w górę skały,
Z jakich greckie i rzymskie budowy powstały
Co gustem i ogromem dotąd świat dziwiące,
Przeżyły swe narody i na lat tysiące.
Wreszcie czembądź kraj wspierać i wsławiać należy.
Ileż cnót staropolskich dziś odłogiem leży!
Przez nie zyskać cześć ziomków, lub wdzięczność narodu,
Małyż zaszczyt dla ciebie i twojego rodu?
Patrz, jak przez różne drogi, rozmaitą pracą
Mrówki swoją ojczyznę wznoszą i bogacą.
Wszystkie czujne i czynne, w zgodzie i z ochotą
Dla dobra publicznego zajęte robotą.
Każdej z nich są korzyścią powszechne korzyści,
Nie masz n nich poetów, nie masz i zawiści,
Która w szrankach parnasu, o ramoty swoje,
Z krzywdą stron wojujących, wieczne stacza boje.
Ale kiedy koniecznie chcesz zostać autorem.
Idźże przynajmniej bitym wielkich mistrzów torem.
Na zdania doświadczenia wyprężaj uwagę:
Kładź często twe zdolności na rozsądku wagę.
Dochodź, którą cię one najpewniejszą drogą
Do nieomylnej chwały doprowadzić mogą.
Zważ, czyli masz narzędzia do przedmiotów tylu.
Czułość, obfitość myśli, potoczystość stylu,

Przenikliwość serc ludzkich i wielkie pomysły,
Co z duszą wyższych istot mają związek ścisły.
I zapał, co by znosił twe więzy w pokorze,
Byś go mógł w porę puścić i zatrzymać w porze.
I ten nakoniec dowcip twórczy i iskrzący,
Czarodziejskie piękności na wszystko lejący,
Probuj się długo, zanim wystąpisz przed światem,
Z hufcem balad, drammatów, lub też poematem.
Chciej co możesz; przedsiębierz co możność doradza
I wiedz że próżność złudza i zawsze nas zdradza,
Że miłość własna ślepa, skłonna do zapędu,
Nie widzi, lub błąd pozna po zrobieniu błędu.
Ztądto poczwarne muzy obłąkanej płody:
Satyry wpośród bajek, piosnki wpośród ody.
Melpomena powieście i maxymy pisze,
Głos szumny epopei w elegiach słyszę:
A sielanki, okropną miotane rozpaczą,
Snują się po mogiłach i z trenami płaczą,
Rzekłbyś, gdy wszystko zmienia i postać i mowy,
Że dla swych muz poeci dają bal maskowy.

Pieśń IV.

Nic tak nas nie porusza jak namiętność wrząca,
W okropną przepaść nieszczęść na oślep lecąca.
Może, ohydnej zbrodni wznoszącej sztylety,
Nadać pewną przyjemność geniusz poety;

Jeśli ją z czarodziejskim swej sztuki urokiem
Stawi w tkliwej postaci przed sercem i okiem.
Tak tragedia łzawa, chcąc się nam przywdzięczyć,
Kazała krwią zlanemu Edypowi jęczyć, *)
Oresta matkobójcy straszną postać wzięła, **)
I w celu nas bawienia łzy nam wycisnęła.
Wy! co wspaniałym wierszem wśród ojczystej sceny,
Chcecie wieść spór o chlubny wieniec Melpomeny;
Gdzie publiczność, przed którą drżą wszyscy poeci,
O dziełach jej oddanych wyrokować leci;
Niech w każdem waszem słowie namiętna tchnie dusza,
Miota czuciami serca, zapala je, wzrusza.
Jeśli piękne szaleństwo często i przyjemnie
Słodkiego zatrwożenia nie utwarza we mnie;
Jeśli rozkosznej w duszy litości nie wzbudza,
Próżno nie wznoś zasłony, mądra sztuka znudza.
Widza zawsze trudnego do dania pochwały,
Ziębi twych rozumowań wywód okazały.
Słusznie on czczej wymowy perorą zmęczony,
Lub cię sądzi, lub łaje, lub milczy uspiony.
Niech akcia z początkiem wierszy pełnych treści,
Zamiecie drogę rzeczy którą w sobie mieści.
Śmiech wzbudza aktor, co się powolnie tłumaczy,
I zaraz, czego żąda, wyjawić nie raczy.
Co gdy się powikłanem rozpoczęciem trudzi,
I sam czuje że bredzi, i mnie wielce nudzi.
Wolałbym już nareszcie aby rzekł o sobie:
Jestem Sambor ***), mam honor przedstawić się tobie!

---

*) Boileau.
**) Boileau.
***) Sambor, osoba tragedii Ludgardy.

Niźli czas próżno traci, morduje me uszy,
Mówi do nich, gdy mówić powinien do duszy.
Nigdy nie jest dość prędkie rzeczy wyjaśnienie.
Jedno lub mało zmienne miejsce naznacz scenie.
I strzeż, aby słuchacze nie uczuli w niczem,
Że co mówisz i działasz, wszystko jest zwodniczem.
Przykuj do twojej sztuki ich serca i myśli:
By z tych omamień nawet na chwilę nie wyszli:
Nie twórz dziwów i w niczem nie przesadzaj miary.
Prawda częstokroć nie jest podobną do wiary.
Serce się tem nie zajmie co być zdrożnem mniema,
I żadnych dla mnie ponęt cud dziwaczny nie ma.
Co widzieć nie wypada, niech usta wyrażą.
Widziane rzeczy silniej w nasz umysł się wrażą.
Lecz są przedmioty, które rozwaga głęboka
Dozwala uchu słyszeć, usuwa od oka.
Niech przestrach z sceny w scenę w wzrastającym pędzie,
U kresu bez trudności rozwiązanym będzie.
Nic na nas tak nie działa, za serce nie chwyta,
Jak kiedy prawda, długą tajemnicą kryta,
Niepewnością wypadków umysły dręcząca,
Nagle wszystkie złudzenia intrygi roztrąca;
I jako grom spadając przed widzów oczyma,
Osłupiałych w głębokiem zadumieniu trzyma.

Tragedia dziwaczna, w swym pierwszym zawiązku,
Była chórem śpiewaków nie mających związku:
Gdzie każdy w skokach głosząc boga jagód winnych,
Wzywał jego dla siebie darów dobroczynnych.
Tam szli trunkiem zagrzani poeci w zawody,
A dla zwycięzcy kozieł był celem nagrody.

Tespis, tego szaleństwa wynalazca pierwszy,
Rzucił myśl sceniczności i tragicznych wierszy;
Ciągnąc teatr na garach, z złym aktorów zbiorem,
Zabawiał tem przechodniów, czego był autorem.
Eschyl znaczące w chóry wprowadził osoby:
Maskom kryjącym twarze przyczynił ozdoby,
I ukazał aktorów, w skleconej budowie,
W przystojniejsze odzianych szaty i obówie.
Jeniusz Sofoklesa złożył z cząstek całość:
Harmonię rozszerzył, zwiększył okazałość,
I tę wyższość swym sztukom sam nadać był w stanie,
Której doścignąć nawet nie mogli Rzymianie.
Współczesny mu Euripid równe ma zasługi.
Pierwszy natchnął Kornela, a Rasyna drugi.
Gardząca teatrami pobożność naddziadów,
Nie umiała korzystać z tych pięknych przykładów.
Wrzały tylko po szkołach żaków dialogi:
Gdzie czart z długim ogonem nabawiał ich trwogi,
Gdzie chcąc uczcić dzień śmierci zbawiciela świata,
Grano role Annasza, Heroda, Piłata.
Dziś na rozsądną scenę chętnie Polak idzie
Oddać cześć swej Barbarze *) lub obcemu Cydzie **).

Miłość zamożna w czucia, mocą swej potęgi
Wkrótce objęła teatr, romansowe xięgi.
Namiętność ta, dręczona zawiścią lub trwogą,
Najpewniejszą do serca zawsze będzie drogą.
Zezwalam, w bohatyra niech silnie uderza;
Ale mi z niego nie rób słodkiego pasterza.

---

*) Tragedia oryginalna Felińskiego.
**) Tłumaczenie Ludwika Osińskiego.

Niechaj nigdy nie kocha miękkością Tyrsysa,
Wzdychając nad strumykiem, lub w cieniu cyprysa.
I niech w nim miłość często walcząca z zgryzotą,
Zdaje się być słabością, ale nigdy cnotą.
W kwiaty romantyczności nie strój bohatyra.
Czasem do wielkiej duszy niech się słabość wdziera.
Straci Achiles jeśli nie gromi, nie pała;
Lecz lubię w nim łzę którą zniewaga wylała.
Z tych małych przywar jakie ten obraz oddaje,
Z roskoszą dusza moja naturę poznaje.
Takim chcę Achilesa, tak go maluj wszędzie;
Agamemnon niech pysznym i wyniosłym będzie;
Eneasz niech surowo szanuje swe bogi,
Oddaj im ich własności; nie zbaczaj z tej drogi.
Wieków, narodów, ucz się poznać obyczaje:
Sam klimat różne często dziwactwa nadaje.
Strzeż się więc aby twoja nie przebrała muza
Ciężkiego Rzymianina w lekkiego Francuza.
Dawne naszym obrazom nadając imiona,
Trudno jest ukryć fraczek pod togą Katona.
W romansach płonnych łatwo wszystko się przebaczy:
Dość, gdy ten potok zmyślań zabawić nas raczy,
Lecz scena której duszą przystojność, powaga,
Największych usiłowań rozumu wymaga.
Chceszli wyszłe z twej głowy stawić nam osoby?
Zajmuj nas niemi ciągle przez dzielne sposoby.
Niech każda sama z sobą silny związek łączy,
I równie jak zaczęła, tak działa i kończy.
Autor lubiący siebie, częstokroć się zdarza,
Że niechcąc bohatyrów na wzór swój utwarza.
I dopiero spostrzega, gdy ostygł z zapału,
Że kopię ze złego brał oryginału.

Natura, dla człowieka w swych darach wspaniała,
Każdej pasii jego inną mowę dała.
Gniew, jest zawsze wyniosły, wyrazy ma grzmiące,
Żal tkliwe, rospacz ostre i przerażające.
Niech Hekuba, niknącą w ogniach widząc Troję,
Nie jęczy pompatycznie na nieszczęścia swoje *).
Ani też, bez potrzeby, przywodź mi narody,
Gdzie Don siedmiopaszczowe w morze leje wody **).
Wszystkie takie słów próżnych i nadętych składy,
Sąto czczych krasomowców ulubioue wady.
Teatr, gdzie tysiąc sędziów słuchać ma twej sprawy,
Zwykle jest polem przygód, nader rzadko sławy.
Z największym autor trudem wieńce na nim zbiera.
Tysiąc gęb do wygwizdów obelga otwiera.
Każdy mu jakieś słówko dotkliwe gotuje:
A ta wolność przy wejściu u drzwi się kupuje.
Chcąc się podobać, musisz różnie się przetwarzać;
Wspaniale się podnosić, godnie upokarzać.
Być ciągle szlachetnością uczuciów wzruszonym,
Być przyjemnym, głębokim i niewymuszonym,
Pociskami, zadziwień nieustannie rzucać,
Trwożyć, rozczulać, dręczyć, przerażać, zasmucać,
Słowem: to czem na scenie byliśmy przejęci,
Ryć i wyryć głęboko na naszej pamięci,
Tak tragedia mówi, postępuje, działa.
Lecz pyszniej epopeja wychodzi wspaniała.
Biorąc lot z pięknych zmyśleń, pomysłów i marzeń,
Rozwija długie pasma czynów i wydarzeń.

*) Boileau.
**) Boileau.

Nieustraszona niczem, mimo zawad wielu,
Przez tysiące dróg pędzi do jednego celu.
Tam aby nas zachwycić, wszystko sobie dała;
Wszystko ma swoje duszę, rozum, twarze, ciała.
Tam każda cnota w postać bóstwa się przybiera.
Roztropność jest Minerwa, pięknością Wenera,
Piorunem gniew Jowisza grożącego ziemi;
Burzą Neptun walczący z bałwanami swemi.
A echa dźwięk zwodniczy co w powietrzu brzęczy,
Jest nimfą, która we łzach na Narcysa jęczy.
Tak poeta twórczego jeniuszu, godnie,
Z mnóstwem swych wynalazków igrając swobodnie,
Wszystko zdobi, powiększa, w świetne stroi szaty,
I zawsze ma pod ręką rozwinięte kwiaty.
Niech wiatr silny uderza w nawy Eneasza:
Z afrykańskich je brzegów unosi, rozprasza.
To zdarzenie jest smutne, lecz zbyt pospolite,
Nie zostanie w mej duszy głęboko wyryte.
Ale kiedy Junona, nienawiścią wrząca,
Te szczątki Ilionu po morzach roztrąca;
Gdy bóg burz i nawałnic, posłuszny jej woli,
Krnąbrne wichry wypuszcza z więzienia Eoli;
Gdy Neptun w strasznym gniewie wyjrzawszy z dna morza,
Słowem, rozpędza szturmy, bałwany ukorza;
Osłania sławy Trojan, z wirów je wyrywa,
Wówczas mnie to uderza, zachwyca, porywa.
Jeśli zbiór równych ozdób twych wierszy nie wspiera,
Poezia się czołga, martwieje, umiera,
A poeta, z dokładnym swych zmyśleń opisem,
Zostanie zimnym mowcą, lub też dziejopisem.
Chcesz nas ciągle zachwycać, a nigdy nie znudzić?
Sław bohatyra, coby zajęcie mógł wzbudzić:

By rzadkich cnót i męstwa rozrucał przykłady,
By tchnące bohatyrstwem jego nawet wady
Mogła zapisać sława w nieśmiertelną kartę,
By był jak Alexander, Cezar, Bonaparte.
Natłok wypadków zdziwia, lecz nie bawi wdzięcznie.
Jeden gniew Achilesa prowadzony zręcznie,
Napełnia Iliadę a Homera chwałą;
Często zbytnia obfitość zuboża rzecz całą.
Mów szybko, ale z ogniem, jędrnemi wyrazy,
Oddychające życiem maluj mi obrazy.
Tam okaż całą wiersza piękność i powagę.
Na ustępy, na całość miej ciągłą rozwagę,
Krócąc zbyteczny zapęd poetyckiej weny
Ujdziesz losu wygnańca na wyspę Heleny,
Który wszystko utracił chcąc zająć zbyt wiele.
Umiarkowanie w każdem potrzebne jest dziele.
Niech więc na wstępie będzie prostota wyryta.
Nie wsiadaj na pegaza, nie ruszaj z kopyta,
Krzycząc na czytelników z niesłychanym grzmotem:
Spiewam zwycięzcę świata . . . zwycięzcę!—
Cóż po tem? *)
Po wielkiej wrzawie cisza posępna nadchodzi,
Góra w wielkich boleściach małą myszkę rodzi.
O jak lubię autora! co wdzięcznie i skromnie,
Bez tych szumnych objetnic, mówi zwolna do mnie:
Spiewam boje i męża, co w lawińskie strony,
Wolą bogów i zemstą ściganyJunony.... **)
Muza jego w początku nie gore, nie pała;
Obiecuje nam mało, aby wiele dała.

---

*) Boileau l'Art Poetique.
**) Wirgiliusz.

Ale wkrótce usłyszysz męża wielkich czynów,
Wyrocznie stanowiące o losach Latynów:
Ujrzysz Styxu potoki, czarną pianą wrzące,
I w polach elizejskich Cezary błądzące.
Pełna odmian natura niech ci będzie wzorem.
Ożywiaj twoje dzieło różnych osób zbiorem.
Można być i wyniosłym i przyjemnym razem:
Zmęczysz mnie zawsze jednym, acz wielkim obrazem.
Stokroć milszy Ariost z skrzydlatym rumakiem;
Donkiszot, co się mężnie potyka z wiatrakiem;
Krasicki wśród Gaudentych i definitorów;
Nad tych zawsze posępnych i zimnych autorów,
Coby mieli za hańbę i utratę chwały,
Gdyby odmarszczyć czoło gracie im chciały.
Tyle cudnych powabów natury w Homerze,
Iż zda się, że on schwycił przepaskę Wenerze.
Wszystko, czego zaledwie myśl się tknąć ośmiela,
Oddał dłótem Kanowy, pęzlem Rafaela.
Myśli jego, szczęśliwym ogniem ożywiane,
Nie błądzą po bezdrożach, ni krążą zbłąkane.
Niewolniczym porządkiem swych myśli nie znaczy:
Samo się dzieło składa, samo się tłumaczy.
Wszystko bez przygotowań idzie, jak należy,
Każdy wiersz, każde słowo ku wypadkom bieży.
Takie poema, które wszystko z wszystkiem zgadza,
Nie jest z owych prac lekkich, jakie kaprys spładza.
Wymaga czasu, starań; i to trudne dzieło,
Nigdy życia pod piórem szkolarza nie wzięło.
Ale często wierszopis, sztukę mając za nic,
Przypadkowego ognia nie zakreśla granic.
Niewolnik mody, dumy, podchlebnej nadziei,
Zuchwale bierze w ręce trąbę epopei.

Jego muza zdręczona, chcąc wziąść lot wysoki,
Wzbija się nieustannie przez skoki, odskoki.
A ogień, pozbawiony gustu i natchnienia,
Gaśnie za każdym wierszem przez brak pożywienia.
Nadaremnie publiczność prędka do pogardy,
Chce go wywieść z obłędu, zgromić zamysł hardy;
Sam on uwieńcza sławą swój jeniusz płaski:
Dymi się kadzidłami i daje oklaski.
Wyroki zwie zawiścią, sądzących znieważa,
Woła do potomności i nią im zagraża.
A tym czasem, nim przyszłość gromiąc nasze błędy,
Cudowne jego dzieła poubóstwia wszędy;
Skryte przed światłem słońca w nikczemne xięgarnie,
Wśród mólów i kurzawy, kończą życie marnie.
Mówiąc po chrześciańsku: wieczne odpocznienie!
Idźmy rozerwać smutek ku komicznej scenie.

Gdy tragiczne zostały uwieńczone dzieła,
Komedia w Atenach początek swój wzięła.
Tam Grek skłonny do szyderstw, a dowcipem wsparty,
Przepuszczał wszystkie słowa przez zjadliwe żarty.
Wybujałej trefności przepełnioną miarą,
Rozum, cnota, dostojność bywały ofiarą.
Nie raz talent wzgardzony, a wierszoklet śmiały,
Zręczną miernością zbierał z bogactwy, pochwały.
Sokrates przez takowe został widowisko
Wydanym na szyderskie gminu pośmiewisko.
Nakoniec rząd ockniony, przyzwał mocy prawa:
Rozpasaną rozpustę wściągnęła ustawa.
Zeszły ze sceny znane imiona i twarze,
Umilknęły oszczerce, ustały potwarze:

I komedia, w swoich wściekłościach zstarzała,
Z wypogodzonem czołem wdzięcznie się rozśmiała;
Nauczając bez żółci, skromną biorąc postać,
Potrafiła w Menandrze i niewinną zostać.
Natura być powinna jedyną nauką
Tych, którzy się komiczną pragną wsławić sztuką.
Kto dobrze zważa ludzi, i kto może snadnie
Wszystkie ich serc skrytości rozpoznać dokładnie,
Niech nam wystawia skąpca, oszusta, dziwaka,
Półgłówka, pędziwichra, pochlebcę, dworaka:
Niechaj ich mową mówi, niech stąpa ich krokiem.
Trudno której przywarze ujść przed wprawnem okiem.
Jeden gest ją odkrywa, w jednym niewidziana;
Lecz ją dojrzeć nie wszystkim bystrość wzroku dana.

Czas zmieniający wszystko, i człowieka zmienia.
Każdy wiek ma swój rozum nałogi i chcenia.
Młodość, którą zwyczajnie wrzący zapęd władnie,
Skłonnościom do wykraczań poddaje się snadnie.
Chełpliwa w swoich mowach, w żądzach niestateczna,
Najszaleńsza w roskoszach, zdrowym radom sprzeczna.
Wiek dojrzały poważniej pół życia zaczyna:
Czepia się koło możnych, pnie się, wichrzy, zgina.
Walczy z losem, pociskom jego się opiera,
I z obecności w przyszłość daleko spoziera.
Starość zgryźliwa skarby nieustannie zbiera,
Które czasem w godzinie następca pożera.
Powolna, zimna, wszystko przeważa na szali,
Wyrzeka na obecność, dawne czasy chwali.
Bez uciech, za któremi młodość się ugania,
Każdy jej krok potępia, wszystkiego jej wzbrania.

Takimto przez aktorów mów do mnie językiem.
Nie czyń młodego starcem, a starca młodzikiem,
Poznaj miasta i pilnie nauczaj się dworów,
W pierwszych i drugich mnóstwo różnych znajdziesz wzorów.
Tam Moliera sztuki pożytek swój brały.
On pewnie ostatecznej doścignąłby chwały,
Gdyby gnąc się do czasów, co jedyną wadą,
Czasem w niektórych scenach nie trącił przysadą.
Gasić iskry dowcipu, zostać głupstw malarzem,
Mieszać Terenciusza z bezwstydnym kuglarzem,
W tym nędznym arlekinie co wyłazi z wora,
Nie widzę Mizantropa sławnego autora.

Nieprzyjaciółka wzdychań, płaczu i boleści,
Komiczność w sobie smutków tragicznych nie mieści;
Styl jej słodki, potoczny, niech się w porę wzbija;
Niechaj śmieszność przystojna swe wdzięki rozwija.
Igrając z namiętnością, której sztuka celem,
Bądź i w niej i rozsądku zawsze przyjacielem.
Bądź zwięzłym i podobnym w rozwiązaniu końca,
Nagle wychodzącemu zpod obłoków słońca.
Oświecaj, rozweselaj, zniżaj się, wznoś w górę;
Ale każdej przywarze zostaw jej naturę.
Patrz, jak w Terenciuszu ojciec upomina,
Zapęd rozkochanego nieroztropnie syna:
Jak on tych uwag słucha, wstydem ojca cieszy,
I jak u nóg kochanki zapomnieć ich spieszy.
Nie jest w tem obraz tylko trafny lub szczęśliwy;
Jestto syn, jest kochanek, jest ojciec prawdziwy.
Lubię ja taką sztukę, lubię jej autora,
Co złym siebie nie czyni przez usta aktora:

Co nas bawiąc naucza, ucząc nas nie psuje,
Skromności nie rumieni, a cnoty szanuje.
Lecz głos słyszę . . . że scenę przemieniam w ambonę.
Dla boga! świstać będą. Spuszczajmy zasłonę!

Ostrzeżenie.

W wieczorach spędzanych z uczonymi w Krzemieńcu, najczęściej staczały się rozmowy i dyskussie dowcipem uprzyjemniane, o wojnach teraźniejszych klasyków z romantykami. To mi dało powód do napisania następnych wierszy, które czytelnik zechce uważać jako żarty między poufałymi przyjaciołmi; a nie jako sądy lub krytyki o autorach lub ich dziełach.

Pięknej klasyczności, jak i pięknej romantyczności równie jestem wielbicielem, a samo rozdzielanie tych dwoch rodzajów, uważam za syzmę szkodliwą poezii, której rozmaitość jest duszą.

Nie masz zapewne wątpliwości, iż ta nowa szkoła, po swem założeniu, wielu młodym bez talentów głowy przewróciła, i przewróci jeszcze, zanim z niej wyjdą godni swoich mistrzów ucznie. — Ale ten czas prędzej nad spodziewanie dla nas nadchodzi. Iskrzące pięknościami poezie Mickiewicza, Bogdana Zaleskiego, i wielu innych, zaczynających się puszczać w też zawody dają nam nadzieje, iż ta nowa szkoła wkrótce się u nas wyczyści z pierwotnych wad i przysad. —

Ja zawsze jednę spiewam piosneczkę. „Że czy romantyczne czy klasyczne, bez uprzedzenia, chwalmy w nich co dobre, gańmy co złe, a nigdy tych dwoch rodzajów nie rozdzielajmy, pomnąc na to, że piękniejsza łąka, co się rozmaitością kwiatów kwieci, wznioślejsza muzyka, co z

różnych instrumentów złożona, wyprowadza wielką i cudowną harmonię."

Wiem, że nazbyt już wiele razy powtórzyłem w tem moje zdanie, ale pochlebiam sobie że czytelnik łatwo przebaczy temu, który radby nawet i w poezii zgodnymi widzieć Polaków.

Wieczór 1szy.

Odpowiedź na odpowiedź do G. O.

Aż miło patrzeć, zacny Gustawie!
Jak na skrzydlatym koniu,
Po parnaskiem błoniu
Ruszasz ku sławie,
Zręcznie i żwawo,
W lewo i w prawo.

Szczęść ci boże!
Kto wie, może
Z pięknym zapałem,
Z podkutym ostro Pegazem,
Czego ja nie dokazałem,
Wpadniesz za jednym razem
Na wierzch owej śliskiej skały,
Gdzie przybytek wiecznej chwały.

Szczęść boże! — lecz ciebie proszę,
Porzuć chwilowej mody roskosze.
Przybierz starodawną Greków.
Pisząc dla dziś, pisz dla wieków.
Nie chwal mi tych romantyków,
Którzy dopadłszy kucyków,
Chociaż krótszą pędzą drogą,
Doścignąć jednak nie mogą
Nam wielce mościwych panów,
I Felińskich
I Osińskich,
I Morawskich i Koźmianów.

Ja Mickiewicza, mój panie!
Często chwalę, czasem zganię.
Bom to wyssał z matki mlekiem,
Być sprawiedliwym człowiekiem.
Prawda, że na tym świecie
Prawdy kosztują nas drogo.
Lecz choć za niem cierpiał srogo
Mówię je przecie. —
Lubię, kiedy on wsparty na Judahu skale *)
Przyodziany w burkę tęgę,
Karcąc żywiołów potęgę,
Wzrokiem niebo przebija, a nogami fale.
Ale niechaj mi wybaczy:
Nie lubię kiedy dziwaczy,
Lub w paroxyzmy szaleństwa wpada,
I ja nie wiem co mi gada.
Wszak sam przyznaj pan dobrodziej
Że złe równie jak dobre chwalić się nie godzi.

---

*) Tak jest litografowany Micklewicz.

Nie dałżebyś drała w nogi
Odemnie, gdybym z za krzaku
Wyskoczywszy na rumaku,
Dniem i nocą,
Leciał wrzeszcząc bóg wie po co:
Lasy z drogi! . . . góry z drogi!

Natura, matka prostoty,
Wszędy jej wyryła ślady.
Muzy, jak piękność i cnoty,
Nie znoszą żadnej przysady.
Więcej ci powiem — gdy mody są zmienne,
Roczne, półroczne, miesięczne i dzienne;
Więc się boję, i wprawdzie byłoby to szkodą,
By piszący dla mody nie znikali z modą.

Donosisz, że nakoniec już się trudnisz synem.
Szczęśliwyś! przyznam się tobie:
Bo na tej ziemi dobrem jedynem
Zostawić siebie po sobie.
Ileżto nadziei w domu!
Ile pociech dla siwizny!
Kiedy jest przekazać komu
Miłość boga, honoru, cnoty i ojczyzny.
Mnie mojego bóg odebrał.
Ciężko w duszy, smutno w domu:
Bo nie mam powierzyć komu
Doświadczeń życia którem w serce zebrał.
Zostawił mi dwie córeczki,
Przecudowne dwa kwiateczki,
Co na mojej łące rosną,
Oddychające wiosną.

Dotąd jeszcze bóg je strzeże.
Dobre, niewinne i świeże —
Ale się lękam, by potem,
Gdy głos usłyszą romantycznej trąby,
Nie snuły się z Walter Skotem
Między worończyńskie klomby,
I lecąc w marzeń krainy,
Gdzie spazmy, wapory, spliny,
Goniąc za jakiemś szczęściem ulotnem,
Nie mijały się z istotnem;
Które nam (chociaż my ziemscy prostacy)
Przy dobrych i pracy,
W obowiązkach, sumnieniu, u boskich ołtarzy
Znaleść się zdarzy.
Ach! coto jest miłość dzieci,
Którą serce ojca gore!
Gdzie tylko myśl moja leci,
Tam i dzieci z sobą biorę.
By im wskazywać cnot drogi,
Oswajać z przeciwnością, umniejszać im trwogi,
W niebezpieczeństwie obronić:
A nadewszystko... boże!...
(Lecz to nieszczęście spaść na mnie nie może)
Od niesławy je zasłonić.

Ale podobno bez miary
Rozgawędził się pan stary.
Przebacz więc, karać za to się nie godzi,
Że się mówi co w sercu, co się w myślach marzy.
W porządku to jest rzeczy, że inaczej młodzi,
Jnaczej czują starzy. —

Na to moje pytanie
W jakim twoje serce stanie?
Coś się tłumaczysz niejaśnie.
Lecz, jeśli miłość wpadłszy w twe serce,
Dotąd tli jeszcze w małej iskierce,
Pluń tylko dobrze, a zgaśnie.
Jeśli zaś płomieniem bucha,
Powiem ci, ale do ucha,
Znak to dobry, miej nadzieję
Że czas wkrótce ją zaleje.
Ja niegdyś kiedym się kochał,
Ciąglem wzdychał, jęczał, szlochał,
Nic nie jadłem, nic nie piłem,
Po xiężycu się włóczyłem;
Byłem, jak sztokwisz, i żółty i chudy:
Na lada mars kochanki i do nóg i w dudy.
Przeciwnie zaś pan dobrodziej
Tam gdzie się bawią i jeździ i chodzi.
Spi smaczno, tnie bifsztyka i burgunda pije,
I co zgroza powiedzieć, kochając się tyje.

Co do ostatnich twoich słów pięknego twojego do mnie listu, przez które nam zapewniasz (bez dzwonków *) swe przybycie do Worończyna, tak odpowiadam.

Już mnie ni trwożą, ni rażą
Dzwonki, co z drogi ustępować każą.
Innego dzwonu głos przez moje uszy,
Przed którym w wieczór i rano

*) Dzwonki są używane na wszystkich pocztach w Rossii. Przyjazd Gustawa ze dzwonkami w nocy, że przestraszył moją żonę, byłto żart.

Zginam kolano,
Wchodzi do duszy.
Tak, Korysteszowa *) panie
Wkrótce przedemną śmierć wychudła stanie.
Wkrótce gromy wyroków nademną zahuczą,
Co i na waszmość przyjdzie z kolei,
Kiedy posępne kaptury zamruczą:
Et lux perpetua luceat ei.
Żegnam więc i błagam ciebie,
Staraj się być ze mną w niebie.
Tym czasem, *vale et ama*
Swego braciszka z Adama.

Wieczor drugi.

Rękopism

odkryty w roku 1829 w starem zamczysku wśród puszczy białowieżkiej. —

Słyszysz? . . . jak echo po lesie
Jęki konania daleko niesie?
Słyszysz? . . . patrz! . . . cożto się znaczy?
Co za niewiasta w rozpaczy
Na ten jęk bieży?
Włos się jej jeży,

*) Majątek Gustawa.

W piersi mleczne ręką bije
Wołając: już on nie żyje!
Bieży, ile tylko zdoła,
W piersi śnieżne ręką bije,
I z okropnym jękiem woła:
On nie żyje! on nie żyje!

Nie widzi że zmrok zapada,
Że ją głębia puszczy kryje,
Bieży, woła, biada! biada!
On nie żyje! on nie żyje!

Już i ciemność i milczenie:
Już nie woła, on nie żyje!
Już tylko ciężkie westchnienie
Czasem się z piersi wybije.

Już nakoniec i nie wzdycha;
Już, niestety! u kurhanku
Jak kwiat zmrożony usycha,
Przy najdroższym swym kochanku.

Na kurhanku ręka leży,
Włos na tarniu zaczepiony,
Smutny nieład w jej odzieży,
Wzrok ku niebu wytężony.

Z wschodzącą życia jutrzenką,
Nie używszy jeszcze życia,
Okrutną podcięty ręką
Ginie ten kwiat bez rozwicia.

Bez pomocy! bez pamiątki!
A choć czasem w oczach błysną
Gasnącego życia szczątki,
Już jej swoi nie uścisną!

Na kurhanku ręka leży,
Włos na tarniu zaczepiony,
Smutny nieład w jej odzieży,
A wzrok śmiercią powleczony.

Nie ujrzy jej biedna matka,
Ojca nie znając straciła —
Ni drużyna, ni czeladka,
Którym jak zorza świeciła.

. . . . . .

Zniknęła jako sen znika,
Z ostatniem tchnieniem jej życia
Ozwały się . . . . głos puszczyka
I drapieżnych zwierząt wycia,
Którym się, drząc, puszcza cała
Niechętnie dwakroć ozwała.

. . . . . .
. . . . . .

I znowu głuche milczenie
Przeraża ciszę straszliwą . . . .
I myśl zapadła w marzenie,
Że świat skonał z nieszczęśliwą.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Między tą jodłą i sosną,
Widzisz? stoją dwa kurhanki:
Na nich dzikie wrzosy rosną
Ten kochanka — ten kochanki;
Bez ozdoby! . . bez krzyżyka! . .

Dotąd jeszcze powieść niesie.
Że w tymto obłędnym lesie
Zabił klasyk romantyka,
I że jego muza . . . wreszcie
Nic pewnego o niewieście. —

Jednakże duch tej dziewicy *)
W białe pióra przystrojony,
Pod postacią gołębicy
Ciągle krąży w tamte strony.
I gdy w północ kur zapieje,
Na kurhanku swego siada:
A skoro zorza zatleje,
Szepcąc sobie — »biada! biada!
»On nie żyje!» — nieszczęśliwa!
W swój kurhanek się ukrywa.

*) Powszechne jest mniemanie, że tą niewiastą była córka muzy romantycznej z nieprawego łoża. — Przypisek właściciela rękopismu. —

Modlitwy.

Które w rocznicę śmierci romantyka i muzy romantycznej, na ich kurhankach mieszkańce tamtejszych okolic dotychczas odmawiają.

Requiem aeternam dona eis Domine etc. etc.

Modlitwa I.

Wieczny pokój daj im panie!
Panie! zlituj się nad nami.
Czas, niech już wojna ustanie
Klasyków z romantykami,
Niechaj w wiecznej żyją zgodzie
W jednym żyjący narodzie.

A gdy chcą wyroki twoje,
Aby ze słowiańskiej ziemi
Wyszły romantyków roje;
Racz mieć opiekę nad niemi:
Niechaj naszych prośb usłyszą
I dziwolągów nie piszą.

Modlitwa II.

Nalej w nich rozwagi ducha,
Niech każdy rozsądku słucha:
Niech się wyrzekną zdrożnego przykładu
W słowach i w myślach nieładu.

Niech piszą sercem wraz z głową,
Niech lubią prawdę surową,
Niech nikt za drugim nie leci,
Niech każdy swym blaskiem świeci
I stopi się w jedno ciało,
Któreby nam zachowało
Mowę przodków, mowę czystą
Naszę polską i ojczystą.

Modlitwa III.

Niechaj z Mickiewiczem, który
Śmiałemi podlata pióry,
Próżno nie lecą w zawody
Te beczące jego trzody,
Te poczwarne pustek sowy
I bez skrzydeł i bez głowy *).

Błagamy! błagamy ciebie!
Otwórz ku światłu ich oczy.
Niech, czem są, poznają siebie.
A jeśli który wyskoczy
Jak drugi Filip z konopi
Z błahą myślą, z dziwnem słowem,
Czyto starem, czyto nowem;
Niech go twój bicz dobrze skropi.
Amen.

---

*) Rozmaite Mickiewicza naśladowania drukowane, bez sensu, o których i wspomnieć nie warto.

Życie człowieka.

Z przedodwiecznego wyroku,
Jak są cztery pory w roku,
Tak w człowieku
Cztery życia jego wieku.

W wiośnie,
Śmiało i radośnie
Błyszczącą młodością świecim,
Ptaszeczków bierzem naturę,
Spiewamy, bujamy, lecim
Co raz wyżej, wyżej w górę.
Wśród tych roskosznych zapędów
Rozpuszczając wartkie skrzydła,
Gdy się śmiejem z ojców błędów,
W też same wpadamy sidła.
Bo na młodość pełno siatek,
Pełno ponęt, pełno klatek.

—

Jeszcze wesoło i w lecie:
Bo przecudnie
W pełnym rozwinięte kwiecie,
Świeci nam nasze południe.
Więc bujamy,
Więc latamy;
Lecz już pomału
W czasie upału
Zaczynamy szukać cienia,
Pod którym wiek doświadczenia.

W jesieni

Coraz się mniej nam zieleni.
Liść żółknie, pada, więdnieje;
Więdną i nasze nadzieje.
Już mniej bujamy i skaczem;
Niekiedy nawet zapłaczem.
Poźniej, chociaż słońce błyska,
I czasem przez swe promienie
Wypuści łagodne tchnienie
Przypominające wiosnę;
Nie sąto już dni radosne;
Bo ta pamięć nas uciska,
Że do niej nigdy nie wrócim.
Więc nie latamy, nie skaczem,
Tylko się dręczym lub smucim
I co raz częściej zapłaczem.
Ale nawet i ta pora
Częstokroć przyjemną bywa.
Jestto pogadanka tkliwa,
Wpośród szarego wieczora
Z doświadczonym przyjacielem,
O tem, co serc naszych celem.

Nakoniec nadchodzi zima
Co naturę w więzach trzyma,
Co przeszłości kwiaty niszczy,
Kiedy po śnieżnej murawie
Jakby dzieciom ku zabawie
Diamentami zabłyszczy.
Wtedy już nas nic nie mami.
Bo z wiosny, z lata, z jesieni

Nic się nam już nie zieleni;
A śmierć przed nami.
Już się na obecność żalim,
Zbiegłe tylko czasy chwalim,
Tylko gwarzym,
Tylko marzym.
Zaledwie wiemy że czujem,
Chwile liczym na godziny
I jak pająk z pajęczyny,
Z nader wiotkiego przędziwa
Które lada wietrzyk zrywa,
Pociechy snujem.
Już tylko istniem przez trwogę:
Że nie wiemy, że nie znamy
W jaką się drogę
Puszczamy.
Gdzie żyć będziem? ... co nas czeka? ...
Tak z przedwiecznego wyroku
Kończy się pobyt człowieka
W czwartej porze jego roku.
Ach! biada komu w podróży
W kraje szczęścia wiekuiste,
Za przewodnika nie służy
Sumienie czyste!

O niewdzięczności.

Ztąd się to utworzyła niewdzięczność przeklęta,
Że ten co wziął, zapomniał; a co dał, pamięta.
Oba wielkie przed bogiem mieliby zasługi,
Gdyby pierwszy pamiętał, a zapomniał drugi.

Do X. M. W.

Ach! widziałem, xiężno droga!
Pobożną ręką wzniesione
Dla ulgi ludzi i ku czci boga,
Moszczany błogosławione *).

Tu zawołałem do pana:
»Ulżyj nam naszych boleści!"
Lecz się nie zgoiła rana:
Wszędy smutek i złe wieści.

Moje modły mało znaczą,
Chociaż przy nich łzami leję:
Więc sam żyjący rozpaczą
W waszych modłach mam nadzieję.

*) Moszczany w Galicii blisko Wysocka, klasztor panien miłosiernych fundacii xiężny Marii z Czartoryskich Wirtembergskiej. W nim szanowna przełożona, panna Rutkowska, w zadziwiającym porządku wszystko utrzymuje pomimo szczupłe klasztoru dochody.

Bo w waszym jedynie domu
Wszystkie są błagalne cnoty . : .
Źle nie czynicie nikomu.
Pod waszym płaszczem sieroty.

Na wiotką córkę, co starość wspiera,
Matka jej pieczą szczęśliwa,
Jak na anioła spoziera,
Który ją śmierci wyrywa.

Same dzisiaj ledwie macie
Kawałek skromnego chleba,
I ten z każdym podzielacie.
Ach! to jest droga do nieba.

Płonne są wszystkie nadzieje!
Wasze was nigdy nie zwiodą.
Na czyj zgon ludzkość truchleje,
Tego bóg czeka z nagrodą.

Mnie, co nie mam tych omamień,
Aby kraj za mną zapłakał;
Proszę was, połóżcie kamień
Tam, gdziem wiek młody przeskakał.

Będzieto pamiątka droga,
Dzieląca z wami tę chwałę:
Żem przez życie moje całe
Kochał ojczyznę, przyjaciół i boga.

Alkar i Emina.

Romans.

W pogodny wiosny poranek,
W spadku góry, nad doliną,
Siedział z kochaną kochanek,
Ze swoją Alkar Eminą.

Oczy ich w siebie wlepione
Brały miłość z serc wzajemnych;
Dusze wzajem otworzone
Nie znały myśli tajemnych.

Słowik spiewał, strumyk mruczał,
Pasły się trzody w dolinie;
Wtem za górą grom zahuczał,
Spostrzegł Alkar strach w Eminie.

Po coż, rzecze, twoje oczy
Z chmurami wiedziesz po niebie?
Taż sama je ręka toczy
Co mi w serce wlała ciebie.

Nie trwoż się, droga Emino!
Niech strach słodkich chwil nie truje.
Te pioruny ciebie miną;
I niebo miłość szanuje.

Rzekł; a gdy się burza szerzy,
I lasy ku ziemi zgina,
Chce ją słonić, grom uderzy . . .
Pada Alkar i Emina!

Tak skończyli w jednej chwili
Życie, miłość i marzenia.
My, co swe szczęścia przeżyli,
Dajmy im ciche westchnienia.

Wszystko niestety! marzeniem,
Co się uśmiecha nadzieją;
I z nadzieją i z wspomnieniem
Zawsze łzy się nasze leją.

Przechodniu! wstrzymaj twe kroki,
I z tej się naucz mogiły:
Skryte szanować wyroki,
I onych się lękać siły.

Cnota i miłość tu leży.
Jeśli te są znane tobie,
Niechaj ich pamięć odświeży
Łza wylana na tym grobie.

Żale na śmierć Telimeny.

Żal I.

Obraz Telimeny.

Ona zbyt wcześnie kielich spełniła goryczy:
Ona dni życia swego nieszczęściami liczy.
Ona każde słodyczą okrywa cierpienie,
Wiara jest jej nadzieją a ulgą sumienie.
Za granicę swojego nie sięga rozumu;
Cicha, skromna, trwożliwa, ucieka od tłumu.
Z poruszeń swego serca gdy o innych sądzi,
Zbytkiem tylko ufności i litości błądzi;
Spokojna, mało tkniętym idąc cnoty śladem,
Płci swojej jest zaletą a może przykładem.

Żal II.

Kwiatu wiosny wdzięki miała,
I krótko jak szczęście trwała.
Tak na mojej łące wzrosła
Topola hoża, wyniosła.
A że jeszcze młodą była,
Giętkością z wichry walczyła.
Niedawno jeszcze widziałem,
I z jej listkami zadrzałem,
Gdy chmurę obłok nasunął,
Ona się zgięła, dąb runął.

Ten widok wsparł mą nadzieję.
Wśród burzy z burzy się śmieję,
I od bojaźni daleki
Mniemałem, że przetrwa wieki.
Przyszła chwila jej zniszczenia.
Jedna chwila wszytko zmienia.
Próżno się młodością składa,
Chwieje się, zgina i pada.

Żal III.

Wśród ostatniej z jej życia i okropnej nocy,
Widziałem jak mej wzrokiem wzywała pomocy.
Bojąc się mnie zatrwożyć, sama już trwożliwa,
Przytomnego oddala, odeszłego wzywa.
Postacią obojętną, słowy zwodniczemi,
Chciałem ją jeszcze chwilę zatrzymać na ziemi.
Widząc moję spokojność i że łez nie leję,
Do grobu życia swego poniosła nadzieję.
Boleśnećto usługi! jakże je znieść może
Serce, które tkliwością napełniłeś boże!

Żal IV.

Mojeżto jest siedlisko? też same zagrody?
Też drzewa, kwiaty, łąki i spokojne wody?
Toż mojego spoczynku i szczęścia zacisze?
Gdzież ona?.. wszyscy milczą ... łkania tylko słyszę.
Niegdyś, wracającego zaledwie spostrzegła,
Z radością i pospiechem naprzeciw mnie biegła.

Nie masz jej! — wszędy głuche panuje milczenie —
Nie przerwie już go więcej słodkiej arfy brzmienie,
Nie wróci już wesołość do mojego domu.
Nie masz z kim dzielić pociech, ni łez otrzeć komu.
Wszystko zdaje się ze mną żałować jej straty.
Pozarastały ścieżki, powiędniały kwiaty:
Suchy liść kryje trawnik, obnażone drzewa. . . .
Ach, tak jest! wszystko ze mną żałobę przywdziewa.

Dumanie.

Po cóż wschodzisz xiężycu? świecić nie masz komu,
Sam jeden bez kochanki powracam do domu.
Lub też świeć — lubię znikłym łudzić się obrazem.
Oto te same miejsca gdzieśmy byli razem!
Tyś wówczas jasne nad nią roztaczał promienie;
Szum wody ciszy nocnej przerywał milczenie.
Te nieba, drzewa, łąki i te nawet skały
Wiecznej naszej miłości przysięgi słyszały.
Pamiętam, o jej stałość gdym trwogą wykroczył,
Jakeś swój czysty promień we łzach jej umoczył.
Skryj się w obłok xiężycu, świecić nie masz komu,
Sam jeden bez kochanki powracam do domu.
Ty świecisz, Alkar kocha i wszystko jak było. . . .
Samo tylko Eminy serce się zmieniło.

Wiersze napisane w imionniku Henryki z Działyńskich Błędowskiej.

Proszę wierzyć że nie kłamię,
Co powiem o pewnej damie;
A której zaręczam śmiało
Żadnych cnót nie brakowało.
Tkliwa, łagodna i hoża wcale.
Każdy w niej czcił obraz rzadki
Dobrej córki, żony, matki.
Lecz że nie ma nic bez ale,
Powszechnie o niej mówiono,
Że ten tylko kaprys miała
Iż się niezmiernie gniewała,
Kiedy ją przed nią chwalono.
Złyto kaprys! wada wielka!
A że ją, jak zewsząd słyszę,
Ma tej xiążki właścicielka,
Więc ni słowa nie napiszę.

Do Karola Lipińskiego.

Lipiński! niechaj kto chce nawet Paganini
Na jednej, dwoch, trzech strónach różne sztuki czyni;
Mem zdaniem stokroć trwalsza ciebie chwała czeka
Bo masz nałóg grać sercem dla serca człowieka.

Pod twojemi palcami smutne jęcząc tony,
Zwykle w najtkliwsze duszy uderzają strony.
Ty słuchaczów czarownym talentu urokiem
Zmuszasz do słodkich marzeń w milczeniu głębokiem,
I budzisz w nich przez jakąś potajemną drogę
To wspomnienia przeszłości, to o przyszłość trwogę!
Może kto rzec, żem zbytnim uniósł się zapałem,
Nie! ja piszę co czułem kiedy cię słuchałem.

Napis

do monumentu który panna Emilia Plater swojej matce wystawiła.

O matko! córka co twem życiem żyła,
W lubej swobodzie, w marzeniach przyszłości,
Tę ci niestety pamiątkę stawiła
Oblaną łzami żalu i wdzięczności.
I codzień leci za twym drogim cieniem,
Sercem, modłami i czułem wspomnieniem.

Dnia 16 marca 1830 r.

Do imionnika pani W* U*.

Kiedy talentu nie dały mi nieba,
Bym chwalił co ganić trzeba,
A więc prawdy nie oszczędzę,
I zapiszę ją w twej xiędze.

Ujrzysz nędzę, wnet ją wspierasz.
Ujrzysz smutnych, łzą łzy ścierasz,
Tak naturalnie lub skrycie,
Że każdy się pyszni w sobie
Że uczynił łaskę tobie . . .
O piękneto takie życie!
Ja w tem widzę czarów trocha,
Gdyż każdy cię czci i kocha.

Do imionnika pewnej damy.

Gdym cię ujrzał po raz pierwszy,
Co masz wszystkie wdzięki łani,
Żądałaś odemnie pani!
Bym napisał kilka wierszy.
Kłopot! bo ja przy mogile
Piszę już tylko paszkwile,
Nadewszystko na kobiety
Co w sercach topią sztylety.
Kazałaś, a więc napiszę
Co o was lat tyle słyszę.

Nie jestto zaletą żadną
Być tylko kobietą ładną;
Ale być dobrą i ładną,
To jest plagą na tej ziemi.
Bo pewnie z sercami swemi
Wszyscy w jej połapki wpadną.

Ja sam na sobie mam próbkę,
Ujrzawszy pewną osóbkę,
Chociaż stary, chociaż łysy,
Chociaż z pomarszczonem licem,
Snuję się między cyprysy,
I o niej gadam z xiężycem.
Kto jest ona? jak się zowie?
Niechaj ona sama powie.
Bo mnie się tak język plącze
Że co zacznę, nie dokończę.
Bogu dzięki nieskończone,
Że mam dobre dzieci, żonę,
Które moje serce kocha,
Gdyż może szalałbym trocha.

Do Izydora.

Zacny panie Izydorze!
Długo byłeś w złym humorze,
A dziś masz wesołą postać;
Musiałeś szczęśliwym zostać.
I nim jesteś w samej rzeczy.
Bo temu już nikt nie przeczy,
(Gdyś dał dowód oczywisty)
Że jesteś jak bursztyn czysty.
Ale jednak jako stary
Co wkrótce mam pójść na mary,
Dam jednę nauczkę tobie,
Rób tak zawsze, jak ja robię.

Osłoniony cnoty tarczą,
Śmiej się, choć czasem zawarczą,
Przez przycinki lub wierszyki
Nawykłe szczekać kundliki.
Wiedz, że ludzkiego języka
Ta prawie powszechna wada,
Że innym błędy wytyka,
O sobie najlepiej gada.
Nakoniec i to ci jeszcze
W rzędzie wielkich prawd umieszczę,
Które złych niezmiernie smucą:
Że cnota jest jak oliwa,
Niech ją jak chcą z octem kłócą,
Ona zawsze na wierzch spływa.

Obraz

Alexandra Błędowskiego.

Zawsze wesoł, przyjemny, szlachetny i śmiały,
Wrzał miłością ojczyzny, przyjaciół i chwały.
Dla nichto lekce ważąc największe ofiary,
Biegł drogą cnót, honoru, sumienia i wiary.
A jeśli jako człowiek w czem niekiedy zbłądził,
Natychmiast wyznał winę i sam się osądził.
Ten wielki przymiot serca bóg mu wynagrodził,
Dając w żonie anioła, co mu wszystko słodził.

R. 1832.

Do mędrka.

Ty wierzysz jak wielu mniema,
Że myśl ludzka granic nie ma,
Że może, gdy się wysili,
Wkoło nieba przebiedz w chwili,
Poznać skutki i przyczyny
Tej niewidomej sprężyny,
Która wiecznie trąca wszystkiem,
Światy, człowiekiem, jak listkiem.

Chociaż ty skrzydły orlemi
Wzbijasz się, wzbijasz do góry,
Aż do tajemnic natury;
A ja tchórz trzymam się ziemi,
Nie przeszkadza jednak wcale
Pomówić nam poufale.
Tylko proszę, bez zapału,
I rozsądnie i pomału.

Odkryjże mi, naco, poco
Ten firmament gwiazdy złocą?
Lecą, krążą, mkną bez końca,
A każda większa od słońca,
A słońce już jest tak wielkie,
Że przechodzi miary wszelkie.
Wyznaj, naco te planety,
Które ziemską postać mają;
Te z ogonami komety,
Co mijając wszystkie światy,

Jakby węże się zwijają
Pomiędzy ziółka i kwiaty.
Co utworzyło te dzieła?
Zkąd się nieskończoność wzięła?
Co przed nią naówczas było,
Nim wszystko z miejsca ruszyło?
Co jej bieg wieczny nadaje?
Do jakiego dąży celu?
Ale widzę, przyjacielu,
Że myśl już w tobie ustaje.
Więc odpocznij, bo ja czuję,
Że cię latanie morduje.

Odpoczęłeś, powiedz teraz
(Nad czem się zmęczyłem nieraz)
Co w nas życie, czucia wzrusza?
Co jest wzrok, głos, pamięć, dusza?
Co jest światło co nam świeci?
I ten czas co naprzód leci?
Wszystko porywa, obraca,
Wszystko na ziemi przewraca,
I za sobą ręką śmiałą
Ciągnie nieskończoność całą?
Lecz się spuśćmy trocha niżej,
Bom ja śmielszy ziemi bliżej.

—

Mów, poco z wieków na wieki
Strumyk w rzeczkę, w morza, rzeki,
W których nieustannie giną,
Tak spiesznie płyną i płyną?
Z czego róża w każdej wiośnie
Tak przyjemne bierze wonie,

Rozmaitą farbą płonie;
Gdy trawka co przy niej rośnie
I dąb co się wzniosł w obłoki,
Ani płonie
Ani wonie,
Chociaż jedne ciągną soki?
Poco te mnogie owady,
Brzydkie żaby, strute gady?
Poco, gdy chodzić jest lepiej,
W miejscu się ślimaczek sklepi
I w swój ciężar się skorupi?
Lecz się mieszasz; wyznaj szczerze.
Milczysz! nie wiesz? zatem wierzę
Żeśmy oba równie głupi,
Ty na górze,
Ja na dole.
Że jest, jest ktoś .... co naturze
Każe spełniać swoją wolę
Tak ukrycie, tak tajemnie,
Że myśl nasza nadaremnie
W swym polocie i zapędzie
Chce dojść, co było i będzie.

Ale z twoich oczu widzę,
Iż szepcesz sobie: „kto bredzi
„Temu nie ma odpowiedzi."
Ja zaś mówię, a nie szydzę:
Leć ty sobie, bo ja stary,
Z skrzydłami wypierzonemi,
Nie śmiem już ruszyć od ziemi
I od przodków cnót i wiary.

Pod kaskadą w Worończynie.

Tak do grobu od powicia,
Czy bolesna, czy szczęśliwa,
Każda chwila tego życia
Jako ta woda upływa.

Bezsenny.

Wychodźmy! już noc głęboka,
Tak mnie miła po mej stracie,
I dla serca i dla oka,
Siadła na swym majestacie.

. . . . . .

Wychodźmy, nikt nas nie słyszy,
Napić się tej świętej ciszy,
Co czystem powietrzem tchnąca,
Jakąś ulgę w serce leje,
I obumarłą nadzieję
Do odżycia z lekka trąca.

. . . . . .

Cicho! . . cicho! . . świat spoczywa . . .
Świat roskoszy snu używa.

Żal mój skryty nie obudzi,
Ani ptasząt ani ludzi.

. . . . . .

W którąbądź wzrok rzucę stronę,
Wszędy światła pogaszone,
Wszędy ciemność i milczenie . . . .

. . . . . .

Szczęśliwy, kto snem zamiera;
Kto chętnie oczy otwiera
Na jasne słońca promienie!
Dla mnie wszystko nadaremnie,
Sen mnie odbiegł, dzień zgasł we mnie.

. . . . . .

. . . . . .

O wy gwiazdy! ty xiężycu!
Wyście przyjaciołmi memi,
Czuję w waszem bladem licu,
Że wy, nie uspionej ziemi,
Lecz mnie jedynie świecicie
Kończącemu w bolach życie.
Po najdroższej dla mnie stracie,
Kiedy się już ludzi boję;
Wy do siebie przytulacie
I serce i myśli moje.

. . . . . .

. . . . . .

Nocy! stokrotne ci dzięki,
Ty przytłumiasz moje jęki,
Ty mnie cieszysz t a m! nadzieją,
Gdzie te piaski światów tleją;
Gdzie mamy wieść życie inne,
Wiecznie, wolne i niewinne.

Ty! kiedy ziemia usnęła,
Co tai słońce, odkrywasz
Wszechmocności wszystkie dzieła,
I ku niej myśl mą porywasz,
Która chętnie, śmiało leci
(Gdyż jej me sumnienie świeci)
W ciemne przyszłości otchłanie,
Dziwi się, przegląda, mierzy,
A ty jej dozwalasz panie!
Pysznić się, bo w ciebie wierzy.

. . . . . .

Ale cicho . . . już kur pieje,
Zda się że ranek szarzeje.
Powracajmy do swej chatki,
Gdzie snem spokojnym spią dziatki.
Szczęśliwe! jeszcze nie wiedzą,
Że gdy po murawie skaczą,
Ojciec, matka, w kącie płaczą,
I o ich przyszłość się biedzą.
One nie wiedzą, nie czują
Klęsk co nas cisną wokoło,
I spiewając przelatują
Z marzeń do marzeń wesoło.

Moje

uczucia, rady, uwagi i przestrogi,

jedynie

dla moich córek.

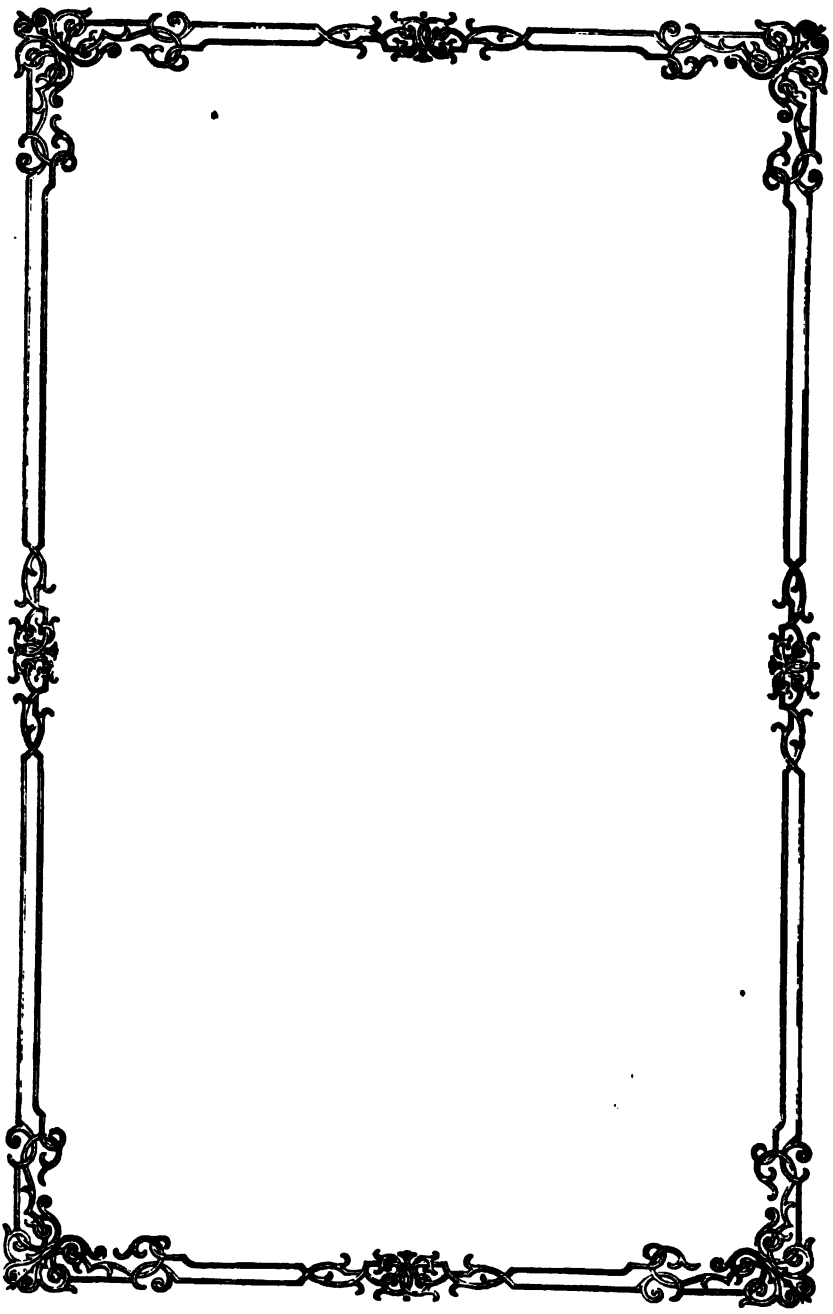

Ostrzeżenie autora.

Gdy w roku 1830 napisałem te rady i przestrogi, jedynie dla moich niedorosłych jeszcze córek, na rękopismach im przeznaczonych dołożyłem, aby za mojego życia tychże rad nie drukowano, a to z powodu, że na wstępie do nich, cokolwiek o sobie powiedziałem. Gdy wkrótce grożąca wszystkiemu wojna wybuchnęła, z obawy, aby ten rękopism serca mojego w powszechnej zawierusze nie zaginął, przyłączyłem go do dawnych moich ramot, które przyjaciołom powierzyłem.

Nie było moim zamiarem w tem pismie, dawać jakiebądź przytyki płci pięknej. Gdy jednak rzadki jest człowiek na tej ziemi bez a l e, więc w tem pismie mojem dla dzieci chciałem je ostrzedz o każdem a l e.

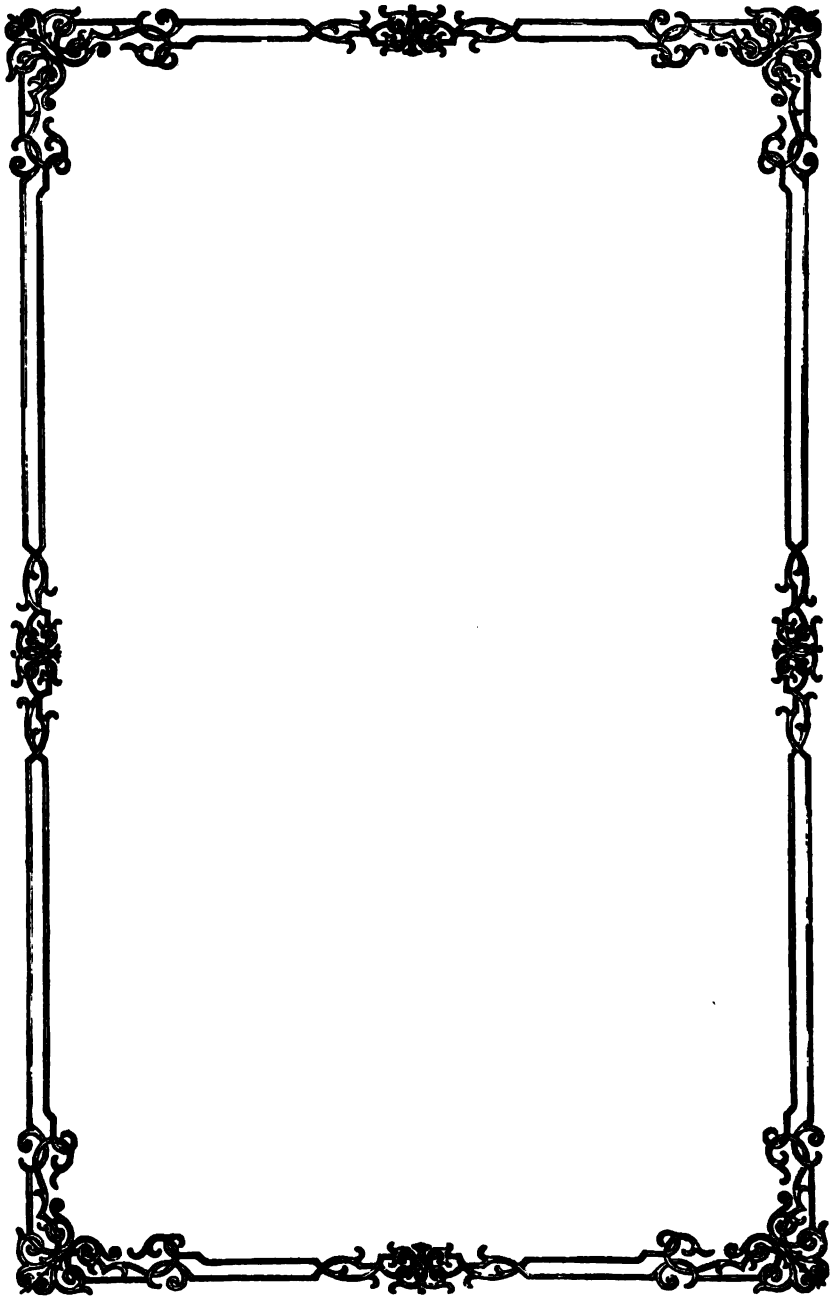

Do moich córek Zosi i Marysi.

Wstęp.

To co przy schyłku mojego życia przedsiębiorę dla was pisać, z długiego zbierałem doświadczenia; a nim co przedsięwziąłem, napiszę, powiem wam słów kilka o sobie, abyście mnie, choć w części, znały według prawdy, a nie według sądów lub domysłów ludzkich, często od niej zbaczających.

W największym warze mojej młodości, miałem zawsze skłonność do zastanawiania się nad wszystkiem, i jakoweś nieprzebędne dążenie do cichego życia, chociaż po mojej drodze wiele mi się rozwijało kwiatów nadziei i próżności.

Z darem przenikliwości przez długie ocieranie się o ludzi różnych stanów, poznałem dobrze ludzi, a zatem poznałem świat wielki i mały. Na wielkim ukazywałem się niekiedy z musu lub z okoliczności; na małym przebywałem z serca i ze skłonności: zawsze bowiem przenosiłem ciszę nad wrzawy, otwartość nad cienkość, szczerość prostą nad jej ujmujące pozory, mierność nad zbytki, istotność nad marzenia.

Nienawidząc aż do unoszenia się dumnych, podłych, fałszywych, zmiennych, niesprawiedliwych, nie mających szlachetnych uczuciów, a niechcąc być bocianem świat z gadów oczyszczającym, zamknąłem się w Worończynie, najprzód sam, potem z waszą matką i z wami.

Jakim tu byłem, uszło to pewnie waszej młodej pamięci; ale pewnie nie uszło pamięci naszych przyjaciół i przychylnych nam sąsiadów, którzy, spodziewam się, że będą kiedyś takimi dla was, jakimi byli i są jeszcze dotąd dla mnie.

Różnie (ale bogu dzięki mylnie) niektórzy sądzili o powodach mojej samotności. Nie raz może zawiść i fałszywość, drżąca przed moją otwartością, dla podniesienia siebie, pokryjomu rzucały na mnie pociski, które milczeniem mojem, spokojnością z przekonania i dobrem za złe odpłacaniem, ciągle niweczyłem.

Długo, patrząc na igraszki losów, przez które i sam nie raz przechodziłem, widzę, jak widziałem że wszystko jest marnością. Nie okryły mych piersi świecące znaki, bom ich nie chciał; bo mi odbierały chęć do nich pyszniące się niemi tysiące ludzi niezasłużonych, a nawet okrytych hańbą. Nie odznaczają mnie od innych wysokie dostojeństwa; bom po nie myślą nawet nie sięgał. Prawe życie, i trzynaście ran, to są moje ordery, to są moje dostojeństwa, to jest najdroższy wasz spadek po mnie. Dopóki mi sił stawało, w każdej kraju potrzebie stawałem; a po ustaniu potrzeby wracałem pod moją strzechę. Były czasy, były chwile, z którychbym mógł, jak inni, korzystać, ale ta myśl nawet bała się do mnie przystąpić.

W sercu nie mam żadnej trwogi bo mnie nikt nic wyrzucić nie może; kark mnie nie boli, bom go nigdy nie zginał. Żaden grosz źle nabyty nie wszedł do mojej skrzynki; a jeśli z niej jaki wyszedł w pomoc biednym, nie wyszedł on na przebłaganie nieba za nieprawe go nabycie: byłto grosz mój! czysty! Gdybym się ściśle obliczył, możem mniej odebrał, niżeli uczynił. Co więc prawe i moje, to wam wiernie zostawię, a co weźmiecie po nas, starajcie

się to zostawić waszym dzieciom. Wielka jest bowiem odpowiedzialność przed bogiem i sumnieniem tych, którzy przezbytkowawszy wzięte po rodzicach dostatki, wskazują swe dzieci i ich pokolenia na nędzę; ale wiedzcie, że równie zbytek jak i skąpstwo są bezczelne, i zawsze niepomne na to, że jedną czasem próżności wysadą lub cząstką milionową zbiorów, możnaby wielu wesprzeć nędzarzy, przyciśnionych głodem lub gwałtownemi, acz małemi potrzebami.

Wszystkie przyjemności są przemijające; ściśle tylko wypełnianie obowiązków, ograniczenie żądz i dobre imię, są jedynie trwałem dobrem, istotnem szczęściem każdego człowieka, otwierające mu drogę do szczęśliwszego jeszcze życia, po życiu na tej ziemi.

Abyście więc tak na dobrej sławie, jak na szczęściu nie poniosły kiedy jakiego szwanku, abyście, zacząwszy z niemi podróż swojego życia, bezpiecznie do jego doszły kresu, to pismo które dyktowało serce ojcowskie przywiązaniem do was przykute, niespokojne o los wasz i wtedy nawet, gdy mnie nie będzie, odczytujcie często i ryjcie głęboko na waszych sercach, rady, uwagi i przestrogi, które wam daję.

W porządku jest praw natury, że starsi wiekiem są bliżsi śmierci a niżeli młodsi; gdy więc mnie stracicie, pozostanie wam matka. Winniście jej więcej jeszcze, jak mnie; winniście ją czcić, kochać, szanować, i całem życiem odpłacać te trudy, te pieczołowitości, w których ją żadna inna matka pewnie nie przewyższyła.

Po stracie mnie, poźniej (i dałby bóg jak najpoźniej) po stracie matki, nie poddawajcie się zbytniemu i zapamiętałemu żalowi. Zbytni żal, równie jak i zbytnia czułość na lada nieprzyjemność, prowadzące do zniszczenia zdrowia,

a zatem i do skrócenia życia, są grzechem ledwie nie równającym się samobójstwu: są niejako wyrzucaniem bogu źle ustanowionego w całej naturze porządku, przez który każdy człowiek żyć, coś cierpieć i umierać musi. Trochę łez, ciche westchnienia, ciche jałmużny, szczere modły stokroć będą milsze bogu, i większą czcią dla naszej pamięci, nad niepohamowane smutki i tragiczne sceny. Żal prawdziwy i korne znoszenie ciosów mają zwykle postać umiarkowaną, i dalekie są od zapędów, ktorym ludzie często przewrotne dają znaczenie. Po stokroć więc razy powtarzam wam, że zbytnia czułość za lada nieprzyjemnością, nie zgodna jest z wiarą, odwraca od obowiązków, zaprawia powolnie goryczą, naprzód chwile, potem dnie, a nakoniec lata i całe życie. Strzeżcie się więc tej trucizny zabijającej szczęście i życie, szczególniej kobiet. Znoście z rezygnacią ciosy, z łagodnością nieprzyjemności wynikające z życia, ze stanu lub z obowiązków. Bądźcie zawsze wdzięczne waszym dobroczyńcom, wzajemne wiernym przyjaciołom, przebaczające wrogom, i nie wypuszczajcie nigdy za swoje progi strapionych bez pociechy, nędzarza bez wsparcia.

Oby bóg wysłuchał mojego głosu! oby moje prośby, przestrogi i rady zawsze wam obecnemi były! Umyśliłem je dla was pisać wierszem, dla tego jedynie, że prawdy, posypane kwiatami, głębiej i bez bolu wciskając się do serca mocniej się trzymają pamięci.

Od najsmutniejszej dla mnie zaczynam:

Wszystko mi już przypomina . . .
Tak moje dzieci kochane!
Wkrótce uderzy godzina,
W której się z wami rozstanę.

Przebiegła młodość szczęśliwa,
Dotąd mi luba wspomnieniem,
Już ten ogień dogorywa,
Co niegdyś buchał płomieniem.
Jeśli w odwrót myśl lecąca
Iskrą wesołości pryśnie,
Nie dziw, i lampa gasnąca
Czasem światełkiem zabłyśnie.
Na to, co się innym śmieje,
Łzawemi patrzę oczyma;
W przyszłości są ich nadzieje,
Dla mnie już przyszłości nie ma.
Chętnie wszelkie trudy niosłem,
Gdy łódkę waszego życia
Cichem posuwając wiosłem,
Chroniłem ją od rozbicia.
Lecz wy jeszcze nie u brzegu!
Biada mnie starcowi biada!
Łódka wasza w pełnym biegu,
Mnie z ręki wiosło wypada.
Ktoż was, o kochane dziatki!
Dowiezie do portu cnoty?
Bez ojca, poźniej bez matki.
Czemże będziecie? — Sieroty! —
Ktoż się was, jak my, użali?
Kto odwiedzie od rozpaczy?
Kto miękkie serca ustali?
I łatwiej błędom przebaczy?
Po nieszczęsnej nas utracie,
Wy naszego życia cele,
Nie raz może zawołacie:
„Gdzież rodziców przyjaciele!

Milczeniem wam odpowiedzą:
Że jednych mogiły kryją,
A drudzy zaledwie wiedzą
Że dzieci przyjaciół żyją.
Lecz po coż temi widmami
Sam się smucę, i was straszę?
Bóg czùwać będzie nad wami
I błogosławieństwa nasze.
Ten pan wiekuistej chwały
Który z pełnej sypie dłoni
Dobrodziejstwa na świat cały,
I was przed złymi zasłoni.
Puśćcie cnotom życie swoje,
Tem mnie całą cześć oddacie,
Za trudy, za serce moje,
Któreście miały i macie.
Może też! kiedy żyć skończę,
Choć wnijdę w grobową ciszę,
Lub was ujrzę, lub usłyszę,
Lub się kiedyś z wami złączę.

Uwagi jedynie dla moich córek.

Uwaga 1.

Rozum z nauką wespołem
Jest piękną ozdobą głowy;
Lecz naszym stróżem aniołem,
Jest tylko rozsądek zdrowy.

W samych burzach ludzkie życie;
On was zabezpieczy wszędy,
Nim jedynie poskromicie
Próżność' żądze i zapędy.
Nienawidzi go wiek młody;
Wy, jeśli błądzić nie chcecie,
Radźcie się go długo wprzódy,
Nim cobądź przedsięweźmiecie.
Czyto z serca, czyto z głowy,
Nic nie sławcie z uniesieniem;
Każdej gruntownej budowy
On jest węgielnym kamieniem.
Jeżeli, co myśl nasunie,
Wesprzem na samej nadzici,
Bez niego, to wszystko runie,
Jak nasze myśli z kolei.
Bez niego, moje dzieweczki,
Łatwo zejść z cnoty do zbrodni,
Stracić sławę dla fraszeczki,
Kochać tych co nas nie godni,
Popełnić wiele złych rzeczy,
Zadać i odebrać rany,
Których żal ni czas nie zleczy.
Poczynić szkodliwe zmiany,
Z podostatków zabrnąć w długi,
Do nieładu przejść z porządku,
Wierne poodpędzać sługi.
Ach! wierzcie; szczęście w rozsądku.
On złączony z wiarą, z cnotą,
Gdy się go trzymać będziecie:
Uczyni wam przyszłość złotą,
I drogę do nieba zmiecie.

2.

Chrońcie się niepewnych związków
I ponęt wielkiego świata.
W pełnieniu swych obowiązków,
Dzień za dniem błogo ulata.
Duma, bogactwa, znaczenia,
Hufce trosk za sobą wiodą.
Ach! te próżności marzenia
Wielu zwiodły, wielu zwiodą.
Niechaj was bóg od nich strzeże.
Omijając krzew poziomy,
Na wyniosłe dęby, wieże,
Zwykle niebo ciska gromy.
Gdy się im nic nie ostoi,
Czy wiecie dla czego trzcina
Żadnej się burzy nie boi?
Dla tego że się ugina.
W mierności szczęście prawdziwe...
Miejcie ją zawsze na pieczy,
A znikną żądze burzliwe
I chęć nadzwyczajnych rzeczy.

3.

Spojrzcie na naturę wkoło:
Wszystko w niej pracą zajęte,
Wszystko ochoczo, wesoło
Wypełnia jej prawa święte.
Nudy, drażliwość, wapory
I przedwczesna sytość życia,
Sąto próżnowania twory
Lub złego czasu użycia.

Ilużto w dostatkach ludzi,
Że niczem nie są zajęci,
Samo nawet szczęście nudzi
Przez łatwość spełniania chęci.
Słabi, smutni, zawsze jęczą,
Zawsze na coś wyrzekają,
Sami siebie i tych dręczą,
Którychto niby kochają.
Unikajcie moje dziatki!
Tej trucizny, tej zakały.
Żyjcie tak, jak nasze matki,
Co się wszystkiem zajmowały;
Co za pierwsze cele miały
Obowiązki, dobre czyny;
Myśli też ich nie leciały
W błędnych urojeń krainy.
U nich serce w sercu było,
Szczerze niosło pomoc, rady.
Wszystko też błogosławiło,
Sługi, kmiotki i sąsiady.

4.

Mącącej serce i głowę
Zalotności *) złe są skutki.
Jej tryumfy są chwilowe,
A na potem długie smutki.
Nie możem wiecznie żyć wiosną,
Nie można wiecznie być ładną,

*) Zalotność *coquetterie*. —

Niech więc i chęci nie rosną,
Kiedy z wdzięków listki padną.

Nie uchodźcie za uczone.
Mężczyzni ten kaprys mają,
Że nigdy mądrej za żonę,
Lecz tylko dobrej szukają.
Czasem kobiecie się uda,
Że wiek swój wdziękiem przegoni.
Lecz to trejbhauzowe cuda,
Kwiat wymuszony bez woni.

Dobroć szczera nie z pozoru,
Cierpliwość tłumiąca jęki,
I jednostajność humoru;
Niech te będą wasze wdzięki.
Teto wdzięki nie więdnieją.
Dadzą wam tryumfy, chwałę,
I strumień szczęścia wyleją
Na wasze życie całe.

Jak listopad się nie kwieci,
Tak wiek życia ma swe pory;
Stosujcie więc do nich dzieci!
Swe uczucia i ubiory.

Nie dość przez chwilę w salonie
Sztuką omamień zabłysnąć;
Jeśliście inne na stronie,
Sumnienie będzie was cisnąć.
Jak wiara, rozsądek radzi
Żyć należy i żyć zawsze,
Ojciec, matka, mąż nie zdradzi;
Ale sługi mniej łaskawsze

Mimo dary, obietnice,
(I na to nie ma sposobu)
Roztrąbią te tajemnice
Które złych pędzą do grobu.

5.

Ktokolwiek cobądź udaje,
Cokolwiek czyni z przysadą;
Powody do szyderstw daje,
W których ludzie miar nie kładą.
Ileż przez nie ofiar pada!
Zadrzyjcie na ich sztylety!
Jedna nierozsądku wada
Wszystkie niweczy zalety.
Na małym i wielkim świecie
Wieków stwierdzono wyrokiem,
Że naturalność w kobiecie
Czarującym jest urokiem.
Łatwo młodej ładną zostać,
Lubię ja w was sarnie skoczki,
Głos przyjemny, skromną postać,
I figlarne czasem oczki.
Lecz gdy mi inna z nienacka
Zagrzmi głosem, spojrzy srogo,
I posunąwszy z kozacka
Trzęsie ziemię pod swą nogą;
Wówczas dziękuję za wdzięki,
I mimo wielkie jej cnoty,
Bez pocałowania ręki
Choć stary, zmykam przez płoty.

6.

Panna co strzela oczyma,
Co mężczyzn zaczepia śmiało,
Że już w niej skromności nie ma,
Sądzą że w niej i cnót mało.
Skromność, na której spoczywa
Dobra sława, skarb kobiety,
Płci waszej słabość pokrywa,
A wznosi wasze zalety.
Bez niej żadnych wdzięków nie ma.
Ona nas ciągnie, porusza,
Ona nas na wodzy trzyma,
I do oddania czci zmusza.
Ze skromnością wszystko ładnie.
Czuwajcie nad tym urokiem!
Bo ulecieć może snadnie
Z jednem słowem, z jednym krokiem.
Ja i tej ciupki nie lubię
Co patrzy tylko ukosem,
Zawsze coś przy sobie skubie,
Tak, lub nie, mrucząc pod nosem.
Biedna! jakby posąg z miedzi
Umieszczon w żyjących rzędzie,
Milczy i jak wryta siedzi
I długo też siedzieć będzie.
Nie pomaga strój bogaty,
Perłami okryta szyja.
Każdy spojrzał w perły, w szaty,
Lecz każdy osobę mija.
Nie do was to duszki moje.
Inne macie wychowanie.

Wy skromne jak wasze stroje,
Wszystkoto matki staranie.
Gdy jak łątki czyste białe,
Z dzieńdobrym do mnie wchodzicie
Wesołe i grzecznie śmiałe,
Oddałbym wam moje życie.
Patrząc na włoseczki lśniące,
Na kibić giętką, twarz świeżą,
Widzę już ofiar tysiące,
Co u nóżek waszych leżą.
Lecz dla boga! nic próżności!
Ojciec, matka, często widzą
Te w dzieciach doskonałości,
Z których wszyscy inni szydzą.

7.

Młoda osoba, wesoła,
(Nie szkodzi wam wiedzieć o tem)
Każde serce podbić zdoła,
Jeśli nie jest tylko trzpiotem.
Trzpiotostwo miłem być może
Wśród dziecinnej wesołości;
Ale później, broń was boże!
Przez nie droga do płochości.
Wązka je granica dzieli,
Łatwo ją przejść zapomnieniem.
I płochość ma swych czcicieli;
Lecz cóż z sławą? cóż z sumnieniem?
Na samę myśl tracę siły:
Bo to uczucie mam w sobie,
Że gdybyście płoche były,
Zajęczałbym jeszcze w grobie.

Waszego życia prawidła
Czerpajcie z życia swej matki,
Wszystkie ominęła sidła;
Przykład na tej ziemi rzadki!
Zginając codzień kolana,
Codziennych cnót kwiatki świeże
Nieście w ofiarze do pana;
On was od hańby ustrzeże.

8.

Sobą i dziećmi szczęśliwe,
Przy skromnym kawałku chleba,
Małżeństwo zgodne, cnotliwe
Jest najświętszym darem nieba.
Gdy ich obowiązki łączą,
Każda myśl przyjaźnią gore;
W szczęściu zaczęli i skończą
Najważniejszą życia porę.
Niczem jest dla nich świat cały;
Swoboda, porządek w domu;
Spią żądze co niegdyś wrzały,
Nie zazdroszczące nikomu.
Lecz tam gdzie serc nie związały
Szacunek, rozsądek, cnoty,
Trzęsie się piekłem dom cały,
A w sercach same zgryzoty.
Byleście tylko dożyły,
Znajdą się wasi czciciele.
Lecz, byście szczęśliwe były,
W nich i w was trzeba cnót wiele.

Zbyt łatwo mężczyzna młody,
Co mazura suwa ładnie,
Dowcipny, pięknej urody,
W niewinne serce się wkradnie.
Tu wam przytoczę bajeczkę
(Gdyż i w bajkach nauk wiele)
Zastanówcie się troszeczkę
By dobrze pojąć jej cele.

Bajka.

Nic nie wiem z jakich pobudek
Pytał się raz człowiek-dudek,
Zobaczywszy ptaszka dudka:
„Co za pobudka,
„Że go każdy dudkiem zowie?
„Mnie się on być nim nie zdaje."
Na to ktoś mu z boku powie:
„Dudek, bo się łapać daje."
Nieboraczek! nie zrozumiał;
Dalejże za ptaszkiem gonić,
A że ptaszek latać umiał,
Łatwo się mu było schronić.
Pożno spostrzegł i wyrzekał,
Że dudka łapiąc czas strwonił.
Większy więc dudek co gonił,
A niżeli co uciekał.

Nie raz, przez brak doświadczenia,
Z jednem spojrzeniem nieśmiałem,
Z tajemnym jękiem westchnienia,
Poszło serce z szczęściem całem.
Zdrada ma przyjemną postać:
Wesoła, uprzejma, tkliwa,
By tryumfującą zostać,
Cnót nawet czasem używa.
Smutny więc związek i słaby,
Co się nierozważnie klei,
Przez zwierzchne tylko powaby,
Wiarą oczu lub nadziei.
Przemkną się chwile złudzenia,
Chwile szalonego szczęścia;
Przyjdą żale, łzy, cierpienia,
Skutki płochego zamęzcia.
Wczembądź kobieta pobłądzi,
Czy z serca, z głowy, czy z wiary,
Każdy ją surowo sądzi,
Częstokroć nawet bez miary.
Być kobietą nader trudno.
Wasze chęci w ciągłych skokach;
Ale wprawdzie i nam nudno
Zawsze was widzieć w obłokach.
Myśmy żywsi, popędliwi,
W nas wrą żądze panowania,
Które i natura żywi,
I prawa i wychowania.
Wyście słabsze, więc was bronim;
Gdyście dobre was kochamy,
Dla was nawet sławę gonim;
Coż więcej uczynić mamy?

Ciężko wyznać, lecz należy,
(Nie tu rzecz o czci niegodnej)
Że z nas każdy u nóg leży
Kobiety dobrej, łagodnej.
Przez takieto cnoty, wdzięki,
Podobajcie się każdemu;
Lecz ni serca ni swej ręki
Nie oddawajcie złemu.
Gdy mąż w burzy, wy w pogodzie
Przetrzymajcie wasze czoła.
Przejdzie burza, żal ubodzie,
Serce wynagrodzić zdoła.
Lecz gdy przeciwnie, broń boże!
Cisza w mężu, burza w żonie;
Nic uratować nie może,
Każde w nieszczęściach utonie.
Ktoż się przed takim ostoi
Co się z praw wszelkich wydziera?
Ktoż się kobiety nie boi
Co swą naturę pożera?
Ja tu szczerą prawdę mówię.
Źli zawsze na kogoś warczą.
Przeciw którym w białejgłowie
Skromność i cnoty są tarczą.
Niewinność i piękność młodą,
Nazbyt łatwo ufające,
Ciągle zwodząc, często zwiodą
Ponęt i pochlebstw tysiące. —
Niech więc was pozór nie mami.
Patrzcie w serca długo, skrycie,
Tych co dzielić mają z wami
Troski, szczęścia, całe życie.

Dla niepewnych serc podbicia
Nie marnujcie swych uniesień,
I w wiosnie czystego życia
Oglądajcie się na jesień.
Wszystko wśród wiosny wesoło;
Pomnę, jak wdzięcznie, jak mile,
Gdy przy świeżych kwiatkach wkoło
Krążyły pszczółki, motyle,
Wyście za niemi leciały.
Biedne! nic niewiedząc o tem,
Że motyl zawsze niestały,
A pszczółka rani swym grotem.
Ale wy jeszcze nie zdolne
Pojąć.... a więc dosyć o tem.
Skaczcie sobie pokąd wolne,
Resztę dopowiem wam potem.

9.

Ze strasznych poczwar na ziemi,
Ta, co wszystkie związki zrywa,
Co się pastwi niewinnemi,
Jest podejrzliwość gryźliwa.
Zaślepioną w sobie wiarą,
Przed swem sumieniem i bogiem,
Siebie zawsze zwie ofiarą,
A niewinnego swym wrogiem.
Ona wszędzie czuje zdrady,
Czego nie widziała widzi',
Wszędzie napotyka gady,
Z najczulszych się wylań szydzi:

I nieufając nikomu
Wśród snu niespokojna czuwa;
Czy przyjaciel pokryjomu
Z sztyletem się nie przysuwa.
Dosyć wam tego obrazu
Mającym ufności wzory,
Aby w was utkwił do razu
Wstręt do tej strasznej potwory.
I zawiść nie mniejsza wada;
W niej zgryzot zarzewia tleją,
Jeśli tego nie posiada,
Czem inni ludzie świetnieją.
W jejto jest naturze prawie
Co wyższe zniżać, spotwarzać,
Najczystszej ujmować sławie,
Prawdę taić, dziwy stwarzać.
W ukryte pociski zbrojna,
Czuwać, działać nie przestaje,
I gdy niewinność spokojna
Raz jej śmiertelny zadaje;
Poczet ofiar nader długi
Pada pod ostrzem jej grotów,
Cnoty, talenta, zasługi
I mnóstwo innych przymiotów.
Mniej sroga zawiść kobieca.
Straszne jednak jej łzy, jęki,
Zwłaszcza, kiedy ją podnieca
Strój piękniejszy, świeższe wdzięki,
Za któremi młodzież leci,
Które do koła obsiada.
Strzeżcie się jej moje dzieci!
Każda zawiść brzydka wada.

Znałem jednę, nazbyt tkliwa,
Że ktoś inną wziął mazura,
Cały wieczór nieszczęśliwa
I milcząca i ponura.
Ta marna, śmieszna przygoda
Bez nieszczęścia nieszczęśliwość,
Niech wam w obrzydzenie poda
Zbytniej czułości drażliwość.
Od waszych uszu niewinnych
Odpędźcie plotki, pasztety:
Nawet żarty kosztem innych,
Które dość lubią kobiety.
Czy w obcym, czy w własnym domu
Bądźcie na wszystko spokojne:
Nie uchybiajcie nikomu,
Na żadną nie trąbcie wojnę.
Trwożliwe, dobre i grzeczne,
Ze skromnością, swym aniołem,
Wszędy przejdziecie bezpieczne,
Wszędy wam uderzą czołem.

10.

Stosownie do stanu, wieku,
Miłość własna (acz są różne)
W każdym prawie jest człowieku.
Są głupie, piękne i próżne.
Każdy swą szalenie kocha,
I broni jej najgoręcej;
O każdej wam powiem trocha,
Ale o próżnej najwięcej.

Nadstawcie więc pilnie ucha,
By w nie weszła prawda czysta;
A raczej niech serce słucha,
I z moich przestrog korzysta.

Głupia, upor, pychę daje,
O wszystkiem stanowczo sądzi;
Nieustannie coś udaje,
Słowem, nieustannie błądzi.
Najwidoczniejsze jej cechy:
Zarozumiałość, przysada;
I nie zna większej pociechy,
Jak kiedy o sobie gada.
Jako w norymbergskim sklepie
Różnych w niej dostanie rzeczy:
To cedzi słowa, to trzepie,
To najświętszym prawdom przeczy;
Tysiączne są w niej przemiany.
Lecz o tych zamilczeć wolę,
Jak nasz Krasicki kochany
O Ryczywole.

Próżna z bogactw czy z urzędu
Puszy się, dmie się, lub pnie się.
Wymyka się, z równych rzędu;
Zawsze głowę wyżej niesie.
Na wszystkich z góry spogląda,
Z dumną grzecznością się kłania,
Czci wyższej dla siebie żąda,
Świętemi chce mieć swe zdania.

Dla kadzideł lub błyskoty,
Które passiami lubi,
Gotowa zejść z drogi cnoty,
Czasem się nawet tem chlubi.
Spią w niej uczucia litości.
Tam tylko sypie ofiary,
Gdzie pewna, że głos wdzięczności
Roztrąbi jej wszystkie dary.
W poetach jest najnudniejsza.
Bo tekami na nas godzi,
I wszystkiego cenę zmniejsza,
Co z jej pióra nie wychodzi.
Zawsze w ręku xięga spora
Drobniutkim maczkiem pisana;
Gdy nas zastąpi z wieczora,
Ziewać musimy do rana.
Ona się także wykrywa
W sprzętach, powozach, wysadach,
I w kredytowych, jak bywa,
Wieczorkach, balach, objadach.
Wiele w niej śmieszności innych,
Któremi się ciągle łechce,
Lecz tych baranków niewinnych
Nawet i zaczepiać nie chcę.
Takto miłość własna, próżna,
Co czyni, dobrem być mniema.
Kobieca w tem tylko różna,
Że podobnych przestępstw nie ma.
Ale są inne, niestety!
Napadające was zgrają,
I w tem biedniejsze kobiety:
Bo i w tem więcej trosk mają.

Gdy z miłości własnej próżnej
Tworzy się chęć podobania,
Kobiecie, i to ostrożnej,
Przez litość, rozum nie wzbrania.
Lecz w pannie, gdy się roznieci
Chęć tryumfów przez zaloty;
I szczęście za nią uleci,
I dobre imię i cnoty.
Na boga dzieci! na boga!
Niech ta ojcowska przestroga
Utkwi w sercu i w pamięci.
Ach! zawsze w każdem zdarzeniu
Oddawajcie straż swych chęci
Rozsądkowi i sumieniu.

Piękna wszystkie ma korzyści,
Pewność siebie, dobre cele,
Wolna od wszelkiej zawiści;
Ale takich jest nie wiele.
Onato przez życie prawe,
To przez głęboką wiadomość,
To przez czyny, to przez sławę
Pragnie się wznieść nad poziomość.
Żadnych uchybiań nie znosi;
Nie dręczy ją cudza chwała,
Każdą zasługę podnosi,
Bo dobrem powszechnem pała.
Ona nie gardzi amboną
I wówczas nader nam droga,
Gdy tych co w przestępstwach toną
Wraca do cnót i do boga.

Im trudniejsze, tem wytrwalej,
Pełnić obowiązki święcie,
Iść z cnót w cnoty co raz dalej;
To jej stałe przedsięwzięcie.
Moje dzieci! rzecz więc jasna
Że i was przejąć powinna
Piękna tylko miłość własna,
Ale byleby nie inna.

11.

Kogoż ten widok nie wzruszy,
Gdy młodość zgiąwszy kolana,
Czysta w sercu, czysta w duszy,
Podnosi oczy do pana?
I korząc się błaga skrycie
Przejęta o przyszłość trwogą,
By jej kroki, serce, życie,
Wolną od błędów wiódł drogą.
Proście! proście, moje dziatki!
Lecz modlitwą tak gorliwą,
Jak jest ojca, jak jest matki,
O waszę podróż szczęśliwą.
„Zmiłuj się nad nami, boże!"
Wyrzeczone z żalem szczerze
Łatwiej go nam skłonić może,
Nad stokartkowe pacierze
Klepane tylko z nałogu,
Wpośród których oko śledzi
(Gdy się nie myśli o bogu)
Gdzie? kto? w jakiej ławce siedzi.

Nie bardzo w modlitwy wierzę
Z błyszczących xiążek od złota;
Ta myśl raczej górę bierze,
Że w nich romans Walter-Skota.
Świątynia nie jest salonem.
W młodej, pobożność prawdziwa
Gęstym się słoni welonem,
I twarz swą pilnie ukrywa.
Zbyt źle się wydają fioki
W miejscu smutku i milczenia:
Gdzie powinien żal głęboki
Wzywać tylko przebaczenia.
Do zniesienia ciężkie może
Uległość, cierpliwość święta,
Acz prawa ludzkie i boże
Wkładają na was te pęta.
Dla cnotliwych lekkie one,
(Ja między szczęścia je liczę)
Boście z nieba naznaczone
Ludzkie osładzać gorycze.
Póki przy was nasza ręka,
Póki w sercach boga strzeżem,
Żadna się z was nic nie lęka;
Lecz same! ... gdy was odbieżym ....
Ileż niepewności! trwogi! . .
Do cnót ścieżeczka ukryta,
Do przestępstw ponętne drogi,
Do błędów droga ubita.
Kędyż pójść? ... pobożność wskaże,
A z nią obowiązki wasze;
Smutno, choć żal błędy maże,
Występkami — i nie straszę.

Anielskich pociech strumienie
Z czystej pobożności płyną.
Ona zagaja sumienie
Draśnięte błędem lub winą.
Czy serce czy ciało boli,
Ona słodki balsam leje,
W każdej pociesza niedoli,
I wszystkie wspiera nadzieje.
Módlcie się więc, módlcie dziatki!
Lecz modlitwą tak gorliwą
Jak jest ojca, jak jest matki
O waszę przyszłość szczęśliwą.

12.

Trzeba zgryźć orzech nareszcie,
Odkryć przepaść prawdą srogą,
W którą słabości niewieście
Tak łatwo was wtrącić mogą.
Ostatnim uwag przedmiotem
Będzie miłość wam nieznana.
Trudno się skryć przed jej grotem,
A każda w niej ciężka rana.
Ona zwykle nas porywa
Wirem ślepych żądz, zapędów.
Szczęśliwy! kto ją przebywa
Bez trosk wielkich, ciężkich błędów.
Na świadki przyzywam boga!
Bo któż za przyszłość zaręczy?
Jak rażąca o was trwoga,
Mną w tej chwili miota, dręczy.
Ta co ku cnotom zaleje
Miłość czysta i powolna,

Mało zdając na nadzieje,
Wziąść i dać szczęście jest zdolna.
Lecz w szalonej! . . . same rany! . . . .
Jestto straszny wulkan serca.
Jestto tyran niezbłagany,
Wszystkich nam swobód wydzierca.
Ona wrazy cnót zaciera,
Ona przez łzy lane skrycie
Niszczy zdrowie, sen odbiera,
Truje spokojność i życie.
Kobiecie skromnej, ostrożnej
Nie trudno się jej obronić:
A nadewszystko pobożnej,
Byleby za nią nie gonić.
Błagam więc was, błagam dzieci!
Jak tylko w sercu już trwoga,
Jak najprędzej niech myśl leci
Do obowiązków i boga.
Z niemi spędźcie wszystkie lata,
Z niemi, wolne wszelkiej trwogi,
Wstępujcie w labirynt świata:
Waszą nitką me przestrogi.

Zakończenie.

Już tedy co mogłem, mogę,
Bez żadnej rzeczy ukrycia,
Wszystko oddałem na drogę
Waszego całego życia.
Piękna pora! wszystko w kwiecie!
Podróż się dobrze zaczyna!

Jeśli ją źle przebędziecie,
Nie ojca, nie matki wina.
Wychowanie nieprzysadne,
Zdrowe główki, zdrowe ciała,
I sameście dosyć ładne,
A więc na cnotach rzecz cała.
Macie bez długów wioseczki,
Dobrej sławy serca chciwe,
Macie domki, ogródeczki,
Powinnyście być szczęśliwe.
Wam ranek oczy otwiera,
Wam wkrótce słońce zaświeci
Mnie wieczór oczy zawiera.
Tak moje kochane dzieci! . . .
Wkrótce się nam rozstać trzeba!
Już was więcej nie zobaczę.
Na ten srogi wyrok nieba
Wy płaczecie, i ja płaczę.
Jak listek pada za listkiem,
Padają ludzie, narody;
Pada wszystko; bo we wszystkiem
Życia i śmierci zarody.
I czegoż się tak trapimy
Przykuci życia nałogiem?
Czy nie czujem, czyż nie wiemy
Że życie szczęścia jest z bogiem? —
Ten tylko co nie ma wiary,
Co żyje żądzami swemi,
I łakomie i bez miary
Połyka roskosze ziemi:
On się śmieje z cnót, sumienia,
I chociaż wie że się myli,

Wieczność na chwile zamienia
Dla jednej przyjemnej chwili.
Odtąd, jak się skrywszy w cieniu,
Nie wiodę z żądzami wojny;
Mam i pociechę w sumieniu
I na śmierć umysł spokojny.
Odtąd, gdy boleść ubodła,
Zaraz mówiłem do siebie:
„Ziemska nadzieja mnie zwiodła;
Za to będzie lepiej w niebie."
Nie zupełnie to pociesza,
Że przestępstw otoczon likiem
Kapłan je słowem rozgrzesza.
Sumienie jest spowiednikiem!
Kto te więzy marą mniema,
Kto się z nich urąga, szydzi;
Gdy śmierć stanie przed oczyma,
Ciężko się, ciężko zawstydzi.
Zatykajcie pilnie uszy
Na wszystkie bluźniercze mowy,
Nie wpuszczajcie ich do duszy,
Nawet na chwilę do głowy.

Bóg! co nieskończoność stworzył,
I nam ukazał świat cały;
Na toż nam oczy otworzył,
By jej nigdy nie widziały?
Myśl, jaką Newton posiadał,
Co leci, leci bez granic;
Ciałuż tylko jej moc nadał,
By z ciałem zniweczył na nic?
Nikną trawki i znow rosną:

Muszka zmiera snem zwodniczym,
Wszystko się odżywia z wiosną,
Myż wiecznie mamy być niczem?
Jako trawki nowe życie
Biorą z ziemi, i znow rosną;
Bierzmy ze cnot swe tu bycie,
A śmierć będzie naszą wiosną.
Dobrem za złe odpłacałem,
Według praw żyłem na świecie,
Ojczyznę nad was kochałem:
I czegoż mnie żałujecie?
Kiedyście w ciężkiej chorobie
Zbawczych lekarstw brać nie chciały;
Ach! zginą! mówiłem sobie,
I gorzkie łzy mnie się lały.
Ale w mej, czasu chorobie,
Próżne leki, łzy i trwoga,
Mówcie raczej na mym grobie:
„Ojciec poszedł prosić boga,
„Byśmy zdrowe i szczęśliwe
„Podług jego przestrog żyły;
„O matkę były troskliwe,
„I z nim kiedyś się złączyły."
Lecz czas skończyć — łódka czeka . . .
Co za rzekę zapomnienia
Każdego wiezie człowieka.
Żegnam was ziemskie marzenia!
Żegnam was, najdroższe dziatki!
Niechaj wam bóg błogosławi
Stulcie się przy sercu matki,
Ona wasz żal lżejszym sprawi.

MOJE MARZENIA

W SZARYCH WIECZORACH.

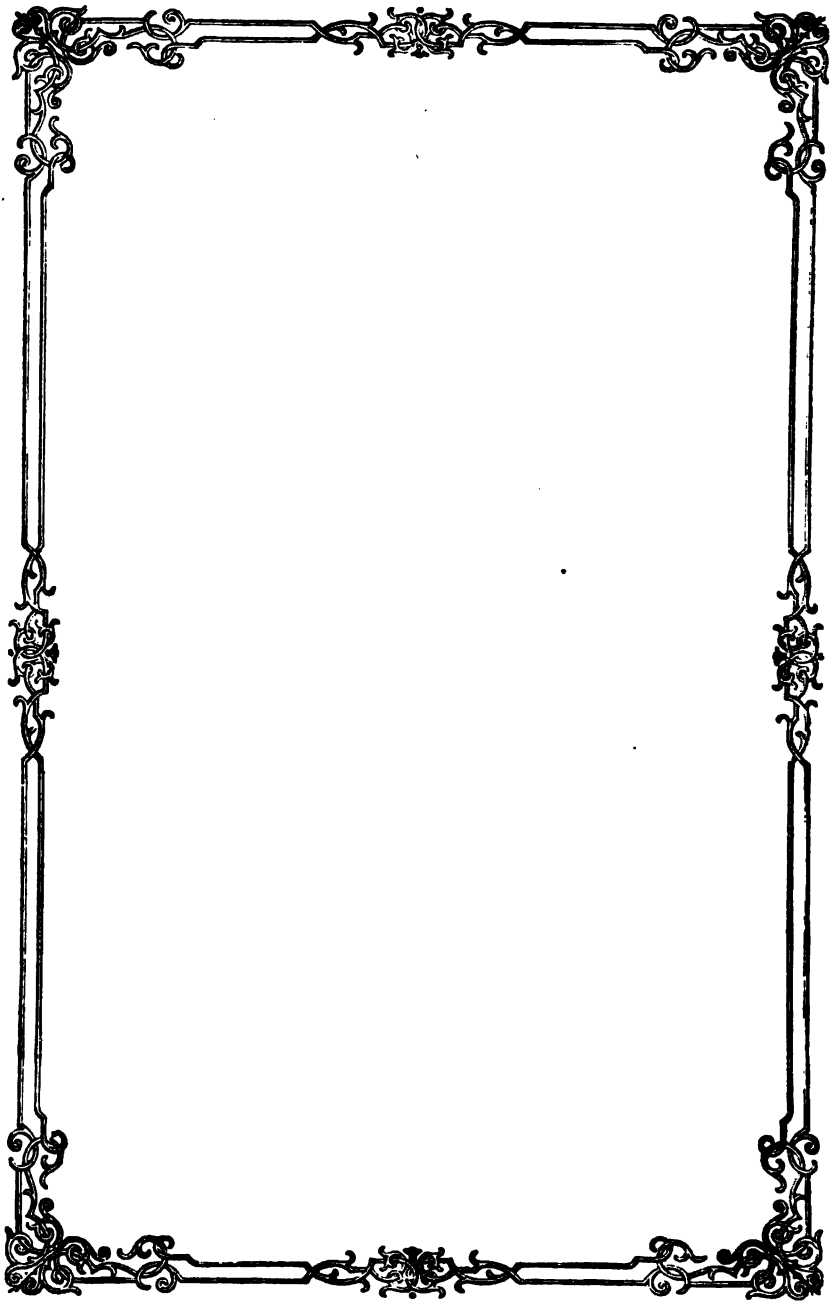

Marzenia

w szarych wieczorach.

1.

Miłość jest kwiatem; przyjaźń owocem; podejrzliwość robakiem jedno i drugie niszczącym.

2.

Kto skłonny do litości, ten łatwy do przebaczenia: wielkie cnoty!

3.

Którędy najkrótsza droga do szczęścia i nieba? — Przez czyste sumienie!

4.

Paskudneto małżeństwo, w którem mąż ma wszystkie przymioty żony, a żona przymioty męża.

5.

Jak teraz powinny być córki wychowywane? — Jak nasze (z przeproszeniem dzisiejszych matek) prababki, co dla tego były zdrowe, że więcej koło domu chodziły, niż po obłokach latały.

6.

Delikatność jestto szal wschodnio-indyjski — piękny, przytulny, miękki, lekki — grzeje i przystraja.

7.

Zkądto idzie, że w tym wieku tak wiele i wielkich grzechów? — Ztąd że sami sobie dajem absolucie.

8.

Rozbójnika i podbijacza świata, (na moje słowo) obu na szubienicę.

9.

Do czego trzeba najwięcej śmiałości? — Do bezczelnego kłamstwa!

10.

Kobieta drażliwa jest arfą eolską (eolienne) z każdym wietrzykiem grającą, tylko że bez akordów.

11.

Co jest najobrzydliwszego? — Kapłan bez wiary, urzędnik bez sumienia, żona bez łagodności, żołnierz bez odwagi, sługa bez wierności, człowiek bez miłości boga i ojczyzny.

12.

I głupi miałby swój rozum, gdyby się tylko przekonał że głupi.

13.

Dla czego tak trudno znaleść wdzięczność? — Dla tego, że jej szukają.

14.

Mówiący zawsze zbyt surową prawdę, są celem, do którego wszyscy strzelają.

15.

Kto jest najuboższy z ludzi? Ten co udaje: bo nic nie ma swojego.

16.

I ten co nigdy nie ma swojego zdania, i ten co zawsze na swojem się tylko zasadza, wiecznie oba błądzić będą.

17.

Jaki najstraszniejszy djabeł? — Pod postacią aniołka.

18.

W najczarowniejszej wymowie łatwo dziś ludzie dojrzą, co wyszło z serca, co z głowy.

19.

Gdybyśmy mogli z naszej ziemi jak racę, wyrzucić w powietrze osobistość, próżność, zawiść, przesądy, dumę i podejrzliwość, mielibyśmy jednego boga, jedne prawa, jedne żądze, jedno szczęście, jednę ojczyznę i wieczny pokój.

20.

Błądzim gdy myślim, że potępiając wszystkich, wznosimy siebie. Taż sama kolej i nas czeka.

21.

Jabym i dziś gotów przysiądz, że nie ma człowieka, co w nic nie wierzy; bo jeśli jest, to nie człowiek.

22.

Wszyscy do sławy wzdychają: a że rzadko kto na nią pracuje, dla tego tak mało sławnych.

23.

Nic nudniejszego w społeczeństwie, jak poeta, co zawsze chce czytać swoje dzieła; rycerz, co zawsze opowiada swoje waleczności; starzec, co zrzędzi, i dawne tylko czasy chwali; młodzieniec, co się sadzi, aby wszyst-

kim kobietom głowy zawracać; gaduła, co nikomu nie daje gadać.

24.

Dlaczego (bogu dzięki) tak mało trupów w pojedynkach? — Dlatego, że nawzajem śmiercią do siebie mierzą.

25.

Wielka uczoność, głęboka mądrość, dopóki za skromnemi firankami, wszyscy im, jak przed cudownym obrazem, bijemy czołem. Ale jak tylko z ołtarza zejdą, by nas napastować, to ja pierwszy przed innymi w nogi.

26.

Od złośliwego człowieka i od węża dlatego wszyscy uciekają, że oba mają żądła.

27.

Jakiego (choć żyję lat sześćdziesiąt) nie widziałem cudu? — Autora, coby się przekonał, że jego złe dzieła.

28.

Kto nigdy nikogo szalenie nie kochał, ten tylko siebie kochał. Brzydkato miłość!

29.

Kto komu, ile mógł dobrze czynił, wiele uczynił. Ale stokroć więcej jeszcze ten, co nigdy nikomu w niczem źle nie uczynił.

30.

Młodzi czy starzy, zarówno jesteśmy niemowlętami. Przytulamy się nieustannie do piersi przyszłości, z których nadzieję wysysamy.

31.

Dzieciństwo lata, młodość bieży, starość lezie, ale że ta każdy swój krok kijem doświadczenia naprzód obmaca, dlatego najmniej od nich błądzi.

32.

Nie lubię imion Modesta i Róży; bo jeśli, broń boże! syn nie modest, a córka nie róża: to nowy kłopot dla rodziców.

33.

Smucą mnie nietoperze, co w dzień spiąc, a w nocy tylko latając, nigdy nie widzą słońca, najcudowniejszego widoku.

34.

Szczęśliwy naród, co jest podobny do orkiestry, w której rząd kapelmajstrem, pilnuje tylko taktu i harmonii, aby wszyscy jednozgodnie grali wielką symfonię szczęścia swojego.

35.

Ile nadzwyczajnie lubię panienkę podobną do myszki, co za lada stuknieniem do nory zmyka, tyle nienawidzę młodzieńca, co myszki ma naturę.

36.

Do ogniska naszych żądań tyle tylko przykładajmy drewek, abyśmy się ogrzali: bo jak się w kominie zapali, to i cały dom spalić się może.

37.

Dym i pycha muszą być bliźnięta. Oboje się równie pną do góry, i oboje w powietrzu znikają.

38.

Pomiarkuj się dobrze z swoim dowcipem. Jeżeli nie masz dosyć w nim szmermelów dla dawania ciągle pięknych fajerwerków, to lepiej ich i nie zaczynaj.

39.

Dziwne też są uprzedzenia ludzkie! czy nazwiesz fanfarona błaznem, czy błazna fanfaronem, oba się będą gniewać.

40.

Są zdarzenia, w których większą łaskę robi ten, co ją przyjmuje, niżeli ten, co ją czyni.

41.

Ziemia jest wielkim teatrem, ludzie aktorami, życie nasze sceną, na której największą popełniamy niesprawiedliwość: bo obsypując oklaskami dobrze udających, a wygwizdując źle udających, dajem zachętę do najdoskonalszego udawania.

42.

Kto jest największym zdrajcą tajemnic naszego serca i sumienia? — Czas!

43.

Bóg tylko jeden mógł te słowa do ludzi powiedzieć: że lepiej stu winnym przebaczyć, niżeli jednego niewinnego potępić.

44.

Nie wierzgaj tylko, a nigdy nikogo nie uderzysz.

45.

Na rozsądku, jak na skale śmiało największy gmach stawiaj. Gdy go rozumem przyozdobisz, a dowcipem uiluminujesz, nie będzie nic piękniejszego.

46.

Pierwsze słowo puszczone, złe czy dobre, fałszywe czy sprawiedliwe, lecz stanowiące sąd o ludziach, jest kamykiem rzuconym na spokojną wodę, która co raz większem kołem się porusza, aż do swoich brzegów. Ostrożnie więc z pierwszem słowem.

47.

Kiedy nie umiesz dobrze wymierzyć do celu, na próżno i nie strzelaj.

48.

Dobrze kaznodzieja Gaudenty powiedział: że ludzie podobni do gruszek. Jedne są jak dziczki, kwaśne i cierpkie, drugie jak bery, soczyste i słodkie, a trzecie zgniłki.

49.

Biada tym! co światłem błyskawicy chcą tylko zabłysnąć. Ja nad nich przenoszę łojową świeczkę, bo najmniej sześć godzin palić się może.

50.

Ach! gdyby ojcowie i matki byli takiemi jak swe syny i córki nauczają, i gdyby dzieci ich słuchały, cobyto były za pokolenia!

51.

Jeśli twój rozum jeździ na szkapie, na miłość boga nie skacz, bo możesz kark skręcić.

52.

Bardzo dobrze często radzą, co według swych rad nie żyją. Ty słuchaj ich rad, a nie naśladuj życia.

53.

Nie gadaj nadto wiele, a będziesz więcej dobrze mówił.

54.

W wielkiej fabryce fałszywej opinii przez to najwięcej robotników, że każdy nad tem pracuje, aby siebie podnosił, a drugich zniżał.

55.

Że bez porównania teraz więcej źle widzących, dowodzi mnóstwo okularów na nosach.

56.

Nie pamiętam dobrze, jak mówi przysłowie, czy: Co głowa to rozum; czy: Co głowa, to jakieś głupstwo.

57.

Najmniejszym i najśmieszniejszym karłem jest ten, co nie urosłszy ani na piędź w zasługi, mieni się być w nich olbrzymem.

58.

Rewolucia jest wielkiem polowaniem na wielkiego żwierza, w którem najlepsi nawet strzelcy chybiają.

59.

Największym skarbem człowieka jest poczciwość. Pilnujże go dobrze: bo pierwsza nieuczciwość na zawsze cię pozbawić go może.

60.

Młody! nie bądź starcem. Stary! nie udawaj młodego, a nie będziesz nigdy wyśmianym.

61.

Zdrada jest złym towarem, bo go nawet za bezcen odprzedać nie można.

62.

Zawiść i podejrzliwość są trucizny, które częściej zabijają trującego, niż trutego.

63.

Niezmiernie mnie żal próżności, że się dmie: bo ją wszyscy uważają za bańkę z mydła.

64.

Nikomu nie wierzyć, bardzo smutno. Być zdradzonym, niezmiernie bolesno. Ale zdradzić kogo, nad to już nie masz nic okropniejszego.

65.

Kto w pokoleniach żyć nie chciał, szkoda że żył.

66.

Zwykle kobiety uważamy jak kwiaty, naturalne przenosząc nad artyficialne.

67.

Bazyliszkiem zabijającym zdradę, jest spojrzenie na nią czystego sumienia.

68.

Najobrzydliwszem monstrum, najzjadliwszą gadziną jest człowiek, co się żywi odbieraniem sławy i szczęścia drugim.

69.

O czem ludzie najwięcej mówią? O ludziach! O czem najwięcej źle? O ludziach! O czem jak najwięcej dobrze? O sobie! Kogoż najwięcej lubią? Tych co im kadzą! Kogoż nie lubią? Tych co im prawdy mówią! Wolę więc milczące mrówki, co zawsze w zgodzie wszystkie na wszystko pracują.

70.

Śmiesznyto ptak indyk! puszy się, dmie się, podskakuje, straszy, a podlecieć nie może. Istnyto obraz imponującego człowieka.

71.

Pewnie dlatego lubimy wszyscy światło xiężyca, że nas ni ćmi, ni piecze.

72.

Egoizm a ostryga wszystkoto jedno. Może w sobie żyją, ale my nie wiemy że żyją.

73.

Pieniądze nie mają stałej wartości, bo czasem grosz co go daje ubogi, wart miliony.

74.

Wysoko bujającego w powietrzu gołębia łatwiej jastrząb zabija, niżeli wróbla trzymającego się swojej nizkiej strzechy.

75.

Przez to trudno schwycić szczęście, że lata, i jak rybołówka przed nami się wywija.

76.

Lubimy strumyk, że czysty; lubimy spławną rzekę, że wspaniale płynie; dziwim się morzu, że prawie nie ma brzegów: ale odwracamy oczy od kałuży, że brudna.

77.

Powiedz kłamcowi że kłamie, to on ci pewnie odpowie że kłamiesz. Powiedz tylko próżnemu że próżny, a zobaczysz, jak on ci głęboko potajemnie sztylet w serce wsadzi.

78.

Nim rzucisz się w bystrą rzekę, aby ją przepłynąć, pomiarkuj się wprzódy z twojemi siłami. Płynąc przeciw wodzie, można utonąć; płynąc z wodą, można być daleko uniesionym: lepiej więc zostać na lądzie.

79.

Lękam się, abyśmy wszyscy wkrótce nie poślepli w Europie, gdyż ciągle i co raz więcej wszystkie okna są oświecone.

80.

Według mnie ten jest najdoskonalszym rachmistrzem, co umie rzetelnie i bez pomyłek obliczać swoje serce, rozum, zdolności i sumienie.

81.

Gdyby mi był bóg nie odebrał syna, szeptałbym mu nieustannie do ucha:

Szanuj wiarę, w której się urodziłeś.
Kochaj ziemię, która jest twoją ojczyzną.
Strzeż honoru w równi z twojem życiem.

Pracuj ciągle na sławę, a ją pozyskasz.

Nic nie udawaj, a wszyscy w tobie ufność położą.

Cofaj się od najmniejszego wykroczenia, a nie dojdziesz nigdy występku.

Im więcej zyskujesz pochwał, tem więcej bądź skromnym.

Nie rozrzucaj na próżno majątku, bo on jest równie własnością twoją, jak biednych i ojczyzny.

Każdego przywodź do zgody, a nikogo do niezgody.

Trzymaj się we wszystkiem środka, bo w nim szczęście. Jestto tajemnica, o której wielcy bogacze i monarchowie jak w rogu!

Sług i włościan zawsze tylko uważaj za twoje dzieci, a będą cię kochać jak ojca.

Myśl długo, nim pojmiesz żonę; ale pojąwszy przykuj ją do siebie sercem, delikatnością i rozsądkiem, aby się stała nieoddzielną równie twoich strapień i kłopotów, jak przyjemności i szczęścia.

Jeśli jesteś surowym sędzią samego siebie, będziesz dla drugich sprawiedliwym, a zupełnie spokojnym na złe sądy o tobie.

Sam się śmiej ile chcesz, ale ostrożnie śmiesz i śmiej się z drugich, abyś nikogo nie obraził.

Nie baw się nieustannem stawianiem sideł, bo nie będziesz miał czasu dostrzedz zastawianych na ciebie, a nadto złato zabawka.

Przez pracę dójdziesz do wszelkiego dobra; przez próżnowanie do wszelkiego złego.

Chcesz aby twój rozum lub dowcip, wymowę lub talenta ludzie wznosili? Nie popisuj się z niemi bez potrzeby.

Jeśli koniecznie chcesz być ptakiem, abyś wyżej latał; nie bądźże przynajmniej drapieżnym, ani też dudkiem lub gawronem.

Gdybyś przez piękne nieszczęścia został kiedy żebrakiem, przyjmuj skromną jałmużnę od tych jedynie, co się wstydzą, gdy ją dają.

Nim przylgniesz do kogo sercem i duszą, zjedz z nim wprzódy najmniej pół korca soli.

Nie dawaj (nad twoją sferę) żadnych festynów, bo cię dziś objedzą i opiją, a nazajutrz ogadają.

Z niczem nie bądź ostrożniejszym, jak z dawaniem słowa honoru, i wymówieniem najmniejszej obelgi.

Nie będziesz przed samym sobą często się rumienił, jeśli nie będziesz popędliwym.

Pókiś młody, jak czujny żołnierz stój na straży przed twojem sercem, by nikt do niego nie wszedł, co wejść nie powinien.

Bądź wstrzemięźliwym, bo w każdej roskoszy jest trochę trucizny.

Chociaż ja lubię bociany, ty nie bądź bocianem; bo nie wyłapiesz wszystkich żab i gadów na naszej ziemi.

Graj tylko w takt, a w takt będziem tańcować.

Pal się do sławy, ale pamiętaj że i szewc, co spalił kościół Diany, został sławny.

Z zawistnym i podejrzliwym nie zawieraj wiecznego przymierza; bo on za lada chwilę wyda ci wojnę.

Nie myśl, że nie ma nic doskonalszego nad ciebie: dziś ludzie zaledwie w boga wierzą.

Chcesz być sławnym rycerzem, bierz wzory odwagi z marnotrawców i szulerów, którzy zawsze więcej rezykują, niż powinni.

Gdy zostaniesz ojcem, daj i zostaw to tylko dzieciom, co my dać i zostawić tobie chcieli.

Naostatek staraj się tak żyć, abyś mógł spokojnie umrzeć, a po śmierci nie umarł.

LUDGARDA.

Tragedia oryginalna

w pięciu aktach

przez

LUDWIKA KROPIŃSKIEGO.

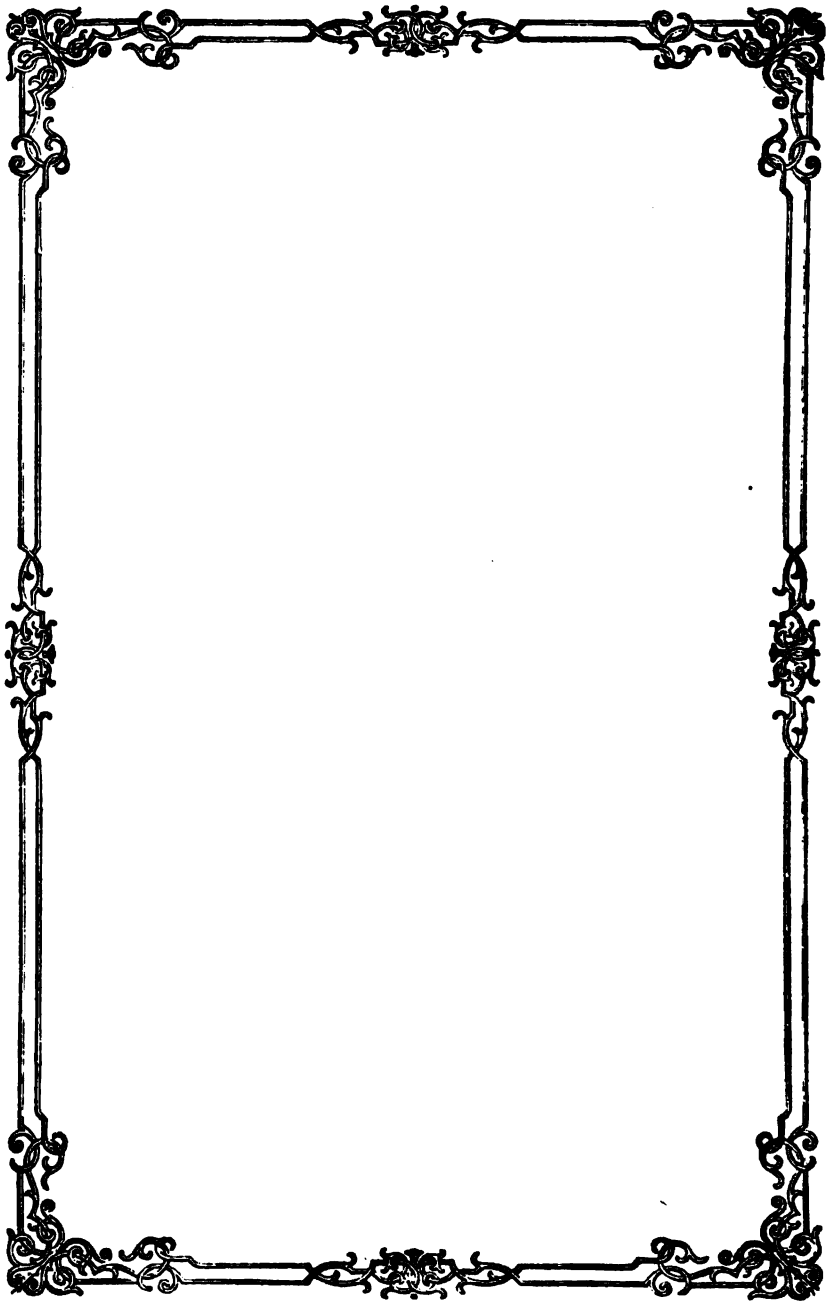

Przedmowa wydawcy.

Ludgarda, tragedia oryginalna, napisana przez Ludwika Kropińskiego, od lat kilkunastu ciągle wystawiana na wszystkich teatrach polskich, a zawsze przyjmowana z oklaskami i z największym zapałem, znaną już jest publiczności. Sztuka ta, pomimo małoznaczących krytyk, została prawie powszechnie uznaną za wzorową. Tysiące jej mylnych i pokaleczonych w przepisywaniu egzemplarzów, w wielu rękach się znajduje. Pan Malisch, płynnym wierszem przetłumaczył ją na niemiecki język, równie z mylnego egzemplarza. Wiadomo jak pochlebne wydał zdanie o tragedii Ludgardzie nieśmiertelny Göthe, kiedy mu ją tłumaczono.

Gdy jeszcze na początku roku 1830 prawdziwy egzemplarz Ludgardy przez autora poprawiony mi się dostał, przeto spodziewam się, że uczynię publiczności przysługę wydając na świat dzieło wsławionego już tyle poety.

Przemowa autora, listy do tegoż niektórych osób o pierwszych reprezentaciach Ludgardy, i list tegoż do R. B. wierszem napisany, które tu umieszczamy, najlepiej dowiodą, jakie skutki sprawiła na teatrze warszawskim Ludgarda, i jakie o niej były sądy. Winniśmy jeszcze i to dodać, iż egzemplarz, który posiadamy, jest wielce różnym od tego, z którego raz pierwszy w Warszawie, a następnie po innych teatrach Ludgardę wystawiano, oraz od tego, który r. 1841 w Poznaniu nakładem Edwarda hr. Raczyńskiego drukiem ogłoszony został.

Przemowa autora.

Długosz a za nim Bielski, Naruszewicz i Albertrandy, wszyscy się prawie na jedno zgadzają, że Przemysław xiąże wielkopolski, pożniej król polski, pierwszą swoję żonę Lukierdę, Ludgardę, podług jednych córkę Mikołaja xiążęcia kaszubskiego, podług drugich Henryka xięcia windawskiego, z powodu jej niepłodności, przez swe służalce i jej służebnice nielitościwie zamordować kazał; i że tę jego zbrodnię publicznie na teatrach w smutnych pieśniach ogłaszało pospólstwo, a w których nieszczęśliwa Ludgarda błaga męża, aby jej życia nie odbierał, i choć w jednej koszuli do ojca odesłał. Pożniej tenże Przemysław pojął za żonę Ryxę córkę króla szwedzkiego Waldemara I.

Gdy nie mogłem, a może i nie umiałem z tych materiałów historycznej utworzyć tragedii, któraby dzielny skutek na widzach i czytelnikach sprawić mogła, zmuszony więc byłem do małego zawiązku historycznego, pożyczywszy z dziejów owoczesnych imion Przemysława, Ludgardy, Henryka, Waldemara i innych, ułożyć taką, jaką z pierwszego wylania scenie narodowej powierzyłem w tym celu, abym z wrażeń, jakieby ona na publiczności sprawiła, mógł z pewnością się przekonać, co w niej zmienić lub poprawić należy.

Po pierwszych wystawieniach Ludgardy na teatrze warszawskim w dniach 21 i 22 kwietnia roku 1816, która

z największym zapałem i oklaskami przyjętą została, w krótce wysypało się mnóstwo różnorodnych i sprzecznych zdań, pochwał i krytyk. Jedni może zanadto tę sztukę chwalili, drudzy za surowo, a niektórzy i bez rozsądku o niej sądzili. Każdy nad czem innem w niej się unosił, innej odmiany żądał.

Najmniej ufając mojemu talentowi, nadstawiałem ucha, równie na pochwały, jak i nagany. Wszystkie krytyki w pokorze i głębokiem milczeniu czytałem i odczytywałem, ale szczerze się przyznaję, iż to był dla mnie język wieży babilońskiej. Każdy o co innego na autora wołał, innej poprawy wymagał, innych rad udzielał, inne plany podawał, co dla mnie było powodem (pomimo mego całego respektu dla krytyków) iż nie śmiejąc żadnej ruszyć ściany, aby się cała nie obaliła budowa, te tylko w niej poczyniłem odmiany i poprawy, jakie nieodzownemi być mi się zdały. Jeżeli więc z kości przeszłych krytyków powstaną nowi mściciele, żem ich rad nie usłuchał, tłumaczenie się im moje wcześnie tu umieszczam: że chciałem lepiej, lecz nie umiałem.

List J. U. Niemcewicza do autora.

Żałuj Ludwiku Kropiński, żeś w 21 tego miesiąca nie był w Warszawie: widziałbyś był całą publiczność tutejszą cisnącą się hurmem na scenę narodową niecierpliwą podniesienia zasłony, a gdy ją podniesiono, słuchającą w największem milczeniu, nie tracącą wiersza jednego, co więcej umiejącą je cenić, poklaskującą i wiersze i sytuacie z prawdziwem uniesieniem, całą nakoniec sztukę przyjmującą z największą radością. Pytano o autora, klaskano, wołano by nazajutrz taż sama Ludgarda powtórzoną była. Jakoż te wszystkie oklaski sprawiedliwie należały się autorowi; bo jeśli Ludgarda dziwnie jest piękną w czytaniu, nierównie jeszcze piękniejszą w reprezentacii. Aktorowie nadzwyczaj wysadzali się w graniu ról swych, wielu grało wybornie, wszyscy dobrze: Pięknowska nawet grająca Ryxę miała śliczne momenta. Damy nasze zatrudniały się strojami, te były pyszne równie jak i dekoracie. Słowem powinieneś być kontent i przynajmniej przez lat 25 nie mieć splinu i jednego kwadransu. Ja jako Polak, cieszący się z tego wszystkiego co sławę czyni narodowi memu, dziękuję ci za to piękne dzieło, a jak stary upominam, abyś je jak najprędzej drukował, równie jak i romans swój i inne dzieła, nadto byś zaraz na warstat twój nawinął pasmo drugiej tragedii; komu się tak dobrze Ludgarda udała, nie powinien ustawać.

List J. Tarnowskiego do tegoż.

Kazałeś mi donieść sobie o skutku, jaki Ludgarda sprawiła na widzach i słuchaczach; gdybym chciał być wiernym w opisywaniu, musiałbym przetłumaczyć ten pyszny obraz, jaki w romansie swoim Panny la Faiette (zapewne dobrze ci znajomym) umieściła pani de Genlis pierwszego wystawienia Cyda na scenie francuskiej. Od początku aż do końca, nie poklaski, tak często spodlone i tak już pospolite, lecz to powszechne i głębokie się uciszenie dowodziło pilnej i natężonej słuchaczów uwagi, i najtkliwszego się zajęcia. Nie sentencie, nie piękne wiersze tylko, nie wspomnienia Polski, lecz sytuacie same, piękności sztuki, gra aktorów, głośne i powtarzane (podobno raz pierwszy) ściągnęły oklaski: trudno ci oddać, i powiem nawet nie podobna, skutku aktu drugiego a szczególniej tej sceny, kiedy Ludgarda usłyszała wyznanie Przemysława:

W Ryxie mając kochankę mieć będę i żonę.

Leduchowska przewyższyła nasze oczekiwanie, a słuchacze zdali się zatrzymywać tchnienie, żeby nie stracić i jednej sylaby, jednego poruszenia Ludgardy. Jak Polak jestem dumny z tej sztuki, jak twój przyjaciel dzielę tryumf tak sprawiedliwie odniesiony, lecz nie tylko odniesionym cieszyć się powinieneś, udzielasz go nawet i drugim. Pięknowska, o której zdatności tak długo powątpiewano, okazała ją w wysokim stopniu w roli Ryxy, grała ją z godnością, oddawała się uniesieniom, zbliżała się niekiedy i przypominała pannę Georges starszą, a może zrównała młodszej; tak twojem przeznaczeniem nie tylko dać poznać pierwszy raz prawdziwą tragedię Polakom, lecz wydobyć talent nieznany i o którym powątpiewano, może nie mogący

dosięgnąć uniesień wściekłości zbliżających się do Hermiony, lub złorzeczeń Kamilli, lecz czujący dumny, gwałtowny charakter Ryxy, nie mogącej zwalczyć miłości, choć się jej opiera. Powtórzono twoję Ludgardę, a lepiej powiem naszę (bo już się stała chlubą narodową) dzień po dzień, co ile pamiętam na naszym teatrze, żadnej sztuki nie spotkało, a loże i parter były zawsze napełnione. Drugi raz lepiej jeszcze grano, lepiej przejęto się sztuką, co wróżyć każe o postępach aktorów. Nie wspominam zalet sztuki, ani przedsiębiorę jej rozbioru, ostatniego między ixami podjął się T. M. i pewnie godnie dopełni; nie powinienem ci jednak zataić, iż powtarzane wyrzuty Przemysławowi przez Ryxę, Henryka, Nałęcza, spóźniając rozwiązanie ostudzają niejako widzów, to jest, co mi się najwięcej między nimi słyszeć i postrzegać zdawało. Ubiorami szczęśliwie zajęła się pani Z. tak dalece, że Ludgarda, a szczególniej też Przemysław, zdawało się iż powstali z tego wieku, jakie zwykle na grobowcach XII. i XIII. wieku zdarza nam się postrzegać, osobliwie głowa, włosy i popiersie Przemysława za wzór w tym rodzaju służyć powinny. Nie tak pomyślnie w akcie piątym wystawa zewnętrzna zamku poznańskiego naśladowaną była, nie na czas miasto oświecono, choć Ludgarda wspomina o światłach weselnych, przecie ciemności panowały, senat nie liczny i nie dość suto przybrany postępował za Nałęczem: mimo jednak tych uchybień, Ludgarda wszystkich zajęła, zajmuje, zajmować nie przestanie, póki scena polska i język trwać będą. Lecz podobne płody nie dopuszczą ich upadku, a jeśli, jak każda rzecz ludzka, musi mieć swój koniec, niech literatura polska wydawszy podobne Ludgardzie sztuki, spocznie kiedyś podobnie, jak dziś spoczywa literatura francuska itd.

List Aloizego Felińskiego do tegoż.

Ludgarda po wielu przewłokach wczoraj była graną i będzie dzisiaj. Tryumf, tryumf zupełny odniósłeś. Długie i częste klaskania dawały się zewsząd słyszeć, wołano autora, a nadewszystko słuchano z taką ciągłą uwagą i z takiem uciszeniem, jakich nigdy na parterze naszym nie bywało. Ledwie nie można powiedzieć, że aktorowie nasi byli godni grać, a śmiało można powiedzieć, że publiczność godną była słuchać Ludgardy. Aż do łez byłem poruszony, widząc, że oddano ci całą sprawiedliwość.

Nie wątpiłem o naszej pierwszej aktorce i pierwszych aktorach, ale nad moje spodziewanie Pięknowską tak wymusztrował Osiński, że grała wcale dobrze; Werowski Sambora, a Wolski Eridsona grali miernie; sam D. Zaręby rolę grał źle, może się dziś poprawią. Nic to jednak i wczoraj nie zmniejszyło (ogólnie mówiąc) dobrego skutku całej sztuki.

Pierwszy akt zwrócił uwagę widzów, pokazanie się Ludgardy niezmiernie zajęło wszystkich. Zdawało mi się jednak w tym akcie niektóre miejsca postrzegać, których skrócenia mogłyby pomnożyć jego skutek.

Z jaką niecierpliwością czekałem drugiej połowy drugiego aktu! Ta to niecierpliwość może była przyczyną, że mowa Eridsona choć piękna zdała mi się za długą. Przyszedł nakoniec ten szereg scen przedziwnych. Leduchowska grała tak dobrze jak w Makbecie; Pięknowska nawet wymówiła dość dobrze »i ja Przemysława" nie dość mocno tylko »wiarołomco!" Cały ciąg tych sytuacij z nieprzerwanemi poklaskami przyjęła publiczność. Zdawało mi się, że autor w każdego spektatora wlał duszę.

Lecz że koniec drugiego aktu sprawił skutek jaki powinien, o tem nigdyśmy nie wątpili. Alem się lękał, przyznam się tobie, aby to samo jego tak dobre przyjęcie, nie przyczyniło się do ostudzenia początku aktu trzeciego. Jednak najszczerzej ci powiadam, że wcale tego nie postrzegłem, i to mnie najwięcej ucieszyło. Interes coraz wzmagający się do Ludgardy, utrzymał ten akt aż do końca.

Przybycie Henryka (którego grał wybornie Kudlicz) i pomnożone niebezpieczeństwa, nie dały osłabnąć aktowi czwartemu.

W akcie ostatnim rzeczy ważne dobrze były wydane, i sprawiły skutek. O niektórych drobnych uchybieniach aktorów i machinistów mówiłem Osińskiemu, i dzisiaj zapewne nie będą powtórzone. Strojami wiesz że sama X. W. i Z. zajmowały się, i te podobały się powszechnie. Widok Poznania w głębi teatru wystawiony, był dosyć piękny, i powiadają że podobny.

T. M. wziął na siebie rozbiór twej sztuki, i bardzo ciekawy jestem co powie. Ja ci się przyznaję, że w wystawieniu jeszcze mi się lepiej podobała. Byłem właśnie niedawno na reprezentacii Alzyry. Tylą niepodobieństwami do prawdy nigdy nie byłem tak oburzony, czytając jak patrząc. Zdała mi się Alzyra podobną do tych domów berdyczowskich, które nie mają prawie zasad, ściany mają z chrustu i słomy, ale wszystko nakoniec pięknie otrynkowane i zagładzone gipsem. Piękne wiersze wszystko mogą osłonić, ale czyż mogą na długo utrzymać? Zdrowy rozsądek principium est et fons!

Pięknych nawet wierszów twoich aktorowie nie pokaleczyli. Czasem tylko bywało sławę, zamiast chwałę, chociaż na końcu wiersza, czasem kilka sylab przydanych lub ujętych. Lecz oburzył mnie Szymanowski, kiedy powie-

dział: »Bóg w gniewie swoim dla klęsk ludu zamknął twoje łono" wiersz ów sławny »chcę, aby przenosiła sława. — Z pokoleń do pokoleń imię Przemysława" i wszystkie prawie najpiękniejsze były wśród oklasków powtarzane.

Byłem na objedzie u P. Z. Ludgarda była jedynym rozmowy celem. X. Radziwiłowa z Nieborowa wyraźnie mi zleciła ci donieść, że się niezmiernie cieszy z tak szczęśliwego powodzenia.

Leduchowska, która zamiast mówienia całego monologu w głębi teatru, występuje na przód sceny, więcej może szkodzi, ale dzisiaj może się poprawi. Idę właśnie na drugie wystawienie twej sztuki, i wiernie ci za powrotem o wszystkiem doniosę.

Powracam. Tenże sam był nacisk ludzi jak wczoraj; częstsze jeszcze i dłuższe poklaski. Jakoż w samej rzeczy druga połowa drugiego aktu była jeszcze lepiej wydaną. Aktorowie znacznie się poprawili, żadnego wiersza nie skaleczono. Sam tylko D. zawsze jednostajny jak żak powiedział: królowa nie żyje i dalej recytował opowiadanie jej śmierci. Wszyscy to czuli, i wszyscy przyznali znanej niezgrabności aktora, a sztuka na tem nie straciła. Leduchowska mniej wychodziła na przód sceny. Po zapuszczeniu zasłony oklaski trwały z dziesięć minut, to jest do póty, póki aktor obwieszczający następną komedię nie pokazał się. Ludgarda tedy zostanie na zawsze na teatrze polskim, i zawsze będzie jego ozdobą.

Szymanowski bardzo źle powiedział w piątym akcie: stało się, ale się obiecał poprawić.

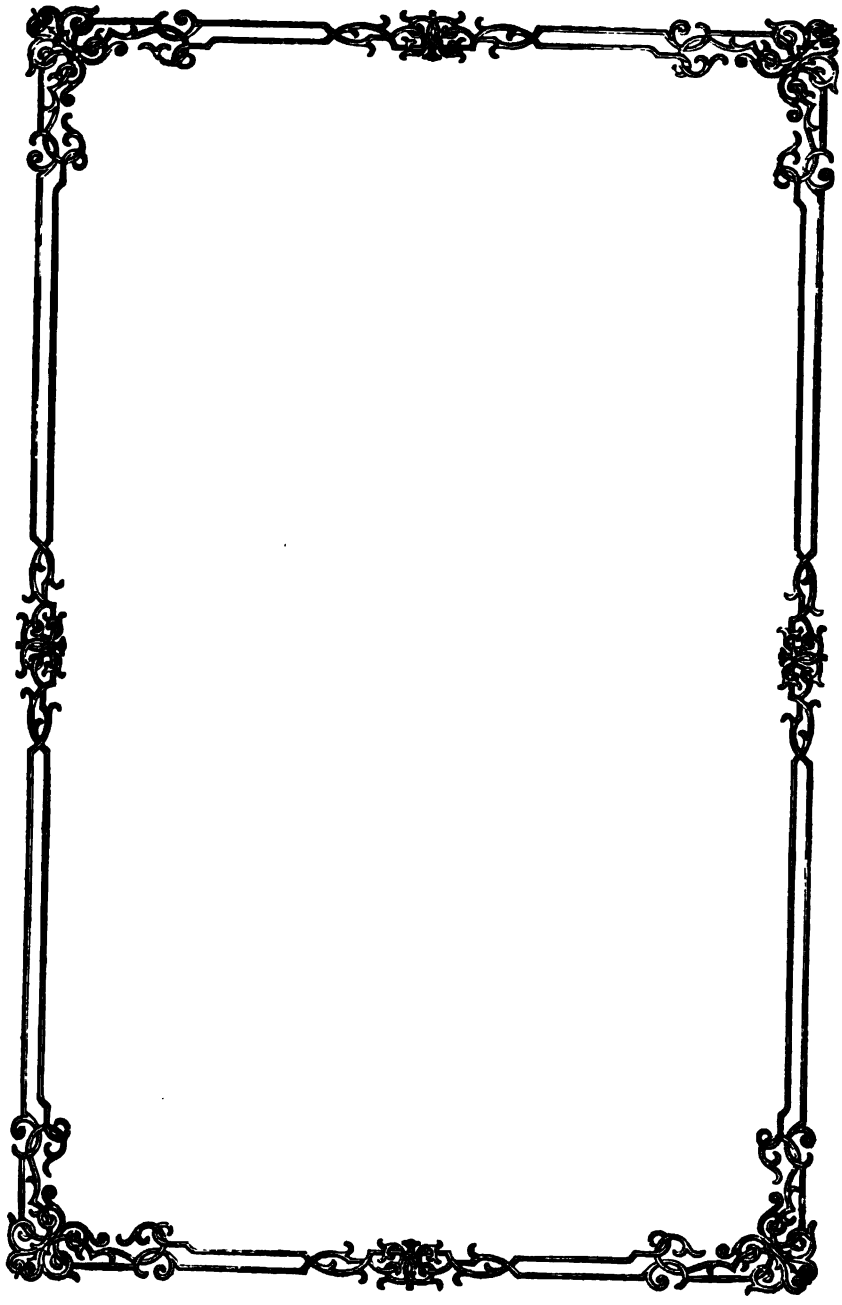

LIST

DO ROMUALDA BYSTREGO.

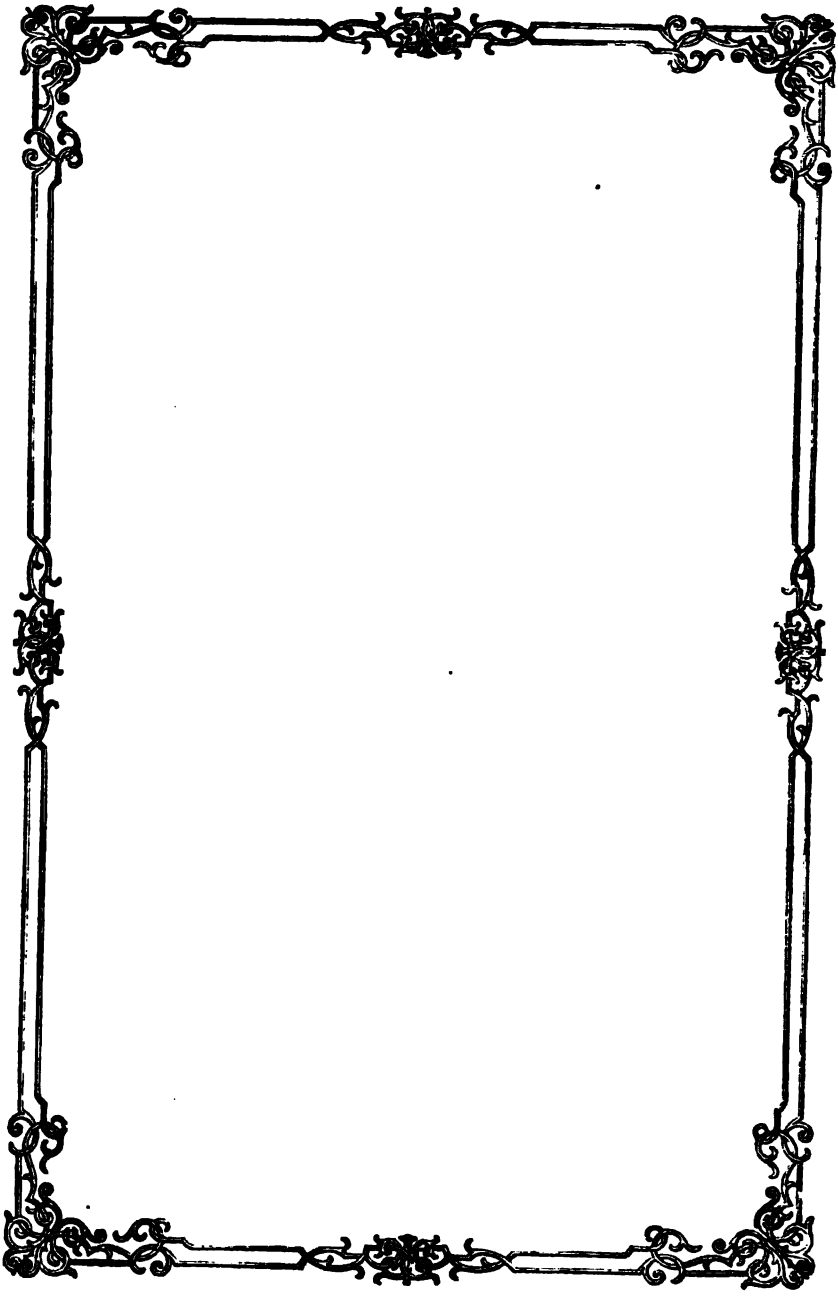

List.

Do Romualda Bystrego.

Na próżno przyjacielu — próżno — nadaremnie
Do dalszego pisania wzbudzasz chętkę we mnie.
Mylisz się, jeśli sądzisz, mylisz się szalenie,
Że serek z dzióbka puszczę, jak kruk w Lafontenie.
Nic już z tego nie będzie, zbyt długo, niestety!
Nadskakiwałem muzom o tytuł poety.
Pieśnie, powieście, bajki, satyry i ody
I sztuki rymotworcze, dziwotworstwa płody,
Te nieśmiertelnej chwały mniemane nadzieje,
Wszystko już w ogniu płonie, ja się przy nich grzeję.
Właśnie gdy mi winszujesz, że w naszej Warszawie
Ludgarda łzy wyciska na każdej wystawie;
Mój panie! już mnie stare nauczyły lata,
Że łzy nawet są inne u wielkiego świata.
Ja co się przed nim kryję, i w małej wioseczce
Siedzę spokojnie, jakby Diogenes w beczce,
Tysiącem się oklasków ni cieszę, ni smucę,
Bo kto wie, czy je dają aktorce, lub sztuce.
Ileż po pamiętnikach narobiono wrzawy
O większość albo mniejszość biednej mojej sławy!
Tu mnie strzygą, tam golą; tu żarcik, tam przytyk,
Na jednego autora sto tysięcy krytyk.

Przyszło w końcu do wojny; o co? o te słowa:
Czy Ludgarda wzorowa, albo niewzorowa.
Sokolnicki w niej widząc obrazę ojczyzny,
(Choć patrzał na me dla niej i czyny i blizny)
Bez litości mnie płata; Kożuchowski broni,
Siekierzyński mnie trąca, gdy za tamtym goni;
Pan J. K. za wszystkimi, jak rycerz nie zbacza,
Zuchwałych karze śmiercią, pokornym przebacza.
Ja pokorny; on przecież bezstronny, czy srogi,
Wszelkiej do Melpomeny zabrania mi drogi.
Każdy mnie wśród zdań sprzecznych pochwalił i zaciął;
Każdy akt miał przyjaciół i swych nieprzyjaciół.
Pan M. (może swych córek widział w tem zgorszenie)
Nie chce bez guwernantki mieć Ryxy na scenie.
Pan T. co zawsze mądrze czy pisze, czy maże,
Dzwonom dzwonić nie daje, światła gasić każe.
A ixy chociaż byłem członków bractwa tego
Przyjacielem i sługą, co więcej kolegą,
Zdaniem ni tem ni owem (Panie daj im niebo!)
Zachować neutralność uznali potrzebą.
Jam milczał (niechaj będzie najwyższemu chwała!)
Może przez to żem milczał, i wojna ustała.
Bodajto Romualdzie nasze do nas listy!
Że są dobre aż nadto dowód oczywisty.
W nich myśli, jak motylki igrają swobodnie,
Krytyk nosa nie wściubi, zawiść nie ubodnie;
W nich, gdy dowcipne głupstwa strumieniem się leją,
I sami się uśmiejem i drudzy uśmieją.
Słowem, choć się wydaje głupstwo przy rozumie,
Jak nędza przy bogactwach, pokora przy dumie:
Wolę głupstwo; bo głupstwo bogate czy gołe,
Głodne czy syte, zawsze zdrowe i wesołe.

A że nawet uznała sama medycyna,
Że wesołość jest zdrowsza a niżeli china,
Znowu więc wolę głupstwo; będąc jednak w trwodze
Czy nie słaby to wniosek, tak jeszcze dowodzę:
Rozum jakby senator, zawsze dumny trocha,
Podobien egoiście siebie tylko kocha,
Nudzi się (bo sam często) a to z tego względu,
Że rzadko spotka równych w powadze urzędu.
Idźmy dalej. Widziałżeś kiedy kogo z ludzi
By był zdrów, gdy sam żyje, i ciągle się nudzi?
Azatem bardzo słusznie twierdzi medycyna:
Że wesołość jest zdrowsza a niżeli china.
Lecz bym długo o jednej nie rozprawiał rzeczy,
Dobiję zdaniem wieków, a ktoż mi zaprzeczy?
Rad głupi że oszalał! Samo to przysłowie
Głupstwu przyznaje rozum, bo radość i zdrowie.
Jak dwa a dwa są cztery, jak widno jest we dnie,
Dowiodłem, że najmądrzej pisać tylko brednie.
Wiedz jednak że tych bredni rodzajów jest wiele;
Ja one, jak ty wina, na gatunki dzielę.
W tem się kwasek przebija, to się burzy, mąci,
Tamto nudno słodkawe, nasze myszką trąci.
Nasze, zdrowe na humor, jak i na żołądek,
Zarywa owych czasów, gdy lepszy porządek
Był w piwnicach, niż w kraju, ale mniejsza o to,
Minął już wiek żelazny co nam sypał złoto,
A w których jakby karczmy (za naddziadów wzorem)
Wszyscy serca i domy trzymali otworem.
Oj przyjaźń i wesołość, jestto nektar drogi,
Który pijem, ilekroć wstąpim w wasze progi!
Wszystkie twarze wesołe, wszyscyście nam radzi:
Żona dobra się zwija, na przyjęcie sadzi,

Córka gra, spiewa, tańczy i serca kaleczy.
Nie tak moje pędraki; co dzień któreś beczy,
Albo brzdęknie o ziemię, lub stolik wywróci,
Lub szybę stłucze, co mnie kosztuje i smuci.
Bo ty wiesz (a jak na złość nam się często zdarza)
Coto za jedną taflą posyłać po szklarza.

Lecz i na moje żabki (mam w bogu nadzieję)
Kiedyś on jak na matkę swe dary rozleje:
I że, nim łódka po mnie Charona przypłynie,
Ujrzę w nich dobre żony, matki, gospodynie.
Spieszcie się jednak dzieci cnotami swojemi
Ulżyć cierpieniom których doznaję na ziemi.
Już me życie na włosku, nim przyjdzie godzina,
Niech go przynajmniej własne dziecię nie przecina.
Hola! coż mi się stało! zamiast zwykłych bredni,
Klepać widzę zacząłem mój pacierz powszedni.
Przepraszam; i już odtąd, luby przyjacielu
Prosto jak z Giebenhana wypalę do celu.

Pamiętasz jak się śmiałeś, gdym pisał do ciebie,
To o nowym komecie błądzącym po niebie,
Na który astronomy wszystkie noce tracą
Wytrzeszczając swe oczy, a pan bóg wie na co;
To o cnym Kanarysie *) co »na wieki wieków
Wzór miłości ojczyzny podając dla Greków,
Którego czas ni zawiść z pamięci nie zetrze"
Raz wraz brodate basze wyrzuca w powietrze.
To o haraczu królów, który Dej w Algierze
Bierze by nie rozbijał, rozbija a bierze.

*) Kanarys sławny bohatyr grecki, który się poświęcał na spalenie floty tureckiej.

To o pewnych wizytkach, co dzionek nam trwonią,
Co tylko za obiadkiem lub nowinką gonią;
Co . . . . ale przebóg! znowu jakiś koczyk jedzie,
I xiądz widzę po kweście; my już po obiedzie.
Na ten głos »goście jadą!" zawierucha w domu,
Chcę wydawać rozkazy, dać ich nie ma komu;
Lokaj pobiegł z fuzyjką, szafarka po grzyby,
Chłopiec wróble wydziera, kucharz łapie ryby,
A tu żyd o pszenicę nudzić nie przestaje,
Ja chcę po złotych dziesięć, on mi po sześć daje.
Niech licho weźmie wszystko! co po życiu takiem,
W którem przyjemność rzadka, i ta lizie rakiem,
Dziękuję za tych gości i xiędza żebraka,
Co przyjeżdżają wtedy, gdy mam uciąć szpaka.
Świat mi się już uprzykrzył; nie cierpię tej ziemi —
Gdyby przynajmniej zawsze z przyjaciołmi swemi!
Gdyby choć trocha więcej zdrowia i pieniędzy,
Możebym jeszcze lubił ten padolik nędzy.
Ale bądź zdrów! uciekam! już szturmak na grzbiecie,
Wyją przy mnie ogary, już wychodzą siecie;
Już w komarowskie *) lasy ruszam z całą zgrają
Szukać śmierci od dzików, co straszne kły mają.
Gdy zginę — tkliwym głosem zanuć proszę ciebie:
Requiescat in pace na moim pogrzebie.

*) Majątek autora w powiecie łuckim na Wołyniu.

Do Z.. Z..

Zasłużonych pochwał syta
Przebacz Polko znamienita;
Że uniesiony poety zapałem,
Chcąc, by na polskiej scenie
Ludgarda większe sprawiła wrażenie,
Bez twej wiedzy dać jej śmiałem
Wszystkie płci pięknej przymioty,
Twe wdzięki, dobroć i cnoty.

Autor.

LUDGARDA.

TRAGEDIA W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

PRZEMYSŁAW, król polski.
LUDGARDA, żona Przemysława.
RYXA, królewna szwedzka narzeczona Wacława króla czeskiego.
ERIDSON, poseł szwedzki.
NAŁĘCZ, pierwszy urzędnik polski.
SAMBOR, powiernik Przemysława.
ZARĘBA, dowódzca załogi miasta Poznania.
STRAŻ. SŁUŻBA KRÓLEWSKA.

Scena w Poznaniu na zamku królewskim.

AKT I.

SCENA I.

SAMBOR, ZARĘBA.

ZARĘBA.

Łaska króla, Samborze, którą nader cenię,
Co dzień trudniejszem czyni moje położenie.
Wierzaj mi; z ciężkim smutkiem i z niemałą trwogą
Dowództwo nad stolicy przyjąłem załogą.
Wszystko w niej wre niechęcią; jestem pewny prawie,
Że płonąca ku Ryxie miłość w Przemysławie
Którą ledwie nie każdy mieszkaniec Poznania,
Już nie skrycie jak wprzódy, lecz głośno nagania,
Będzie dwoch strasznych wojen dla kraju powodem,
A może najstraszniejszej, bo tronu z narodem.
Niestety! wyrzeczone z grożącym zapałem
Z ust nie jednych o królu te słowa słyszałem:
„Po toż on w dom swój szwedzką sprowadził królewnę
Narzeczoną Wacława a Ludgardy krewnę,
By w szalonym występnej miłości zapędzie,
Ni praw, ni wiary żonie nie mając na względzie,
Dwoch królów nam przyjaźnych zaufanie zdradzał,
I klęski niezliczone na swój lud sprowadzał?
Ta co mu nienawistną uczyniła żonę,
Niech idzie czeską dzielić z Wacławem koronę.

Tam jej pragną, tu celem powszechnej jest wzgardy,
Biada jej, jeśli miejsce chce zająć Ludgardy.»
Wpośród takich odgłosów, w takim rzeczy stanie,
Muszę króla, lub kraju stracić zaufanie.

SAMBOR.

Właśnie to co nas dręczy, co nam wraża trwogę,
Do największych zaszczytów otwiera ci drogę.
Tak Zarębo, nic tobie me serce nie tai,
Przytłum ten gwar burzliwy buntowniczej zgrai.
Przez ten krok zapewniając tron króla i życie,
Mnie wydartą buławę wydrzeć możesz Kmicie.

ZARĘBA.

Cóż w podobnych zdarzeniach władza moja znaczy?
Każdy gwałt u nas hasłem gwałtu i rozpaczy.
Czyż nie wiesz, że w tem wojsku, które nie oddziela
Od przymiotów rycerskich, cnót obywatela,
Wszyscy na tysiąc śmierci lecieć są gotowi
Za tego, który szczęście ich kraju stanowi?
Ale ich żadne dary, ni groźby nie skłonią
Ucisnąć własnych ziomków bratobójczą bronią.

SAMBOR (z przekąsem).

Czemuż Nałęcz, to bóstwo od was wszystkich czczone,
Który w radzie, narodu wyobraża stronę,
Ów urzędnik bez skazy, tak czynny, otwarty,
Co z królową złączony i królową wsparty,
Zawadzającą jego dumie i powadze
Najwyższą nad wojskami śmiał odjąć mi władzę,
I oddać Kmicie? co ma ten zaszczyt jedyny
Że patrzał przy mym boku na rycerskie czyny,

A dziś nie śmie tąż samą powagą urzędu
Niebezpiecznego w królu ukrócić zapędu?
W serce jego na powrót Ludgardę wprowadzić,
Złe obecne odwrócić, przyszłemu zaradzić?
Ja, com uczynił dla was i dla mej ojczyzny,
Zaświadczą mi kraj, wojsko i w tych piersiach blizny.
Po dwakroć nieprzyjaciół przez zwycięztwa w boju
Do korzystnego dla was zmusiłem pokoju;
A rozszerzając państwa sławę i granice,
Tron wsparłem, ocaliłem naród i stolicę.
Lecz pokój, świetną sławę i rozciągłość granic
Nałęcz wspólnie z Ludgardą raczyli mieć za nic.
Przebacz temu zboczeniu! Mówiąc z przyjacielem
Z całem wylać się sercem moim było celem.
Obawy twe niepłonne; złe wisi nad krajem.
Tak jest; król Ryxę kocha kochany nawzajem.
Poseł szwedzki swych zleceń pełniąc obowiązek,
Próżno groźbą dwoch wojen chce zerwać ten związek.
Próżno Wacław przybywa; świeży z Rzymu goniec
Oczekiwaniom króla już położył koniec;
Już nie ma wątpliwości, że wyrok rozwodu . . .

ZARĘBA.

Przebóg! on byłby hasłem powstania narodu.
Ach ty! którego zdaniu król ufa i radom,
Ty coś do jego serca wszystkich dróg jest świadom,
Zapomnij dawnych uraz, oszczędź, oszczędź mężu
Łez królowej, a hańby polskiemu orężu!

SAMBOR.

Radbym od nas odwrócić grożące nam boje;
Zniewag nawet zapomnieć skłonne serce moje:

Lecz mnie od tej ofiary, przyznam się, odstręcza
Ta nieufność Ludgardy, ta duma Nałęcza.
Ów Kmita . . .

ZARĘBA.

Stój! Przemysław.

SCENA II.

CIŻ I PRZEMYSŁAW.

PRZEMYSŁAW (do Sambora).

Słuchaj! niechaj wszędzie
Taż sama cześć dla Ryxy i taż świetność będzie,
Jaka niegdyś Ludgardzie wyrządzaną była,
Gdy na tron Przemysława raz pierwszy wchodziła.
Zebrać się stanom państwa niechaj Nałęcz każe,
Niech poseł szwedzki wnijdzie, usuną się straże.

(Sambor odchodzi.)

(do Zaręby)

A ty, zgromadź swe wojska, stań na jego czele,
I wiedz że szczęście Ryxy i wspieram i dzielę.

(Zaręba odchodzi)

(sam)

Wszystkie dziś na mnie gromy wyrzuciły nieba.
Ileż mi nieprzyjaciół zwyciężyć potrzeba!
Ale nie! precz odemnie niegodna mnie trwoga!
Rzymto, Rzym, co w imieniu przemawiając boga,
Gdy wiecznemi z Ludgardą moje śluby czyni,
O wypadki przyszłości niechaj siebie wini.
Mamże niepłodnej żonie dotrzymaniem wiary,
Z serca i z obowiązków uczynić ofiary?

Mamże? . . . Nie . . . mimo wyrok Watykanu srogi,
Nic mnie zwrócić nie zdoła z przedsięwziętej drogi.
Niech lud przesądny szemrze na zgwałcone prawa;
Nigdy się im nie podda miłość Przemysława.
Ona do swego celu znajdzie dróg tysiące.
Męstwem pociski losu, gwałt gwałtem odtrącę,
Wytrwałości na wszystko okryję się zbroją:
Ryxa chce, Ryxa musi dziś jeszcze być moją.

SCENA III.

PRZEMYSŁAW, ERIDSON.

PRZEMYSŁAW.

Eridsonie! spełnione są moje żądania.
Rzym tak długo oporny nakoniec się skłania.
Wyrok jego z Ludgardą wiecznie mnie rozdziela:
Chcę mieć ojca w twym królu mając przyjaciela.
Dziś więc jeszcze królewna przez miłość wzajemną,
Podzielająca serce podzieli tron ze mną.
Ufam że mej przyjaźni z Waldemarem świadom,
Przychylnie zechcesz naszym dopomódz układom.

ERIDSON.

Panie! Waldemarowi o wszystkiem doniosłem:
Ryxa jest córką jego a Eridson posłem.
Wiesz, że Wacław ją kocha, Wacławowi ona
Od dawna wolą ojca była przeznaczona.
Uroczystych zapewnień tak gwałtowna zmiana
Mogłaby w nową wojnę mego wmieszać pana.
Zmienić układy królów moc posła przechodzi.
Pójść wbrew życzeniom ojca córce się nie godzi.
On tylko jeden może. . . .

PRZEMYSŁAW.

On jej pragnie szczęścia:
Czyż w jarzmie zmuszonego znajdzie ją zamęzcia?
Czyż królewnie dozwolą jej cnoty i sława,
Z sercem mnie już oddanem być żoną Wacława?
Co masz czynić wskazuje postać rzeczy nowa.

ERIDSON.

Król przyrzekł, królewskiego strzedz winienem słowa.
Nie podobna mi przyszłych zleceń jego dociec:
On władnie losem Ryxy jak król i jak ojciec.

PRZEMYSŁAW.

Jak ojciec dobry pewnie jej żądania ziści;
Jak król, w jej związku ze mną większe ma korzyści.
Gdy łącząc serca nasze moc przydamy mocy,
Zadrzy świat na grom każdy ciśniony z północy.

ERIDSON.

Świat trwożyć lub podbijać nie jego to celem.
Jest krewnym twojej żony, twoim przyjacielem,
Te związki są mu drogie, i tych, panie, pewny,
Dom twój przeznaczył ślubom z Wacławem królewny.
Gdy więc król czeski do twej przybywa stolicy
Po jej rękę, jak skutek świętej obietnicy;
Bez narażenia sławy czyż królewna może
Przyjaciółce i krewnej zabrać tron i łoże?

PRZEMYSŁAW.

Serce Ryxy twych uwag przyjąć nie jest w stanie.

ERIDSON.

Mnie je czynić powinność nakazuje, panie:
Boleję nad jej losem, lecz dotąd nie mogę.

PRZEMYSŁAW.

Żegnam cię; do jej szczęścia sam ułatwię drogę.
(Eridson odchodzi)
Zuchwały i w swej dumie nie znający miary,
Z jakąż roskoszą twoje poniszczę zamiary!
Ryxa mnie kocha, a gdy głos kochanej woła...
Widzę ją... ktoż jej wdziękom oprzeć się wydoła?

SCENA IV.

PRZEMYSŁAW, RYXA.

PRZEMYSŁAW.

Królewno! miłość wszystkie zniszczyła zawady.
Postępujem do szczęścia za nadzieją w ślady,
Odniosłaś nad rywalką tryumf nam tak luby;
Wyrok Rzymu z Ludgardą zerwał moje śluby.

RYXA.

Życzeniom mego serca uczyniłeś zadość;
Przecież ta, którą czuję zawstydza mnie radość.
Miłość moja z litością zawsze toczy walkę.
Czemuż niebo w Ludgardzie dało mi rywalkę!
Lecz gdy razem szczęśliwe nie możem być obie,
Chcę sama ciebie kochać, chcę sama żyć tobie,
Chcę jej nieprzyjemnego uniknąć widoku...
Jakże? ... czy już Ludgarda wie o tym wyroku?

PRZEMYSŁAW.

Nie pani, jeszcze nie wie, od narodu czczona,
Dotąd mnie kochająca, odemnie wzgardzona,
Przez rozpacz i przez zemstę, straszne dla nas obie,
Mogłaby lud poburzyć przeciw mnie i tobie.

By więc wszelkie skutecznie przeszkody oddalić,
Uwieńczyć naszę miłość i szczęście ustalić,
Przytłumić zapał ludu, któregoś ty panią,
A który w pierwszej chwili mógłby stanąć za nią;
Wstrzymałem wyrok: wszystko ogłosić go wzbrania
Wprzódy, nim ona mury opuści Poznania.
A na ów czas, królewno, dzisiaj nawet może
Siebie i berło moje u nóg twoich złożę.

RYXA.

Dziś więc ona usłyszy?

PRZEMYSŁAW.

Pani! zkąd ta trwoga?

RYXA.

Zwykle z nią przystępujem do ołtarza boga:
Nie dziw się tym wzruszeniom i mojej bojaźni.
Pamięć od lat dziecinnych zawartej przyjaźni . . .
Tak jest . . . mimo miłości nad żalem przewagę,
Przemysławie! wśród szczęścia straciłam odwagę.
Widziałeś, gdy nadzieją samą tylko żyłam,
Jak wesołą, jak śmiałą, jak spokojną byłam.
Lecz dziś.... w tej chwili nawet, przed oczy mi stawa
Rozkaz ojca, Ludgarda, przybycie Wacława.
On stałą dla mnie miłość w swojem sercu chowa.
On pewny, że danego dotrzymam mu słowa;
On, co w tem samem miejscu (na tę myśl truchleję)
Cieszył się waszem szczęściem, swego miał nadzieję,
Czczony od was, kochany, który z twoją żoną
Najściślejszą przyjaźnią widział mnie złączoną,
Z jakąż mnie ujrzy wzgardą? ach przebacz, jeżeli
Radości, którą czujesz, nie dość Ryxa dzieli.

PRZEMYSŁAW.

Pani! twoja lękliwość połączona z smutkiem
Jest rady Eridsona nieprzyjaźnej skutkiem.
Onto, na szczęście nasze bez żadnego względu,
Chce cię zrobić ofiarą swojego urzędu.
Pogardź nim, pogardź trwogą co się w serce ciśnie,
A szczęście w całej tobie świetności zabłyśnie.
Dla ciebie głos błagalny już wznoszą kapłany,
Dla ciebie wojska moje i lud mój zebrany
Twych czekają wyroków; a radośna wrzawa
Miłość naszę imieniem okrywa Wacława.
Ów król dumny nadzieją i czeską koroną,
Który cię wszędy swoją ogłaszając żoną
Mniema, że chcąc posiadać twe serce i wdzięki,
Dość zyskać obietnice od ojca twej ręki,
Wszystko tracąc, najmilsze zwycięstwo mi daje;
Odbiorę mu kochankę i wzięte mi kraje.
Przed ołtarzem miłości ukorzę rywala,
Przed tronem króla . . .

RYXA.

Zemsta zbyt ciebie zapala.
Chciej pomnieć, że Waldemar chcąc mi dać za męża
Znakomitego z cnoty, sławnego z oręża,
Przeznaczył mi Wacława. On mnie kocha panie,
Ojciec mój jeszcze nasze nie stwierdził żądanie.
Póki więc Wacław słowo mej ręki posiada;
Z potwarzy nań miotanych część i na mnie spada.

PRZEMYSŁAW.

Przebóg! co słyszę? takżeś jest dla mnie wzajemną?
Królewno! jakąż przepaść otwierasz przedemną!

Jeżeli dla Wacława litość cię uwodzi,
Ach! trzykroć dla mnie większą, dla mnie się mieć godzi.
Weź na szalę ofiary i jego i moję:
Nie przewagi, królewno, lecz zmiany się boję.
Idź wreszcie jeśli skłonność iść tobie dozwala
Okrutna, uszczęśliwić dumnego rywala;
I z odwagą spełniając mych udręczeń miarę,
Oddaj mu w oczach boga i serce i wiarę.
Lecz gdym już stracił szczęście, spokojność i żonę,
Ujrzysz święte ołtarze krwią moją zbroczone.

RYXA.

Niewdzięczny! to coś wyrzekł w niebacznym zapędzie,
Miłość nawet przebaczyć już zdolną nie będzie.
Względem czeskiego króla uspokój swą trwogę.
Zamknąłeś już w tem sercu do powrotu drogę.
Dla kogożto okrutny! w miłości zapale,
Wszystkie cnoty i związki zdeptałam zuchwale?
Dla kogoż, gdy Ludgarda twoja we łzach tonie,
I błędna troski swoje na mem składa łonie,
Wydzierając z jej serca jej serca skrytości,
Niewinną mej występnej poświęcam miłości?
Dla ciebie . . .

PZEMYSŁAW.

Przebacz pani, miłości to siła!

RYXA.

Tak, miłość moja wszystko tobie poświęciła;
A ty, kiedy mój zapęd prawie nie zna miary,
Moje zniżasz a swoje podnosisz ofiary.
Żegnam cię! (odchodzi.)

PRZEMYSŁAW (sam).

Ryxo! słowo! . . . I czegoż się trwożę?
Kocha mnie i już nawet cofnąć się nie może.
Nie ona, lecz Ludgardy łzy i wyrzekania,
Trują moję spokojność i roskosz kochania.
Wszystko z czcią bałwochwalczą jej obronę bierze . . .
Lecz od tych widm przyszłości odwróćmy myśl naszą;
Nie zachwieją tem sercem, ni miłości zgaszą . . .
Jeśli z moją miłością Nałęcza oswoję . . . .
Owoż i on!

SCENA V.

PRZEMYSŁAW, NAŁĘCZ.

NAŁĘCZ.

Rozkazy spełnione są twoje.
Radość panie, świetności wyrównywa wszędy.
I Wacława weselne czekają obrzędy;
A kiedy szczęście swoje i z nami podziela
Ryxa, zostając żoną twego przyjaciela,
Związkiem tak miłym tobie, miłym naszej pani,
Wśród powszechnych okrzyków cieszą się poddani.
Widziałem, jak idącą składać dzięki bogu,
Ludgardę ostąpiwszy u świątyni progu
Lud twój, królu, zebrany przez tysiączne pienia
Z uczuciem wzywał dla was boskiego imienia.
Tę dobrą matkę ludu widziałem, jak ona,
Nami dziećmi swojemi wkoło otoczona,
Z słodyczą dzieląc wszystkich to słowy, to wzrokiem,
Twarz swoję łez radośnych oblała potokiem;

A zbytkiem tkliwych wzruszeń przejęta i zbladła,
Jakby jakiem nieszczęściem uderzona padła.
Lecz się nie trwoż! do życia ją wkrótce przywiodły
Usiłowania nasze i kapłanów modły.
Odzyskując je z jękiem jakby żyć nie chciała,
Niespokojnym cię wzrokiem wśród tłumu szukała.
I o me ramię wsparta, gdy ludu westchnienia
Wśród powszechnego słyszeć dały się milczenia,
„Gdzie mój Przemysław!" słabym zawołała głosem:
„Gdzie Ryxa?"

PRZEMYSŁAW.

Dosyć; przestań jej trudnić się losem.

NAŁĘCZ.

Przebacz; lecz nie powinno obrażać cię panie,
Ludu twego do waszych osób przywiązanie.

PRZEMYSŁAW.

Nałęczu! zawsze wiernym twoim byłeś panom,
Z chwałą ojczyźnie służysz przewodnicząc stanom:
Wiesz kto rani to serce? odkryć ci go trzeba.

NAŁĘCZ.

Kto królu?

PRZEMYSŁAW.

Nałęcz!

NAŁĘCZ.

Nałęcz?

PRZEMYSŁAW.

Tak jest, ty!

NAŁĘCZ.

O nieba!

PRZEMYSŁAW.

Lud mój błądzi, gdy związkiem Wacława się cieszy,
Ciesząc się z ludem Nałęcz i błądzi i grzeszy.
Gdzie szczęście gmin ogłasza, przez radośne wrzawy,
Tam często widzi przepaść obywatel prawy.
Naszeto dziś zdarzenie. Od związku Wacława
Zacznie się zmniejszać Polski i wielkość i sława.
Złączony z Waldemarem przez dwie dzielne mocy
Cisnąć nas ów z południa, ów będzie z północy.
Tak Nałęczu. Ten związek mnie raczej przystoi:
On potęgę narodu i świetność podwoi.

NAŁĘCZ.

Serce twoje daremną królu trapisz trwogą.
Szwedzi odnas odleg li mniej szkodzić nam mogą;
W Wacławie przyjaciela mając i sąsiada,
Którego życie całe z cnót wielkich się składa,
Pewniejszą znajdziesz pomoc, niźli w Waldemarze.
Nader rzadko krwi związek szanują mocarze.
Wacław świętej przymierza dotrzymał nam wiary,
Od granic naszych wojen usunął pożary,
I może nam powróci na nasze żądanie
Ziemie, których udzierżyć nie byliśmy w stanie.
Biorąc je uległ wówczas prośbom i potrzebie.

PRZEMYSŁAW.

Ktoż czyni dobrowolnie mniej potężnym siebie?
Być rzetelnym z swą szkodą, wzięte zwracać kraje,
Do wielu cnót, tych zwykle, nam królom nie staje.

NAŁĘCZ.

I cóż nam przyda?

PRZEMYSŁAW.

Cóż nam? to u ciebie mało:
Z podzielonych ziem polskich jedno zrobić ciało?
Wydrzeć miecz co go wznosi brat naprzeciw bratu?
Nadać dzielność rządowi blaskiem majestatu?
I potęgą kres kładąc niezgodom i zdradom
Tyle lat nam grożącym odgrozić sąsiadom?
O Polsko! z rzędu mocarstw strącona nikczemnie
We mnież tylko masz twego obrońcę?

NAŁĘCZ.

I we mnie.
Zapomniałeś szlachetnym uniesion zapałem,
Żem cierpiał nie raz dla niej, zawsze ją kochałem.
I dziś królu w jej imię poprzysięgam tobie,
Wskaż mi szczęście ojczyzny, wszystko dla niej zrobię.

PRZEMYSŁAW.

Tegom żądał cny mężu, dawny przyjacielu,
Z którym zawsze iść pragnę do jednego celu.
Do szczęścia kraju, o to dziś szczególniej chodzi,
Dla niego wszystko ważyć, tak wszystko się godzi.
Precz od nas ta nikczemna lękliwość sumienia,
Owe przesądy, klęski ludzkiego plemienia,
I litość, małym duszom cnota ulubiona,
Co częstokroć łzą jednej ofiary wzruszona
Serca tylko skłonności zadosyć czyniąca,
W okropną przepaść ofiar miliony strąca.
Niechaj innych ten obłęd unosi i łudzi,
My we wszystkiem Nałęczu, wznieśmy się nad ludzi.

Omyłki naszych przodków mając na uwadze
Do wypadków przyszłości rozciągnijmy władzę,
I ojczyźnie, jedynie ojczyźnie oddani,
Bądźmy pierwsi co wszystko poświęcają dla niej.
Kocham Ryxę, i przez nią moim jest zamiarem:
Zawrzeć wieczne przymierze z mężnym Waldemarem.

NAŁĘCZ.

Co? Ryxę?

PRZEMYSŁAW.

Tak jest, Ryxę ... połącza ten związek
Z skłonnością Przemysława króla obowiązek.
Czyż cię ta miłość dziwi?

NAŁĘCZ.

Nie, nie dziwi, panie!
Ale krzywdzi Nałęcza samo jej wyznanie.

PRZEMYSŁAW.

Lubię ten zapał, który jest cnoty zapałem;
Takiego przyjaciela znaleść w tobie chciałem.
Pewny, że są najczystsze przedsięwzięcia moje,
Twojego surowego sądu się nie boję.
Do większej mnie już ciebie zmuszają baczności
Odpowiedzialność bogu i sąd potomności.
Mieć następcę z Ludgardy straciłem nadzieję;
A czem jest kraj bez króla wystawiają dzieje.
Krwią naszą zapisane są karty tej xięgi,
Naród stawał się obcej igrzyskiem potęgi,
Każdy Polak być musiał na swej ziemi zbrojny,
A śmierć pana za hasło miał domowej wojny.

Pomniej, jakie nieszczęścia na Polskę się zlały,
Kiedy opuścić musiał tron Bolesław śmiały:
W miejscu jednego króla sto było tyranów,
Kłótnie rządców z rządcami, ze stanami stanów,
Rokosze po obozach, ucisk, jęki, mordy,
I kraj nasz pustoszące najezdników hordy.
Ale niech się nie sprawdzą moje słowa wieszcze:
Te klęski zbyt lekkiemi osądzicie jeszcze,
Gdy korzystając z naszych błędów i niezgody
Na polskiej ziemi obce powstaną narody,
Co was korząc uciskiem samowładnej woli,
Narzucą swoje prawa i jarzmo niewoli.
Przerażony przeszłości okropnym widokiem,
Troskliwem ojca ludu bacząc w przyszłość okiem,
Widzę z podniesionego męstwem mojem tronu
Klęski, co na kraj spadną z chwilą mego zgonu.
Chcę je odwrócić; chcę dać z miłego wam rodu
Następcę, co by wielkość utrzymał narodu.
Chcę, aby z waszem szczęściem przenosiła sława
Z pokoleń do pokoleń imię Przemysława.

SCENA VI.

PRZEMYSŁAW, NAŁĘCZ, LUDGARDA.

LUDGARDA.

Przebacz panie, jeżelim (nadto może śmiała)
Twoje ważne dla kraju czynności przerwała.
Lecz ty sam zdolny jesteś rozproszyć tę trwogę,
Której dłużej ukrywać przed tobą nie mogę.
W dniu, w którym Ryxa nasza przez swoje zamęzcie
Spełnia własne żądania i Wacława szczęście;

W dniu, co trzech państw życzeniom uczynić ma zadość,
Czemuż nagle zmieszaną widzę Ryxy radość?
Jej westchnienia, jej postać okryta żałobą,
Jej rozmowy tajemne i tak częste z tobą,
I w obecności mojej niespokojność wasza;
Wszystko mnie, wszystko jakiemś nieszczęściem przestrasza.
Cóż to jest? czy król czeski miałby być niestały?
Czy sprawy państwa, jego przybycie wstrzymały?
Czy Waldemar, czy wreszcie sama Ryxa może....
Oświeć mnie, niech się czczemi domysły nie trwożę.
Wiesz dobrze jak mojemu sercu Ryxa miła:
Wiesz, że jej szczęście własną krwiąbym odkupiła.
Ach! niepewność z męk wszystkich najsroższa jest męka

PRZEMYSŁAW.

Próżno się o los Ryxy twoja przyjaźń lęka.
Wszystko jej sprzyja.

LUDGARDA.

Czemuż, gdy to mówisz panie,
Miasto radości, raczej widzę pomieszanie?
Ale po cóż przymusem dręczyć się wzajemnie?
Przed tem sercem, co tylko tobie bije we mnie,
Nie skryjesz swego. Niegdyś twoja dusza cała
Sama się na Ludgardy łonie wylewała;
Twój los i twój byt wszystek z moim był złączony,
Wśród cierpień znajdowałeś ulgę we łzach żony,
Radość nawet nie mogła być tobie przyjemną,
Którejby twoja miłość nie dzieliła ze mną.
Dziś widzę nieszczęśliwa, że się wszystko zmienia:
Obce są tobie moje trwogi i cierpienia.

Samotna, pogrążona w strapieniu głębokiem,
Próżno stęsknionem co dzień wyglądam cię okiem.

PRZEMYSŁAW.

Chceszże, bym u nóg twoich zginając kolana,
Najświętszych zapominał obowiązków pana?
I szczęście moich ludów spuszczając na losy,
Słyszał wyrzekające milionów głosy?

LUDGARDA.

Nie panie: wówczas nawet gdym ci miłą była,
Nigdy serca mojego ta myśl nie skaziła;
Sam owszem (kochający i kochany wzajem)
Umiałeś czas podzielać między mną i krajem.
Ale niech to wspomnienie dnia tego nie truje,
Który szczęście nam znikłe dla Ryxy gotuje.
Oby przynajmniej ona

PRZEMYSŁAW.

Z tej właśnie przyczyny
Wszystkie są moje dzisiaj zajęte godziny.
Przebacz, że poświęcony potrzebom narodu,
Nie chcę zgłębiać twych na mnie wyrzekań powodu:
Wiedz jednak, że dziś każda Przemysława czynność
Ma za cel szczęście Ryxy i króla powinność. (Odchodzi.)

SCENA VII.

NAŁĘCZ, LUDGARDA.

LUDGARDA.

Co za sława!

NAŁĘCZ (na boku).

Występny!

LUDGARDA.

O ty, mężu prawy!
Co mnie z łona rodziców i lubej Windawy
Wprowadziłeś w te mury szczęściem otoczoną;
Bądź moim przewodnikiem, bądź moją obroną.
Ojciec mój oddalony, matka moja w grobie;
W kimże znajdę pociechę, jeżeli nie w tobie?
Milczysz? wiem; to milczenie jest skutkiem bojaźni:
Onato zwykle dzielność odbiera przyjaźni.
Także mnie Nałęcz cieszy, tak me rany goi?
Ojcze! odbiegli córkę przyjaciele twoi.

NAŁĘCZ.

Czy podzielam nieszczęście które cię dotyka;
Doświadczysz mnie dziś pani, z przybyciem Henryka.
(Odchodzi.)

LUDGARDA (sama).

Ojciec mój! ach, niestety! trzykroć nieszczęśliwa!
Zwiększać on nie ocierać łzy moje przybywa.
Jakże gwałtownie dla mnie wszystko się odmienia!
Zbolała, opuszczona i bez doświadczenia,
W myślach puszczonych w przyszłość, na którą truchleję,
Mniejszych tylko udręczeń mieć mogę nadzieję.
Umierającej matki zniewolony głosem
Ów Nałęcz, co jej przysiągł mym trudnić się losem,
Dzisiaj mnie ... o niebaczna! na próżno się trwożę,
Nałęcz cnotliwy prośb jej zapomnieć nie może.
Rozważmy siebie: może w sobie znajdziem winę;
Oziębłość Przemysława mieć musi przyczynę.
(Po długiem milczeniu.)
Ale już wiem; innego on powodu nie ma,
Przyjaźń Wacława dla mnie miłością być mniema.

Tak; o szczęście! nadzieje! o miłe obrazy!
Tak, pamiętam, widziałam, ilem tylko razy
Albo też Ryxa imię Wacława wspomniała,
Jak na twarz Przemysława zawiść wstępowała.
Biegnę, rzucę się do nóg; widząc mnie w rozpaczy,
On co mnie kocha, łatwo mój zapęd przebaczy.
Nie cofajmy tej myśli, prowadź mię miłości!
Ktoż kochając nie uczuł trwogi i zazdrości?

AKT II.

SCENA I.

ZARĘBA, NAŁĘCZ.

ZARĘBA.

Z długiej i poufałej rozmowy z Samborem
Sądzę mężu, że rzeczy pójdą nam z oporem.
Wszystko gotów poświęcić swej zemście i dumie:
Ukryć ich nawet nie chce, czyli też nie umie.
Pośród zgrai stronników, których skrycie ściąga,
Z łez Ludgardy i z twoich zasług się urąga.
Słowem, z tego co czuje, co mówi i działa,
Widać, że chęcią zemsty i znaczenia pała;
A zamęt w kraju biorąc za przyjaźną porę
Podnieca ogień, którym król dla Ryxy gore.

NAŁĘCZ.

Wodzu! nie traćmy serca; nie z jednej już toni
Polskę naszą bóg wyrwał: on niewinnych broni.
W prawach, których są stróżem stany zgromadzone,
Występni znajdą karę, Ludgarda obronę.
A gdy król zechce zgwałcić najświętszą ustawę,
Rzucając nas na klęski przez śluby nieprawe;
Wówczas my bez zapału i ubocznych względów,
Spełnimy obowiązki przysiąg i urzędów.

Ale może narodu przerażony głosem
Nad swym, naszym i żony zlituje się losem.
Może, gdy ją wraz z ojcem przed sobą zobaczy,
Od kroków przedsiębranych uwolnić nas raczy.
Jednakże na Sambora mieć baczność należy,
By nas nie wciągnął w przepaść, w którą oślep bieży.
Idź więc, i w twych żołnierzy natchnij twego ducha,
Niech każdy nie stronnictwa, lecz głosu praw słucha.

SCENA II.

NAŁĘCZ, SAMBOR.

SAMBOR.

Mężu, którego cnoty, długie doświadczenia,
Król tak wielce szanuje, tak drogo ocenia;
Zaszłych w zebranych stanach narad i niezgody
Chciałby z ust twoich wiedzieć skutki i powody.
Jedynato jest chwila; korzystaj z niej panie!
Szczęśliwy król, co w cnocie kładzie zaufanie!
Mając tyle nad jego umysłem przewagi,
Zniweczyć możesz groźby Sztokholmu i Pragi.

NAŁĘCZ.

Przyzwoitą twym słowom umiem cenę nadać.
Ale ja nie dość zręczny sercem króla władać:
Właśnie że on zna dobrze mój myślenia sposób,
Ufność swoję do innych już przenosi osób.
Osiwiały w usługach krajowych i tronu,
Nałóg mej otwartości zachowam do zgonu.
I gdy inni przez ciągłe zdrożnościom oklaski
Wciskają się do króla i serca i łaski;

Ja co me szczęście w szczęściu ojczyzny stanowię,
Kocham Polskę, czczę króla, gdy mu prawdy mówię.
Ten sam duch jest i w stanach; jakąż więc przyczynę
Mieć można nam niezgody przypisywać winę?

SAMBOR.

Jeżeli miłość jego zdrożnością zwiesz panie,
Zgasić ją w nim ty jeden tylko jesteś w stanie.
Żadne inne złe pewnie na naród nie spadnie,
Gdy Nałęcz sterem rządu, Kmita wojskiem władnie.

NAŁĘCZ.

Przywiązanie do kraju i cnoty znam Kmity:
Te są droższe nad wszytkie zwycięstwa zaszczyty.
W złego obywatela ręku miecz zwycięski
Częstokroć na kraj ściąga kajdany lub klęski.

SAMBOR.

Racz wymienić kto twojej potwarzy jest celem?
Sambor dowiódł że zawsze był obywatelem;
A ci którzy na jego upadku powstali,
Nie mogą kłaść swych zasług z mojemi na szali.
Danego wam pokoju moje zyski całe:
Że z odjętym mi stopniem wziąść mi chcecie chwałę.
Tento odwieczny podłej zawiści w nas zaród,
Zniechęca zasłużonych i uniża naród.
Lecz ja od tej powszechnej chcę być wolny skazy.
Usuwam osobistej powody urazy,
I dziś co mamy działać, gdy nam dasz przykłady,
Za pierwszym urzędnikiem pierwszy pójdę w ślady.

NAŁĘCZ.

Strzedz praw, lud z tronem łączyć, zapomnieć o sobie,
Innych nad te przykładów nie umiem dać tobie.

(Odchodzi.)

SAMBOR (sam).

Dumny, swojej Ludgardy wzruszony jękami,
Ukorzyć mnie i króla napróżno się mami.
Wszystkie moje nadzieje dziś spełnić się muszą:
Te bałwany czci ludu dzisiaj się pokruszą.
Nie ma szczęścia, ni życia dla mnie na tej ziemi,
Dopóki nie dokonam mej pomsty nad niemi.
Rozdmuchnę jeszcze silniej miłość w Przemysławie,
Najczarniejszy mu obraz Nałęcza wystawię,
Oświadczeniem obrony i tkliwemi słowy
Do trwożliwego serca wcisnę się królowej;
A gdy poznam ich czyny, sposoby, zamiary,
Łatwo mi pod miecz oddać krzywd moich ofiary.

SCENA III.

SAMBOR, ERIDSON.

ERIDSON.

Kiedy już waszych nieszczęść godzina wybiła,
Jakie bóg w gniewie tylko na narody zsyła;
Pozwól, niech raz ostatni przed tobą Samborze
Z zwykłą szczerością serce i usta otworzę.
Wiedząc ile się tobie Przemysław udziela,
Jak cię słusznie imieniem zdobi przyjaciela;
Zaczynam: udzielonem od ojca mi prawem
Chciałem szwedzką królewnę połączyć z Wacławem.

Chciałem głosem przyjaźni skłonną do zapędu
Odwrócić od przepaści i wywieść z obłędu.
Próżne usiłowania, daremne uwagi;
Namiętność zbyt jej sercu dodała odwagi.
Przeniosłem więc me prośby do twojego pana:
Posła i starca przed nim ugiąłem kolana;
Lecz i tu głosem moim miłość obrażona,
Za swą obelgę wzięła prośby Eridsona.
Pozbawiony nadziei odwrócenia wojny,
Wyroku Waldemara czekałem spokojny.
Nadszedł ten; on na zawsze (przed tobą nie taję)
Rozdziela od lat tylu połączone kraje.
Wprawdzie nie powinienbym już podnosić głosu,
Ni ofiar nieszczęśliwych użalać się losu;
Lecz gdy słyszę, że pan twój litością wzruszony,
Dał się nakoniec zmiękczyć łzami swojej żony;
Gdy czytam z pism nadeszłych z Sztokholmu i Pragi,
Że chcą oba królowie mścić się swej zniewagi;
Sądzę, że raczysz dzielnie (i błagamy ciebie)
Użyć twojego wpływu w tak ważnej potrzebie.
Spiesz więc, korzystaj z pory, zgój nieszczęsnej ranę:
Pogódź króla z królami i serca zbłąkane.
A tak, dawca pokoju, sławny już żelazem,
Uwiecznisz imię swoje w trzech narodach razem.
Ja równie wszelkich starań z mej użyję strony,
Aby ten cel tak wielki mógł być osiągniony.

SAMBOR.

Ktożby z Polaków nie chciał nakłonić do zgody
Tyle dla nas korzystnej, trzy wielkie narody?
Ach, też same uczucia i też same chęci
Nie opuszczały mego serca i pamięci!

Pełniąc obywatela powinności święte
W żadnym dniu usta moje nie były zamknięte.
Na groźby, stratę łaski, na gromy nie dbałem:
Polak, śmiało mówiłem, przyjaciel, błagałem.
Lecz wszystko nadaremnie; tak jest, nadaremnie,
Odwrócenia klęsk naszych masz nadzieję we mnie.
Odtąd jak król dla Ryxy silną miłość czuje,
Nikomu się nie zwierza, rad mych nie przyjmuje.
Więcej powiem i przyszłość tem dla nas straszniejsza,
Że opór go unosi, miłości nie zmniejsza;
Jednak szanując posła we mnie zaufanie,
Idę twoje u króla popierać żądanie.

SCENA IV.

ERIDSON, RYXA.

RYXA.

Wolna od wszelkiej trwogi, luby Eridsonie,
Z jakąż pociechą radość na twem składam łonie.
Znikły wszystkie zawady, kochanam wzajemnie;
Wierz mi, nikt być nie może szczęśliwszym nademnie.
Zdaje się że los wszystkie dla mnie szczęścia zbiera.
Mieć za męża kochanka a w nim bohatera,
Zostać matką i panią mężnego narodu,
Rozszerzyć blask świetnego Waldemara rodu;
Ach, ten sam obraz który Ryxa tobie kreśli,
Nie dopuszcza Wacława do serca i myśli!

ERIDSON.

Coż sprawia w sercu twojem tak nagłe przemiany?
Przed chwilą pogardzony i znowu kochany,
Ów Przemysław co ciebie . . .

RYXA.

Nie kończ Eridsonie!
Najczystszą, najsilniejszą on miłością płonie.
Uniesienie się jego, co mnie obraziło,
Skutkiem trwogi o stratę mego serca było.
Ach! dla tych co wzajemną miłość w sercach noszą,
Często niezgody szczęściem, a łzy są roskoszą.

ERIDSON.

Przyjaźń Ludgardy niegdyś tak ci była drogą.

RYXA.

Przyjaźń z moją miłością zgodzić się nie mogą.

ERIDSON.

Wiesz twego ojca wolą; czyż możesz przejść za nią?

RYXA.

Mylisz się: serca mego sama jestem panią.

ERIDSON.

Kiedy ojca nad sobą już usuwasz władzę,
Jednę chwilę przynajmniej daj jeszcze rozwadze.
Nieradbym z twego serca wyrywać nadzieję;
Ona nawet gdy zwodzi, tysiąc pociech leje.
Lecz pani, gdy w niebacznym, niestety! zapale
Uwłaczasz ojcu, bogu i twej własnej chwale;
Gdy już twe serce tylko dla miłości żyje
Niechaj spada zasłona co twą przyszłość kryje.
Przypomnij, gdy w Sztokholmie ogłosiła sława
Wielkie czyny, zwycięstwa i cnoty Wacława;
Gdy Wacław, co mu w odwrot twe przeniosła wdzięki,
Żądał i obietnicę twej otrzymał ręki,

Cały naród swe dobro w twem widząc zamęzciu,
Błogosławił własnemu i twojemu szczęściu.
Pamiętna chwila! gdy cię u morskiego brzegu
Rozpięte żagle z sobą wzywały do biegu;
Gdyś we łzach, żegnającym ludem otoczona,
Trzykroć do ojcowskiego powracała łona;
Gdy nakoniec upadłszy przed nim na kolana,
Ostatni raz żegnałaś i ojca i pana;
Te były jego słowa, kiedyś drżącą nogą
W rozchwiany wiatrem okręt wstępowała z trwogą:
»Eridsonie! najwyższym urzędem cię zdobię.
Od tej chwili mieć będzie Ryxa ojca w tobie.
Nie znani jej są jeszcze ni ludzie, ni kraje,
Powierzam ci me szczęście, bo córkę oddaję.«

Ryxa.

O bolesne wspomnienia!

Eridson.

Przybyłaś w te strony,
Gdzie krwi związek przyjaźnią był wkrótce uczczony;
Gdzie Przemysław z Ludgardą w swej miłości stali,
Wzajemnością serc czystych ciebie roztkliwiali,
I gdzie tobą szczęśliwi, twym losem zajęci

Ryxa.

Ach pocoż zbiegłe czasy przywodzisz pamięci!

Eridson.

Ktoż naówczas mógł przejrzeć, że twe pani wdzięki
Wniosą w dom przyjaciółki łzy gorzkie i jęki?
Że zatrują jej życie, i że trzy narody
Skażą na klęski wojen i wiecznej niezgody?

Wiem, że dla twego serca ta prawda jest sroga.
Wiem, że straszna przeraża twe sumienie trwoga;
Że cie ujrzę półmartwą, lub oblaną łzami,
Gdy się dziś jeszcze Wacław ukaże przed wami;
Lecz cierpliwie dosłuchaj ostatni raz może
Przestróg samego nieba.

RYXA.

Coż to jest? o boże!

ERIDSON.

Stało się: ukochałaś i byłaś kochaną.
Ale samą przyjaźni na miłość zamianą
Przestałaś być szczęśliwą; niespokojność, trwoga,
Wspomnienie na Wacława, na ojca, na boga,
Wydarcie Przemysława nieszczęśliwej żonie,
I zgryzotę i miłość zawarły w twem łonie.
Pocisk, coś go w twem sercu nosiła ukrycie,
Chciałem wyrwać, lecz wyrwać z nim bałem się życie.
Widząc że każdy opór, a nawet uwaga,
Nie gasi, ale owszem silniej płomień wzmaga;
Połączyłem się z tobą; troski twojem słodził,
Waldemaram nakłaniał, Wacławam łagodził:
Lecz dziś, gdy ściągający tyle nieszczęść razem
Rozrywa się wasz związek ojcowskim rozkazem,
Gdy dostrzegłem (ach zadrzyj jak i ja zadrzałem)
Że Przemysław występnym uniesion zapałem
Naraża twoję sławę, z twej się trwogi śmieje,
I los twój spuszcza tylko na czas i nadzieję;
Gdy się nakoniec wszędy jeden głos rozchodzi,
Że żonie wrócił serce, ciebie Rzymem zwodzi,

Radzę, bo ci tak każą bóg, twe szczęście, sława,
Byś dopełniła życzeń ojca i Wacława:
I przez słuszną występnej miłości pogardę
Pocieszyła strapionych, lud ten i Ludgardę.

RYXA.

Przemysław kocha żonę? i na powrót ona....
I cóż mogło w ten obłęd wprawić Eridsona?
Ale wiem: Waldemara wyrokiem strwożony,
Chcesz moje serce zwrócić do czeskiej korony.
Twato ręka w niem gasi miłości pochodnię,
Twojeto usta jemu narzucają zbrodnie.
Możeż ojciec mój żądać, jeślim ojcu miła,
Bym w związku z innym napój trucizny wypiła?
Nie Eridsonie! powiedz twojemu królowi:
Że sam tylko Przemysław los Ryxy stanowi,
Że miłość moję kładę w równi z życiem razem,
Że może mi ją wydrzeć lecz tylko żelazem.

ERIDSON.

Spełniwszy obowiązki serca i urzędu,
Gdy już żadnego nie masz na me rady względu;
Kończę na tem, królewno, że dziś może jeszcze
(Dałby bóg by nie były słowa moje wieszcze!)
Doświadczysz, ile czarna Przemysława zdrada
Tobie, ojcu, Ludgardzie i mnie ciosów zada.

SCENA V.

RYXA, LUDGARDA.

LUDGARDA.

Ryxo! na twoje łono rzucam się szczęśliwa!
Mój Przemysław mnie kocha, twój Wacław przybywa.

RYXA.

Przemysław ciebie . . .

LUDGARDA.

Winnam zwrot jego miłości
Łzom moim i odkryciu mojej niewinności.
Gdy mnie kochał, i kiedym go wzajem kochała,
Zawiść nieszczęsna jad swój w jego serca wlała.
Mniemał on, że Wacława pragnąc wydrzeć tobie,
Tę miłość cnotą tylko zwyciężałam w sobie.
Ach! gdybyś go widziała, jak tkliwie przedemną
U nóg moich błąd wyznał i miłość wzajemną!
I jak miłemi łzami zlewając me dłonie,
Wracał serce kochanka kochance i żonie;
Dzieliłaby to szczęście twoja dusza tkliwa.
Obyś Ryxo z Wacławem była tak szczęśliwa!
Lecz i on . . .

RYXA.

Stój, okrutna!

LUDGARDA.

Coś rzekła w zapędzie?

RYXA (ukrywając swe poruszenie).

Zmiana stanu płci naszej zawsze straszną będzie,
Gdy ulegając sercu . . . albo też potrzebie,
Na zawsze, że tak powiem, zrzec się mamy siebie . . .
Gdy tracę nieszczęśliwa tyle pociech razem . . .
Przebacz łzom wyciśnionym przeszłości obrazem.

LUDGARDA.

Ryxo! Wacław cię kocha, i dziś jeszcze może
Przyjaźną ręką zwity na cię wieniec włożę.

Nie trwoż mnie; odetchnienia raczej potrzebuję,
Ja która wszystko z tobą podzielam i czuję.

RYXA.

Wszystko ze mną podzielasz

LUDGARDA.

Ryxo! mów coż znaczy
Ta niespokojność? . . .

RYXA.

Mojej lękaj się rozpaczy.

LUDGARDA.

Kiedyż dla mego serca w twojem była skrytość?
Wyznaj, nie truj mi szczęścia, miej nademną litość.

RYXA.

W milczeniu masz ją mojem, pierwsze z mych ust słowo
Przerazi cię: co czynię? zostaw mnie królowo.
(na boku)

LUDGARDA.

Czyż ta, która mi męża wydrzeć chciała zawiść,
I twoję dla mnie przyjaźń zmieniła w nienawiść?

RYXA.

Zgadłaś!

LUDGARDA.

Mylisz się; próżna jest twoja obawa,
Ja kocham Przemysława . . .

RYXA.

I ja Przemysława.

LUDGARDA.

Przemysława? o nieba! o srogości losu!
Nieszczęśliwa! przyjaźni chciej wysłuchać głosu.
Tworzącej się miłości zniszcz pierwsze wzruszenie,
Przygaś ogień nim jeszcze zajmie się w płomienie.
Królewno! twoja rana już moją jest raną;
Doznałam co to kochać a nie być kochaną.

RYXA.

Precz odemnie, rywalko! twoją moja rana?
Łatwe są tobie cnoty, gdyś wzajem kochana.
(z przekąsem)
Zrób mnie szczęśliwą, Ryxa pójdzie w twoje ślady,
Odda litość za litość i rady za rady.

LUDGARDA (odchodząc).

Niewdzięczna!

RYXA.

Zemsto! zemsto! to serce cię wzywa;
W tobie ja tylko ulgę znajdę nieszczęśliwa.
Tobie wszystko poświęcę, tak, wszystko poświęcę.
Ty dasz sercu odwagę podając miecz ręce.
Gdyby samą litością tylko uniesiony,
Walcząc z miłością dla mnie powracał do żony;
Gdyby, kiedy niewdzięczny tak łatwo się zmienia,
Z uczuciem u nóg moich błagał przebaczenia;
Gdyby się był mnie zwierzył, wyznał swoją winę,
Lub przynajmniej dał jaką swej zbrodni przyczynę;
Widząc w jego zgryzocie razem żal i karę,
Możebym z mego szczęścia zrobiła ofiarę.
Ale nie, precz odemnie, niegodna litości,
Gniew, zemsta i nienawiść zrównają miłości.

On, co się z mej słabości, z swych przysiąg najgrawa,
U którego jest niczem moja nawet sława,
Który może w tej chwili wraz z swoją Ludgardą
Znieważa mnie litością lub okrywa wzgardą.

SCENA VI.

Ryxa, Przemysław.

Przemysław.

Królewno!

Ryxa.

Wiarołomco! zatrzymaj twe słowa.
Z ust twych nic wyjść nie może, chyba zdrada nowa.
Gdzie owa miłość dla mnie, nienawiść dla żony?
Gdzie ów Rzym, gdzie ów ołtarz dla nas przeznaczony?
Gdzie są twoje przysięgi, o me szczęście trwoga?
Dla ciebie odstąpiwszy sławy, ojca, boga,
Pomimo nieustanne w tem sercu zgryzoty,
Lękam się, bo cię kocham, powrotu do cnoty.
A gdy w kochanym całą pokładam nadzieję,
On wiarołomny u nóg Ludgardy łzy leje,
Zaprzysięga jej miłość, mojej się wyrzeka?
Cóż? powiedz, cóż mnie teraz oprócz hańby czeka?
Już to serce zranione nic więcej nie czuje,
Prócz zemsty, i ta nawet dni moje zatruje.

Przemysław.

Strata ciebie jedynie, nie zemsta mnie lęka;
Pragniesz jej? ta, królewno, zastąpi cię ręka.
Że z udręczeniem mojem zwleka się godzina,
Co mnie z tobą nie łączy, megoż serca wina?

Że dla wspólnego szczęścia i twojej obrony
Mimochętnie słów tkliwych użyłem do żony,
Że pozorem miłości i ku jej potrzebie
Największą z ofiar niosłem uniżając siebie?

Ryxa.

Przestań; nazbyt to wielkie są dla mnie ofiary:
Tkliwej za nie wdzięczności i dla twych słów wiary
Szukaj u tej, dla której łzy były wylane.
Ryxa miłość miłością, zmianą płaci zmianę.

Przemysław.

Te łzy były dla ciebie

Ryxa.

U nóg jej? nie panie,
Zniszczyło we mnie miłość twe własne wyznanie.
Cofam imię kochanka, cofam jego prawa,
I wszystkie je przenoszę do serca Wacława.
Jeśli żal nieszczęśliwej poruszyć was może,
Przebaczcie błędom Ryxy i ojcze i boże!
Ach! i ty przyjaciółko i żono cnotliwa,
Przebacz! ze łzami Ryxa twej litości wzywa.

Przemysław.

Cofnij imię kochanka, imię dla nas święte,
Dane mi wśród zapału, wśród zasług odjęte.
Oddaj serce innemu co mojem być miało,
Co mi tylko okropność miłości czuć dało.
Uroczyste z pamięci wymaż przyrzeczenia,
Lecz wiedz, że się to serce dla ciebie nie zmienia.
Mógłżem sądzić, ażeby w tej samej godzinie,
Gdy dla kochanej tyle drogich ofiar czynię,

Gdy mnie ku niej zwycięstwa wszystkich zawad wiodą;
Niewdzięczność i zniewaga ich były nagrodą?
Ach! jeśli pragniesz pani odebrać mi życie,
I lud wzburzyć dzielący łzy Ludgardy skrycie;
Odkryj jej miłość naszę dotąd jej tajemną,
A wnet całej twej zemsty dokonasz nademną.

RYXA.

Stój, przebóg!

PRZEMYSŁAW.

Ryxo!

RYXA.

Przebacz!

PRZEMYSŁAW.

Łzy twoje

RYXA.

Ach! nie ty,
Ale Ryxa, występną została, niestety!
Już Ludgarda . . .

PRZEMYSŁAW.

Cóż znaczy?

RYXA.

Może się już zbroją! . .
Ludgarda! . .

PRZEMYSŁAW.

Cóż Ludgarda? . .

RYXA.

Już wie miłość moją.

SCENA VII.

CIŻ I LUDGARDA (której nie widzą).

PRZEMYSŁAW.

Stało się! (po długiem milczeniu) Już! łzom twoim dziś koniec położę.
Miłość bez ofiar zwać się miłością nie może.
Idźmy! Wyroki moje już są niecofnione,
Mając w Ryxie kochankę mieć będę i żonę.

RYXA.

Ach patrz! Ludgarda..

PRZEMYSŁAW.

Idźmy! postać się jej zmienia.

RYXA.

Boże! boże! najcięższyto cios do zniesienia!
(Odchodzi.)

SCENA VIII.

LUDGARDA (w tem samem miejscu).

»Mając w Ryxie kochankę mieć będę i żonę"
Jegożto były słowa? do niej wyrzeczone?
Słyszałamże je sama? nie błądzą me oczy?
(z obłąkaniem)
Jakaż gromada wężów w to serce się tłoczy?

Ojcze! odbij żelazo od mojego łona;
Na twe ręce krew pryska, i twa córka kona.
Gdzież mnie rozpacz unosi? o niewinnych boże!

(Nałęcz wchodzi.)

Coż przeciw mnie nieszczęsnej twój gniew zwrócić może?
Tobie, Przemysławowi, i wierna przyjaźni,
Patrz; to serce bez żadnej otwieram bojaźni.
Ale ta, co mnie zdradza i szczęście wydziera . . .

NAŁĘCZ.

Nie rozpaczaj królowo! bóg niewinnych wspiera.
Nie rozpaczaj! miej litość nad nami i sobą;
A ten którego wzywasz, bóg stanie za tobą.

LUDGARDA.

Litości? komuż więcej nademnie jej trzeba?
Wzywając jej codziennie zmordowałam nieba.
Nie trwoż się, już Ludgarda łez więcej nie leje.
Lać je zwykli ci tylko, co mają nadzieje.

(z pomieszaniem)

Widzisz moję spokojność . . . . widzisz, jak odwaga . . .
Nad żalem i nieszczęsną miłością przemaga . . .
Widzisz . . . . ale Nałęczu nie patrzaj w tę stronę.

(z obłąkaniem)

„Mając w Ryxie kochankę mieć będę i żonę . . .“

NAŁĘCZ.

Pani!

LUDGARDA.

Idźmy! to miejsce odbiera mi siły.

NAŁĘCZ.

Okrutny! twoje zbrodnie już miarę spełniły.

LUDGARDA (wsparta na Nałęczu odchodząc).

Przebacz mu! on nie winien, nie czuje mej rany,
On co kocha, a zawsze był wzajem kochany.

AKT III.

SCENA I.

NAŁĘCZ, LUDGARDA.

LUDGARDA.

Wszystko przebóg! Nałęczu lękać mi się każe.
Liczne do koła zamek otaczają straże;
Wszędy smutek, a każdy, w milczeniu głębokiem,
Ostrzegającem zda się na mnie patrzeć okiem.
Coż to? noweż wypadki los gotuje srogi?
Ach! lub pociesz strapioną, lub też umniejsz trwogi.

NAŁĘCZ.

Czemuż miasto pociechy odkryć raczej muszę
Stan rzeczy, co przerazi twą zbolałą duszę?
Nie tajno już nikomu, przez jakie król drogi
Z cnotliwego przestępny, z łagodnego srogi,
Dąży do swych zamiarów, trwoży lud spokojny,
Grozi nam kajdanami, ściąga na kraj wojny,
I co chwila okropne mnoży nadużycia.
Nikt z nas, nawet tyś pani, nie jest pewną życia.
Ocalić cię, królowo, nie szczędzimy trudu.
On zmordował cierpliwość praw naszych i ludu,
Ludu, który z klęsk wszystkich jakie król gotuje,
Najmocniej i najtkliwiej stratę ciebie czuje.

LUDGARDA.

Jakto? za mnież go przebóg! za mnież karać chcecie?
Ach, ty nad nieszczęśliwą ulituj się przecie!

Ty, coś mojego serca najlepiej świadomy,
Ty na mnie obróć wszystkie waszej zemsty gromy;
A życia mu nie bierzcie!

NAŁĘCZ.

Życia Przemysława
Te, których on nadużył, stróżami są prawa.
Spiski, co przeciw prawej władzy ręce zbroją,
I tobie nie przydatne i nam nie przystoją.
Nigdy jeszcze tron polski krwią nie był zmazany;
Zejść z niego mogą tylko rozkazać mu stany.
Bądź więc pani spokojną; nie, w żadnem zdarzeniu
Nie uchybimy prawom, tobie i sumieniu.
(Odchodzi.)

LUDGARDA.

Nadto już mnie niewinną los okrutny nęka!
Po coż to serce czuje? i czegoż się lęka?
Po co ta myśl mnie ściga, ten głos się odzywa,
»Ludgardo! gdzie te czasy! w którycheś szczęśliwa
Przyjaciółka, królowa, kochanka i żona?"
O ty! którą do mego przyciskałam łona!
Ryxo! nielitościwa, niewdzięczna i sroga,
Nie mnie, ale się za mnie lękaj zemsty boga!

SCENA II.

LUDGARDA, SAMBOR.

SAMBOR (na boku).

Sama!

LUDGARDA.

Co za przeczucia? ach, przybywaj, ojcze!
Odwrócić od twej córki żelaza zabójcze;

Otrzeć łzy nieszczęśliwej, albo też na wieki
Błogosławiącą ręką zamknąć jej powieki.

(postrzegając Sambora)

Ktoż to?

SAMBOR.

Sambor —

LUDGARDA.

Od króla?

SAMBOR.

Nie pani; przychodzę
Od tych co w nieustannej o ciebie są trwodze,
Oświadczyć, że wśród ciosów dziś tobie zadanych
Tylu w nas masz przyjaciół, ilu król poddanych.

LUDGARDA.

Przyjaciół? tych nie wielu mają nieszczęśliwi.
Głos twój im mniej spodziany, tem więcej mnie dziwi.

SAMBOR.

Racz, nim powody jego ci usprawiedliwię,
Z sercem nieuprzedzonem wysłuchać cierpliwie.
O ciebie, o kraj idzie; błagam więc, królowo,
Wysłuchaj mnie łaskawie, a sądź mnie surowo.
Kiedy Ryxa (tak bóg chciał) na twój dwór przybyła,
Aby twoję i naszę spokojność zniszczyła;
Kiedy (wówczas twą łaską jeszcze zaszczycony)
Dostrzegłem w królu ogień nieszczęsny zatlony;
Nieba biorę i jego samego za świadki,
Com czynił, by ziszczone odwrócić wypadki.
Ile starań, zabiegów, ile prośb użyłem,
By zgasić miłość, której powiernikiem byłem.

Nadaremnie; ta nawet naglej jeszcze rosła
Surowością rad moich i oporem posła.
Wtem zawiść, którą wzniecił mój stopień i chwała,
Łaskę twoją odemnie odwrócić umiała.
Nie taję ci królowo (mógłżem być nie czuły?)
Że twe niechęci z reszty mnie pociech wyzuły.
Upokorzony stopnia zaszczytnego stratą,
Który był ciężkich trudów i zwycięstw zapłatą,
Najspokojniej acz z smutkiem patrzałem na innych
Wzrosłych i wzrastających z twych łask dobroczynnych.
W tym stanie, rozumiałem, że czas w ich pamięci
Zetrze powód zawiści, zniszczy ich niechęci;
Że się doczekam chwili, w której może pani,
Świadoma com uczynił, lub chciał czynić dla niej,
Sama cierpiąc bez winy, oddasz cześć łaskawie
Cierpiącego niewinnie i cnotom i sławie;
Że wówczas swą obronę mej powierzysz ręce,
Że tobie moje tchnienie ostatnie poświęcę,
Że . . .

LUDGARDA.

Samborze! coż znaczą . . .

SAMBOR.

Czas zerwać zasłonę.
Królowo! życie twoje już jest zagrożone.
Próżno pochlebną Nałęcz złudza cię nadzieją,
Obrońców ci potrzeba co bronić umieją.

LUDGARDA.

Obrońców? przeciw komu?

SAMBOR.

Wiesz, że król

LUDGARDA.

Stój!

SAMBOR.

Pani!

LUDGARDA.

Takąż to cześć królowej oddają poddani?
Takżeto pełnisz swego obowiązek stanu,
Uszanowania dla mnie a wierności panu?
Czemże do tego kroku mogłam cię ośmielić?
Chceszże cnót mych pogardą me cierpienia dzielić?
Kto ci dał prawo za mnie i zemsty i kary,
I występne przedemną odkrywać zamiary?
Mógłżeś mnie znając sądzić, abym z tobą zgodnie
Śmierć śmiercią odwracała, a zbrodniami zbrodnie?
Oddziel moje nieszczęścia od mojej ojczyzny.
On tylko memu sercu ciężkie zadał blizny.
Ja mu przebaczam, i ja niszcząc twe układy,
Jemu cnót, wam wierności zostawię przykłady.
Słuchaj! niechaj Przemysław zabija swą żonę:
Wolę jego przestępstwa, niż twoją obronę.
Precz ztąd!

SCENA III.

PRZEMYSŁAW, LUDGARDA.

PRZEMYSŁAW.

Coż te rozmowy? coż ten zapęd znaczy?
Dosyć już tych wyrzekań, jęków i rozpaczy.
Nazbyt długo przez pamięć dawnych z tobą związków
Zapominałem świętych króla obowiązków.

Próżno chcesz wzburzyć naród, któregoś niegodna:
Pierwszem jego nieszczęściem Ludgarda niepłodna.
Lud mój następcy żąda; lud więc, moja sława
I ten tron wzniesion z gruzów ręką Przemysława,
Za każdą chwilą, która dnie moje ukróca,
Wszystko mi śluby z tobą jak zbrodnię wyrzuca.
Komuż oddam to berło i ten miecz zwycięski?
Kto odwróci wiszące nad tą ziemią klęski?
O boleśne wspomnienia! precz niegodna żono!
Bóg w gniewie dla klęsk ludu zamknął twoje łono.

LUDGARDA.

Panie! już to ostatnie są twej żony słowa;
Nie chcesz, lecz bóg w twem sercu wiecznie je zachowa!
Bóg! w obliczu którego przysięgałeś ze mną
I miłość nieodmienną i wiarę wzajemną.
Jam moich dotrzymała, ty zniszczyłeś obie.
Oby tak Ryxa, jak ja, wierną była tobie!
Lecz tego, co mógł wszystko w jednej chwili zmienić,
Nie chcę już ani miękczyć, ani też rumienić.
Łez się moich nie lękaj; płyną one w ciszy.
Bóg je widzi, dość dla mnie, który ten głos słyszy.
Z cierpliwością cnotliwych znosząc ciosy moje,
Nie wzywam jego pomsty, lecz twojej się boję.
Występny, czy niewinny, zgoiłeś me blizny,
Dzięki ci, jednem słowem, wspomnieniem ojczyzny.
Dla niejto się wyrzekłszy ciebie, szczęścia, tronu,
Spokojniej naznaczoną ujrzę chwilę zgonu.
Lecz, gdy mi wszystko bierzesz, a nawet i sławę,
Nie bierz mi jeszcze życia; niech lubą Windawę,
Niech ojca ujrzę mego; niech na jego łonie
Odetchnę z cierpień, których doznałam na tronie,

Niech jego starość słodzę póki jeszcze żyję.
A gdy ostatnia dla mnie godzina wybije,
Z odwagą, jaką tylko niewinny mieć może,
Czyste, ale zbolałe, niebu serce złożę.
I w chwili, w której zwykle modły wznosi trwoga,
Pewna siebie, za ciebie błagać będę boga.
Teraz po raz ostatni od ciebie słyszana,
Żegnam cię już nie męża, lecz jeszcze jak pana.
Ulegając twej woli i kraju potrzebie,
Żegnam cię! już na zawsze! Na zawsze?.. i ciebie?..
Okrutny! żyj szczęśliwy! . . (odchodzi).

PRZEMYSŁAW (po długiem milczeniu).

O cnoto prawdziwa!
Jakżeś ciężka dla serca co się cnót pozbywa!
Co żądzą niezbędnego przejęte kochania,
Głosu twego się wstydzi i przyjąć go wzbrania!
Ale nie; ona gwałtem w to serce się wdziera;
Ona mi, ona przyszłość okropną otwiera.
Powracajmy do cnoty, zrzeczmy się . . . lecz wprzódy
Chcę wiedzieć, jakie były ich rozmów powody.

SCENA IV.

PRZEMYSŁAW, SAMBOR.

SAMBOR.

Królu! . . .

PRZEMYSŁAW.

Czekaj, niewinnyś? zaszczyty i dary;
Występnyś? śmierć; mów! jakie twe były zamiary,
I co wam dało powód tobie i królowej
Do skrytej i tak żywej z jej strony rozmowy?

SAMBOR.

Wzięcie mi życia, które nie w jednej potrzebie,
W twych oczach poświęcałem dla kraju i ciebie;
Stokroć byłoby milszem dla Sambora panie!
Nad to, które mu każesz uczynić wyznanie.
Lecz gdy jedynie prawdy nieszczęsnej odkrycie
Tobie królu i Ryxie ma zachować życie;
Gdy od niej losy mojej ojczyzny zawisły,
Winienem na jaw wydać występnych zamysły.

PRZEMYSŁAW.

Co? życie Ryxy? . .

SAMBOR.

Tak jest; przygotuj twą duszę
Na raz, który niechętnie zadać tobie muszę.
Dostrzegłszy, że królowa przez łzy, które leje,
Wciska się w serca wszystkich i twym tronem chwieje,
Że przez ciągłe na ciebie, królu, wyrzekania,
Lud twój do swych zamiarów i Nałęcza skłania;
W rozmowie z nią sam na sam, jej losu podziałem,
Od ciebie i od kraju złe odwrócić chciałem.
Ledwiem zaczął, natychmiast przez najtkliwsze słowa
Za swojego stronnika biorąc mnie królowa,
Wśród gwałtownych poruszeń zawiści i trwogi,
Szukała do mej duszy i do serca drogi:
Nakoniec ośmielona, nie szczędząc słów wcale
Tak o tobie w największym wyrzekła zapale.
„Jemu miłość, mnie rozpacz dodaje odwagi.
Ciosy zniosłam cierpliwie, nie zniosę zniewagi.
Dzień ich nadziei, szczęścia, krwią się ich zakończy.
Samborze! gdy się wszystko w około mnie łączy,

Gdy Nałęcz i kraj cały wziął niewinnej stronę,
Tobie mnie i narodu powierzam obronę.
Wódz na powrot" wtem panie, gdy ciebie ujrzała,
Umilkła, zbladła i znak odejścia mi dała.

PRZEMYSŁAW.

Więcej mi nie potrzeba: dosyć już tej zwłoki
Zaręby. Przerwać wszystkie z nią związki, a kroki
Nałęcza ściśle śledzić (Sambor odchodzi).

PRZEMYSŁAW (sam).

Sama myśl przeraża!
Onażto śmiercią mojej kochance zagraża?

SCENA V.

PRZEMYSŁAW, RYXA.

RYXA.

Ach! uspokój trwożliwą, powiedz mi co znaczy
Nagłe przejście Ludgardy z smutku do rozpaczy?
Prawdaż, że po rozmowie którą z tobą miała,
Przytomności umysłu i sił postradała?
Naszażto tylko miłość nie zna odetchnienia,
Co dzień nowe zawady, troski, udręczenia?
Z tysiąca wieści sprzecznych co się wszędy mnożą,
Żadna mnie nie pociesza, a wszystkie mnie trwożą.
Jedni mówią, że ty mnie ułudzasz rozwodem,
Inni że ja klęsk strasznych mam się stać powodem.
Ci, że lud, co w Ludgardzie swoje szczęście widzi,
Ją kocha, jej chce bronić a nas nienawidzi.

PRZEMYSŁAW.

Królewno! nie wspominaj występnej imienia.

RYXA.

Godziż się zwać występkiem niewinnej cierpienia?

PRZEMYSŁAW.

Niewinna! a stronnictwem rokoszan zuchwała
Tron nasz i życia nasze dziś nam odjąć chciała.

RYXA.

Ona? co się zdawała wszystkich cnót być wzorem.

PRZEMYSŁAW.

Sam nadszedłem, gdy w tajnej rozmowie z Samborem,
W samejże nawet zemście nieznająca miary,
Odkrywała mu swoje zbrodnicze zamiary.

RYXA.

O kochany! spełnione są moje życzenia.
Jej zbrodnie ulgą mego stają się sumienia.
Potrzebowałam onych, pragnęłam ich skrycie.
Cnoty Ludgardy moje ukracały życie.
Jej łzy, dobroć, niewinność i miłość dla ciebie,
Jej do mnie przywiązanie i ta pewność siebie,
Co nieszczęśliwej wdzięków i sił dodawały;
Truły moję spokojność i mnie uniżały.
Nie raz niemi dręczona, wśród bezsennych nocy,
Skrytemi łzami nieba wzywałam pomocy.
Lecz to zamiast litości głuche na me prośby
Zsyłało sny okropne przeczucia i groźby.
Teraz od tych udręczeń wolna Przemysławie!
W wspomnieniu przeszłych nieszczęść czując roskosz prawie;
Z jakąż radością dzisiaj przed boskiem obliczem
Połączona przysięgą nieprzełomną niczem,

Przez wspólne z tobą myśli, uczucia i cele,
Troski, niebezpieczeństwa i miłość podzielę.

PRZEMYSŁAW.

Tak, dziś! dziś? jakże miłe z ust twoich to słowo
Kochanko mego serca! a ludu królowo!
Idź przyjąć od narodu winne tobie dzięki,
Za szczęście które z twojej odbierzemy ręki.
Dziś się złączym, dziś wszystko usunie się tobie.

RYXA (odchodząc).

Boże! daj trwałość szczęściu, które czuję w sobie.

SCENA VI.

PRZEMYSŁAW, SAMBOR, ZARĘBA.

ZARĘBA.

Panie!

PRZEMYSŁAW.

Zaraz, natychmiast, nie masz przebaczenia:
Do najgłębszego wtrącić Ludgardę więzienia.
Podwoić wszędzie straże; stolicy załogę
Ściągnąć w miejsca, gdzie zwykły zbierać się na trwogę.
Na występnej stronników z czujnością surową
Mieć baczenie; inaczej odpowiesz mi głową.
(Zaręba odchodzi.)

(Do Sambora.)

A ty! idź senatowi, pierwszym państwa stanom,
Zebranym władzom, wojsku, ludowi, kapłanom,
Ogłoś, że Rzym od boga mocą powierzoną
Rozłączył mnie z występną i niepłodną żoną.

Ogłoś wszystkim jej zbrodnie, bądź moim mścicielem,
Zrób ją powszechnej zemsty i pogardy celem.
Powiedz im, stokroć powiedz, że przez śluby nowe
Dam im matkę ich królów, was godną królowę.

(Sambor odchodzi.)

Dręcz się, zbrodnio! dręcz! te są korzyści twej zdrady.
Samaś mi usunęła największe zawady.
Tobie winienem wszystkich udręczeń pozbycie.
Nie, ten dzień, dzień co Ryxy miał zakończyć życie,
Będzie dniem jej tryumfu, spełni jej nadzieje,
A krwią twoich stronników i twoją się zleje.

AKT IV.

SCENA I.

NAŁĘCZ, ZARĘBA.

ZARĘBA.

Postać, jaką miał Henryk, kiedy króla witał,
Powaga, z jaką jego o córkę się spytał,
Groźne czoło, wzrok wzgardy i serce w nim wrzące,
Żal i zemstę na twarzy sędziwej ryjące,
Przebodły Przemysława; jednak acz zmieniony,
Przyjął go jak xiążęcia i jak ojca żony.
Ale wkrótce, na samo Ludgardy wspomnienie,
Wzajemnie gniew tłumiony wybuchnął w płomienie.
Wyrzuty zbrodni, zdrady, gwałtu, owo zgoła
Co tylko ojciec w żalu czuć i mówić zdoła;
To Henryk czuł i mówił; król dumnie z swej strony,
Przyczyn nawet dać nie chciał uwięzienia żony.
Gdy słów usta, zapału serca nie skromiły,
Kilkakrotnie ich ręce już u mieczów były.
Sądzę, że ta rozmowa której byłem świadkiem,
Straszniejszym jeszcze grozi królowej wypadkiem.

NAŁĘCZ.

Jakże zniosła nieszczęście?

ZARĘBA.

Ach! nikt pewnie od niej
Równego nie zniósł ciosu i mężniej i godniej.
Gdy w obec ojca wyrok ogłosiłem srogi,
Wówczas, Nałęczu, wówczas zrównała się z bogi.
Cios tak wielki, tak nagły, tak niespodziewany,
Na twarzy nawet znacznej nie sprawił odmiany.
Cała zebrana w siebie, po chwili milczenia,
Ożywiona świadectwem własnego sumienia,
„Niewinnam ojcze! (rzekła) ci, co źle mnie sądzą,
Litości raczej godni: przebaczmy im, błądzą.
Na zasługi bóg nasze cierpienia policzy:
Wola jego; spełnijmy ten kielich goryczy."
Tu spostrzegłszy łzy ojca i postać zmienioną
Z ciężkim jękiem na jego rzuciła się łono.
Zaczęła tracić siły; ale wkrótce potem
Pocieszała go prędkim do niego powrotem.
I broniąc Przemysława, gdy w nas zemsta wrzała,
Cnot swych przez usta swoje jemu pożyczała.
Nakoniec uzbroiwszy swą duszę odwagą,
Z równą, jak gdyby na tron, szła za mną powagą;
Nie dosyć na tem; u bram stanąwszy więzienia:
„Toż jest miejsce, spytała, mego przeznaczenia?"
Nic nie rzekłem; westchnęła, uklękła na progu,
Naród, ojca i siebie poleciła bogu;
I tkliwym po tych murach potoczywszy wzrokiem,
Śmiałym w głębią ciemności postąpiła krokiem.
Spieszmy więc! Wszystko, mimo przychylne jej straże,
Nowych zbrodni Sambora obawiać się każe.
On czy z rozkazu króla, czy przez swe zabiegi,
Na swą stronę chce nasze przeciągnąć szeregi.

NAŁĘCZ.

Wodzu, myśmy gotowi do stanowczej chwili.
Lecz może król do żądań stanów się przychyli:
Może na prośby ojca z zapędu ochłonie,
I powróci mu córkę, lub też siebie żonie.
Wówczas . . . . . Owoż i Henryk . . .

SCENA II.

NAŁĘCZ, ZARĘBA, HENRYK.

HENRYK.

Dopókiż mężowie!
Czas na bezczynnej tracić będziecie rozmowie?
Wasza królowa w więzach jęczy nieszczęśliwa,
Waszej zemsty bóg, ojciec, lud i ona wzywa.
Ona, co zabójcami może otoczona,
Ręce do was wyciąga, lub w tej chwili kona.
Nie macież dość odwagi? mówcie? tem żelazem
Pomszczę się krzywd jej, moich i waszych krzywd razem.
A z garstką mych rycerzy, mniej liczni, lecz czynni,
Będziem działać, co działać Polacy powinni.

NAŁĘCZ.

Szanowny zapał ojca; lecz nie masz powodu
Nas panie, i naszego obwiniać narodu.
Urzędnicy, więc działać według praw winniśmy.
Póki król im był wierny, wierni mu byliśmy.
Dziś, w osobie twej córki, gdy te są zgwałcone,
I prawom i Ludgardzie niesiemy obronę.
Lecz wprzód z rozkazu stanów idę mu ponowić
Prawdę, którą swym panom nawykliśmy mówić.

Wzgardzi jej świętym głosem? wszystko jest gotowe.
Odwrócim klęski wojen, ocalim królowę.
Wódz, przez swoję gorliwość i mądre układy,
Zabezpieczył jej życie od gwałtu i zdrady.
Jak jednak działać mamy, w jakiem miejscu, porze?
Po rozmowie mej z królem wszystko ci otworzę.

ZARĘBA.

Król idzie . . . .

NAŁĘCZ (do Zaręby).

Zejdźmy w stronę . . . . ach! może go skłoni
Głos ojca, wyrwać kraj nasz z nieszczęśliwej toni!

SCENA III.

HENRYK, PRZEMYSŁAW.

PRZEMYSŁAW.

Mimo śluby zerwane z twoją córką, xiążę,
Przyjaźń, która nas ściśle wiązała i wiąże,
Skłania mnie do pierwszego z mojej strony kroku;
Odkryję ci przyczyny danego wyroku.
Niepomni co nawzajem rzekliśmy w zapale,
Sądźmy rzeczy bezstronnie, mówmy poufale.
Oddając pieczy mojej przodków moich ziemię
Bóg na mnie panowania ciężkie zwalił brzemię.
Do twojego się xiążę odwołuję sądu,
Ile zastałem bezpraw dawnego nierządu:
Ile wojen stoczyłem i poniosłem trudów
Dla spokojności państwa i dobra mych ludów.
Lecz szczęścia co im dałem, dać nie mogłem sobie:
Powód mych skrytych cierpień nie tajnym był tobie.

Błogosławiąc obecność, przyszłością dręczony,
Chwiałem się między szczęściem narodu i żony.
Przemogły naostatek króla obowiązki;
Wyrok Rzymu tak miłe rozrywając związki
Ni czci dla niej ni serca mojego nie zmienił.
Zawszem ją wiele, tracąc, jeszczem więcej cenił.
Mógłżem sądzić, ażeby, królowa i żona,
Odemnie, od narodu kochana i czczona;
Która serce i ufność moję posiadała;
Nie mnie, nie kraj, lecz tylko swój stopień kochała?
Tak jest: ona na moje życie spiski knuła,
Ona ze wszystkich pociech to serce wyzuła,
Onato uciśnionej przybierając postać,
Łatwowiernego ludu chciała panią zostać;
I łzami, które litość pobudzały we mnie,
Domową zapalała wojnę potajemnie.
A mnie, com za najpierwszą kładł dla siebie chwałę,
Dobroczynnością wsławić panowanie całe,
Przymusza oddać, (sama równej godna kary)
Pod miecz sprawiedliwości tysiączne ofiary.
Zapomnij żeś jej ojcem, nie będziesz mnie winił.
Uczyniłem, cobyś ty na mem miejscu czynił.

HENRYK.

O płonne, królu, słowa! O nędzne przyczyny!
Nie znajdziesz w niej, nie znajdziesz cienia nawet winy.
Wierna tobie, łagodna, cnotliwa, niewinna,
Nawet dla nieprzyjaciół swoich dobroczynna,
Bez szemrania znosząca krzywdy i cierpienia,
Taką na twój tron weszła, z tronu do więzienia;
I ona w spiski? . . Boże! zlituj się narodów,
Gdzie król karze bez winy, sądzi bez dowodów.

PRZEMYSŁAW.

Dowody są zbyt jasne . . .

HENRYK.

Panie! nadaremnie
To przekonanie o niej chcesz utworzyć we mnie.
Wierzysz potwarzom, co twe wspierają zamiary.
Lecz im nikt, oprócz ciebie, nie przydaje wiary.
Ach otwórz serce na głos twojego sumienia!
W niem, w niem znajdziesz jej cnoty, nie jej przewinienia:
I jeśli sprawiedliwość w niem jeszcze przemaga,
Powrócisz ojcu córkę, o którą cię błaga.
Ulituj się łez moich, nad starością moją,
Nad sobą, nad twą sławą, nad przyszłością twoją,
Nad tą biedną nakoniec, co niepomna siebie,
Niepomna gorzkich cierpień, drzy tylko o ciebie!

PRZEMYSŁAW.

Głos twój, jak twój sąd o mnie, jest skutkiem zapędu.
Dla występnej żadnego nie mogę mieć względu,
Prawa ją sądzić muszą, ja praw jestem stróżem.
Panujący! nie zawsze co chcemy, to możem.

HENRYK.

Do praw się odwołujesz; kazałyż ci one
Nieprzekonaną więzić królową i żonę?
Ale ja wiem, do czego twe dążą zamiary;
Musi występna miłość tej żądać ofiary.
Idź więc, sądź, karz niewinną, gardź prośbami memi;
Lecz jest bóg, i są jeszcze cnotliwi na ziemi.

SCENA IV.

PRZEMYSŁAW, NAŁĘCZ.

NAŁĘCZ.

W imieniu stanów państwa, w imieniu senatu,
Prośbę u nóg twojego składam majestatu.
Boleśny nam jej powód i dotąd nieznany.
W miejsca, w których złoczyńce dźwigają kajdany,
Bez przekonania, sądu, a nawet bez winy
Ta, której naród wszystkie błogosławił czyny,
Skazana jest królowa; wyrok taki panie!
Wbrew prawom samowładne znaczy panowanie.
Milczą te, bo nadzieja prędkiej jego zmiany
Pociesza jeszcze nieco lud, senat i stany.
Błagamy więc z pokorą, oszczędź nam i sobie
Przypomnień, coś nam winien i my wzajem tobie.
Przykrą drogę rządzenia przejdź zaczętym torem.
Byłeś szczęściem poddanych, bądź rządzących wzorem.
Cofnij twój, królu, wyrok, wróć matkę ludowi.
Ten krok spoknojość naszę i twą ustanowi.

PRZEMYSŁAW.

Uczestnicy jej przestępstw, a wkrótce jej kary,
Znam ja prośb waszych powód, wiem wasze zamiary:
Próżno chciałeś pozorem cnót obywatela
Zakryć zbrodnię, która was na wszystko ośmiela.
Zkądże taka odwaga? tak nagłe przemiany?
Od jakiegożto czasu, i senat i stany
Wzięły śmiałość me kroki roztrząsać i sądzić?
I poddani, mną królem, jak poddanym rządzić?

Zkąd te prośby, co mojej ujmują powadze?
Król, więc mam nad królową, mąż nad żoną władzę.
Czemuż raczej przysięgom swym czyniąc zadosyć
Nie przyszliście o karę na występną prosić?
Do wasto należało uprzedzić sposoby
Odwrócenia sztyletów od mojej osoby,
Któremi wasze nawet uzbrajała ręce.
Nie! ni siebie, ni kraju, dla was nie poświęcę.
Nie ja, lecz wy na lud mój ściągnąć klęski chcecie.
A jeżeli to klęską narodu zowiecie
Że rozrywając dawne, w nowe śluby wchodzę,
Gorycz obecną szczęściem pokoleń osłodzę;
Senatowi i stanom odnieść słowa moje:
Żądania ich usuwam, a grożb się nie boję.

NAŁĘCZ.

Senat i stany królu czci twojej są godni.
Nie służą im imiona uczestników zbrodni.
Szlachętną i otwartą z tobą idą drogą.
Z pokorą ciebie proszą, gdy wymagać mogą.
Zawierać nowe śluby, być sędzią swej sprawy
Nie możesz, bez zgwałcenia najświętszej ustawy.

PRZEMYSŁAW.

Zuchwały buntowniczej przewodniku zgrai,
Usta twoje odkryły co twe serce tai.
Przywykły do zawichrzeń i tronem pogardy,
Pod hasłem uciśnionej bronienia Ludgardy,
Niepomni czem jesteście, czem wprzódy byliście,
Tylu lat starań moich chcesz zniszczyć korzyście?
Już cię dręczy spokojność której kraj używa.
Dusza twoja krwi bratniej i nierządu chciwa,

Widzi tylko swe szczęście w chwili mego zgonu,
Na gruzach tej stolicy, na zwaliskach tronu.
Najpierwszy zdrajco króla, kraju i urzędu,
Miecz ten na twój wiek nawet nie będzie miał względu.

NAŁĘCZ.

Racz go zatrzymać chwilę, przez sam wzgląd na siebie,
Jak Polak i urzędnik głos wznoszę do ciebie.
Głos przywykły w tem miejscu twoim przodkom panie,
Mówić o szczęściu ludu, i dziękować za nie.
Tron ich był świętym dla nas i potężnym razem.
Każdy Polak go wspierał sercem i żelazem.
Cnoty się panujących na kraj rozlewały:
Król i lud boga tylko i prawa się bały.
Senat szanował króla, król władzę senatu,
I miecz karzący rdzewiał u nóg majestatu.
Dziś ten miecz, który naród w ręce złożył twoje,
Byś go bronił i wsławiał przez zwycięskie boje,
Obracasz ku pierwszemu urzędem i wiekiem,
Co miłość swej ojczyzny i cnot wyssał z mlekiem;
Co czyni, jak powinien obywatel prawy,
Zasłania cię od zemsty, strzeże od niesławy;
I kiedy zapalczywość gromami nań błyska,
Nie zna trwogi, i prawdy w twoje serce wciska.
Ach panie! zważ co czynisz. Wre lud przeciw tobie.
Ty królowej, on twojej zagraża osobie.
Niech cię ostrzegający głos starca przeniknie.
Królu! klęski nad nami i spokojność niknie.

PRZEMYSŁAW.

Precz ztąd! jedno błyśnienie miecza w tej prawicy
Wróci spokojność od was burzonej stolicy.

(Nałęcz odchodzi.)

Kończmy! cofnąć się nie czas; szczęście ... słowo dane ...
Miłość moja już jawna a zamiary znane . . . .

SCENA V.

PRZEMYSŁAW, SAMBOR.

SAMBOR.

Królu, spieszę ci donieść, że mają otwarcie
Stany łącznie z senatem dać królowej wsparcie;
Zgromadzone od rana i czynne dzień cały
Do powrotu Nałęcza wyrok swój wstrzymały.
Działania ich są skryte, lecz wiadome cele,
Nałęcz, panie, ma stanąć na spiskowych czele,
Ogłosić bezkrólewie, ciebie z tronu zrzucić,
Królewnę i Ludgardę ich ojcom powrócić.
Henryk z swojem rycerstwem wspiera ich zamiary:
On przez łzy, przez namowy, obietnice, dary,
Liczbę swoich stronników zbyt nagle pomnaża,
Wrą umysły, lud szemrze, i buntem zagraża.
Kmita nawet, niepomny łask twych dobroczynnych,
Kryjąc się wśród rokoszan, najpierwszym jest z czynnych.
Goniec przybyły z Pragi prosto do Nałęcza
Przybycie swego króla dziś jeszcze zaręcza.
Wahające się wojska w nieczynności stoją.
Gwałtownych trzeba środków na obronę twoją.
Chcesz królu odnieść tryumf, zniszcz buntu przyczyny;
Lub też ... zrzecz się królewny ... żonie przebacz winy ...

PRZEMYSŁAW.

Zrzec się Ryxy? im uledz? występnej przebaczyć?
Takąż radą chcesz swoję wierność mnie oznaczyć.

Nie! idź! tobie jednemu tylko ufać mogę.
Mnie i sobie do szczęścia ty otwieraj drogę.
I dziś, gdy noc stolicę i ziemię okryje,
Dopełnisz?

SAMBOR.

Panie . . . .

PRZEMYSŁAW.

Niechaj Ludgarda nie żyje.
Lecz jeśli nie dość czujesz w swem sercu odwagi,
Tej, której świadkiem byłeś, pomścić się zniewagi,
Samborze! sprawdzisz wieści wszędy rozgłoszone
Żeś ty pierwszy królowej oświadczył obronę:
Że ty popełniasz zbrodnię, o którą ją winisz,
Że ty sam lud poburzasz, i przeciw mnie czynisz.
I wówczas . . . . aleś jeszcze godzien mojej wiary.
Z jej śmiercią spadną na cię wszystkie tronu dary.
Pamiętny, że król tobie powierza swe życie,
Działaj z pospiechem, zręcznie, gorliwie i skrycie.
Czas ubiega, dzień znika, idźmy!

SAMBOR.

Gdzież w potrzebie?

PRZEMYSŁAW.

Pod zewnętrzną wystawą czekać będę ciebie.

SAMBOR.

Stało się; precz odemnie niewczesna już trwoga!
Do szczęścia, lub przepaści jedna dla mnie droga.

AKT V.

SCENA I.

Teatr wystawia ganek z zewnętrznej strony zamku wychodzący na plac obszerny, na którym stoi posąg Przemysława.

PRZEMYSŁAW.

Przyjazna mym zamiarom już noc ziemię kryje —
Ach! dlaczegoż to serce nadzwyczajnie bije?
Ważą się losy moje: może w tej godzinie . . . .
Tak jest, czuję, w tej chwili krew występna płynie.
Ale gdzież Sambor? Wszystko we mnie trwogę wznieca.
Już niestety i xiężyc te mury oświeca . . . .
Owoż on! cóż? Ludgarda . . .

SCENA II.

PRZEMYSŁAW, SAMBOR.

SAMBOR.

Jeszcze żyje panie;
Ale wkrótce twój wyrok spełnionym zostanie.
Pomimo że przydane straże jej osobie
Znalazłem mi nieznane, nieposłuszne tobie;
Wszystko sprzyja; przez środki z mojej strony wzięte
To jej do ojca pismo zostało przejęte.

PRZEMYSŁAW.

Cóż w niem? mow! spiesz się . . .

SAMBOR.

Temi zaczyna je słowy:
„Stosownie do twej ojcze z Nałęczem umowy,
Skoro dzwon hasło wasze na trwogę uderzy,
Znajdziesz mnie za posagiem wśrod twoich rycerzy.
Ta myśl, że cię dziś ujrzeć pozwolą mi nieba,
Pociesza, chociaż zemsty przeraża potrzeba."
Biegnę więc ja uprzedzić; z Zarèby zlecenia
Wkrótce się dla niej bramy otworzą więzienia:
Tedy iść będzie.

PRZEMYSŁAW.

Już?

SAMBOR.

Nie.

PRZEMYSŁAW.

Patrz czy kto nie słyszy?

SAMBOR (idzie i wraca).

Wszystko panie w głębokiej odpoczywa ciszy.

PRZEMYSŁAW.

Słuchaj, jak tylko miecz twój utopisz w jej łonie,
Niech tysiącami świateł stolica zapłonie.
W tym znaku mych tryumfów i chwili jej zgonu
Ujrzę się pewnym życia, kochanki i tronu.
W najwarowniejsze wtrącić Nałęcza więzienie:
Bez niego lud i wojsko zachowa milczenie;

Silne i wierne straże porozstawiaj wszędzie,
Ujmij w więzy Wacława, jak tylko przybędzie.
Idź, spiesz, utop żelazo, niech występna ginie!
(Sambor odszedł.)
Nie . . . Samborze! . . . zaczekaj . . . gdzież jestem! . . co czynię? . .
Jakże okropna cisza! . . . jakaż walka! . . . O ty
Co świat trwożysz imieniem najwyższej istoty;
(uderza dzwon)
Jeżeli miłość moja obrażać cię może,
Albo ją wyrwij z serca, lub ją wspieraj boże!
Lecz słyszę; już Ludgardzie straż bramy otwiera . . .
Ileż sprzecznych uczuciów w mej duszy się zbiera! . .
(nadsłuchuje.)
Idzie . . . O wiarołomna! słyszę! . . . nieszczęśliwa!
Jakże przerażającym jękiem się odzywa!
O ileż mnie kosztuje ta stanowcza chwila!
Na ileżto okrucieństw niebo się wysila! . .
Chciałbym, by miłość moja wraz z sumieniem zgodnie . . .
Nie mogę . . . drżę zarówno na litość, jak zbrodnie.
Ale . . . nie czas się wahać . . . . życie Ryxy, moje,
Szczęście pokoleń . . . . zejdźmy . . . . jej się jęków boję.
(Przemysław na bok schodzi.)

SCENA III.

LUDGARDA.

Sama jedna! wśród nocy! wśród trwożącej ciszy!
Nikt mnie drżącej nie wspiera, nikt jęków nie słyszy.
O miejsca! miejsca niegdyś tak mi ulubione,
Na innej patrzeć szczęście odtąd przeznaczone,
Żegnam was raz ostatni! Ach! za każdym krokiem,
Żegnam was sercem wdzięcznem i łez pełnem okiem.

Ty! co mnie chcesz niewinną celem zrobić wzgardy,
Tenżeśto obiecywał koniec dla Ludgardy!
Obyś przynajmniej słyszał ostatnie westchnienie!
Możebyś Przemysławie! . . . może . . . ale nie, nie —
Ryxa, Ryxa, miłości twojej cel jedyny,
A mnie hańbisz, odrzucasz i karzesz bez winy.
Gdzież się błąkam! . . . gdzież posąg? . . . ach ojcze kochany!
Znowu się twojej córki odnowiły rany.
Widzę już, widzę świateł weselnych tysiące,
Widzę ołtarz; ich serca miłością płonące
Już zaprzysięgły. Ryxa! widzę ją i czuję,
Z jak miłem drzeniem miejsce Ludgardy zajmuje!
I jak on upojony miłością wzajemną . . . .
Nocy! zakryj ten obraz na wieki przedemną.

(Ludgarda znika.)

SCENA IV.

RYXA (z niespokojnością wpadając).

Gdzież on jest! gdzie? niestety!

PRZEMYSŁAW (wpadając).

Jejżeto głos? nieba!
Jakaż mogła w to miejsce przywieść ją potrzeba?
O królewno!

RYXA.

Zaczekaj, wprzód uspokój trwogę,
I wiedz, że cnotliwego kochać tylko mogę.
Prawdaż, że mimo ojca błagania i prożby,
Pomimo opór stanów, mimo ludu groźby,

Ludgarda za niewinną powszechnie uznana,
Przez ciebie uwięziona i na śmierć skazana?
Nie mógłżeś szlachetnością dnia tego oznaczyć?
Niewinnej bronić sławy, występnej przebaczyć?
Chcesz bym wśród przekleństw ludu, wyrzekań i wzgardy
Szła na tron po łzach jego i po krwi Ludgardy?

PRZEMYSŁAW (z niespokojnością).

Ach pozwól!

RYXA.

Nie! nie! prowadź mię do jej więzienia;
Tam u nóg jej, jej będę błagać przebaczenia.
Gdybym była, nieszczęsna i bez doświadczenia,
Poszła za wolą ojca i głosem sumienia;
Dotąd jeszcze Ludgarda, co śmierć nosi w łonie,
Byłaby w sercu twojem i na twoim tronie.

PRZEMYSŁAW (z pomieszaniem).

Gdzież jest ona?

RYXA (przelękniona).

Cóż to jest? ta rozpacz... co? może...
Milczysz? ach, myśl tę nawet zwróć odemnie boże!

PRZEMYSŁAW (biegnąc przeciw Zarębie).

Spiesz, niech Sambor, potwarca! . . .

SCENA V.

PRZEMYSŁAW, RYXA, ZARĘBA.

ZARĘBA.

Królowa nie żyje —

PREMYSŁAW.

Już tedy . . .

RYXA.

Co? Ludgarda? czyjeż ręce, czyje?

ZARĘBA.

Sambor zabójcą.

RYXA.

Jakto?

ZARĘBA.

Niestety! już była
Wszystkie niebezpieczeństwa ucieczki przebyła.
Szła sama; lecz gdy słaba, znękana, trwożliwa,
Błąka się przed posągiem, w pomoc ojca wzywa;
Na jej głos leci Sambor, i właśnie gdy ona,
Biorąc go za Henryka, pada nań zemdlona,
Nielitościwy! mieczem jej serce przeszywa,
I w tłumie biegącego ludu się ukrywa.
Jęk córki doszedł ojca; przybiegł, a te słowa:
„Nie żyje córka moja! nie żyje królowa!"
Szybkością gromu wszystkie strony przeleciały.
„Nie żyje" lud „nie żyje!" wojska powtarzały.
Ktoż okropność tej chwili wyrazić jest w stanie?
Powszechne jęki, groźby, łzy i wyrzekanie.
Zgasły weselne światła, zawarto świątynie,
Trwoga trwogę pomnaża w mnożącym się gminie.
Już pierwsi urzędnicy, wojsko i kapłani,
W milczeniu otaczają zwłoki naszej pani;
Już, gdy w grożącej ciszy lud ku nim nasunął,
Łzy zemstę poprzedziły, i twój posąg runął.

Już nakoniec zabójca padł z Henryka ręki.
Widziałem w oczach jego wszystkie piekła męki.
Żyć się wstydził, żyć pragnął, a czując śmierć, panie!
Najboleśniejsze dla nas uczynił wyznanie.
Przebacz, że muszę jego odezwać się słowy:
„Spełniłem rozkaz króla w zabiciu królowej."

PRZEMYSŁAW (do Zaręby).

Nałęcza!

SCENA VI.

PRZEMYSŁAW, RYXA.

RYXA.

Giń zabójco!

PRZEMYSŁAW.

Niewdzięczna! chcesz? zginę.
Próżnobym nieszczęść moich na cię zwalał winę:
Wiedz jednak, że to serce, nim ci się oddało,
Sławę, cnoty, Ludgardę i ten lud kochało.
Widziałem moję przyszłość; lecz niesion zapałem,
Nie kochać cię nie mogłem, nie kochać nie chciałem.
Był moment, w którym głosem Ludgardy wzruszony
Biegłem zrzec się kochanki dla cnotliwej żony,
I karząc zbrodnie zdrajcy w Sambora osobie,
Chciałem — weszłaś, i wszystko poświęciłem tobie.

RYXA.

Przestań już mnie znieważać kochanej imieniem.
To imię hańbą dla mnie, życie udręczeniem.

O ty! coś wszystkich nieszczęść zwalił na mnie brzemię,
Coś mnie niewinnej zamknął i niebo i ziemię,
Lecz słyszysz . . . (słychać wrzawę).

SCENA VII.

Ciż i Eridson.

Eridson.

Uchodź pani, lud zemstę gotuje.

Ryxa (odchodząc).

Idę — ale to serce już trwogi nie czuje.

Przemysław (sam).

Ryxo okrutna! . . Przebóg! co widzę? . . Henryka!
Ach, ten widok nad wszystko srożej mnie przenika.

SCENA VIII.

Przemysław, Henryk.

Henryk (wskazując miecz Sambora).

Znasz tę krew? Krewto moja, o potworo wściekła!
Którą na trwogę ziemi wyrzuciły piekła!
Patrzaj! krewto Ludgardy, której wina cała,
Że cnoty, naród, ojca, i ciebie kochała.
Kochała cię; ty żyjesz; ja przed tobą stoję;
To jej krew, toż żelazo, i wznieść się go boję
Na tego, co odebrał razem jej zadanym
Mnie córkę, sobie żonę, a matkę poddanym?
O córko! której życiem ta ziemia świetnieje!
Wysłuchanaś! on żyje, lud w ciszy łzy leje.

Czy czujesz jak z jej serca krew niewinna tryska?
Jak do ust zimnych ręce ojcowskie przyciska?
Słyszysz jej głos niknący? „jeślim miła tobie
Broń życia Przemysława, nie bierz życia sobie."
Głosto był córki mojej, głosto był twej żony,
Głos, co w twem nawet sercu zapewnie jest czczony.
(Nałęcz na czele senatu, ludu i wojska w porządku i smutnej ciszy postępuje zwolna. Księgę praw przed nim niosą. Henryk nie przerywając mówi.)
Głos co w życiu i w zgonie lud za ciebie śmierzył.
I tyś w jej serce tobą zajęte uderzył.
(Zwracając się do senatu.)
Narodzie! nieszczęsnego ulituj się ojca!
Oto jest krew Ludgardy! oto jej zabójca!

SCENA IX.

PRZEMYSŁAW, HENRYK, NAŁĘCZ, ZARĘBA.

SENAT I LUD Z DALA.

NAŁĘCZ.

W imię ludu! nie tego, co zwykle w zapędzie
Od tronu aż do boga nic nie ma na względzie,
Ale ludu polskiego, co nie zna tyranów,
Co w panu ojca żąda i wybiera panów,
Przychodzę ci ogłosić, że przez lud i stany
Królem polskim cnotliwy Wacław jest obrany.
Ustępując mu z tronu spojrz na nasze twarze,
Każda łza ciebie sądzi, każda cię łza karze.
Chciałeś, i bóstwo nasze z naszej znikło ziemi,
Które cię osłaniało cnotami swojemi.
Czcij ten lud co w milczeniu żal głęboki kryje,
Gdy nań straszny głos woła: „Ludgarda nie żyje!"

Milczy on, bo przezemnie mówią jego prawa.
Ludu! Przemysław został poddanym Wacława.

PRZEMYSŁAW.

Dumny rozdawco koron, sędzio Przemysława!
Mnieżto zuchwałość wasza śmie narzucać prawa?
Tyż mnie chcesz wydrzeć berło Bolesławow mężnych,
Chwiejące się dwa wieki w rękach niedołężnych!
Jeszcze na błysk tej szabli padłbyś na kolana
Żebrać z twoim senatem miłosierdzia pana . . . .
Lecz... już niczem są dla mnie tron, potęga, chwała;
Dla mnie, w którego serce jad zgryzota wlała.
O ty! najlepszej córki ojcze nieszczęśliwy!
Ty, któremu jej cnota miecz wytrąca mściwy;
I wy, w samem przestępstwie przebaczenia godni,
Świadki niegdyś cnot moich, dziś niestety! zbrodni,
Patrzcie! oto Ludgardy, co waszej czci celem,
Przemysław był zabójcą, Przemysław mścicielem.

(Zabija się.)

Treść.

I.

	Strona.		Strona.
Do czytelnika	3	Miłość i zima	13
Do	5	Kuźnia miłości	14
Miłość żeglarzem	6	Nice gadatliwa	15
Miłość zegarmistrzem	7	Miłość i śmiałość	16
Miłość artylerzystą	8	Piękność uwolniona przez czas z więzów miłości	17
Miłość niema	9	Miłość i podejrzliwość	18
Miłość i wiosna	10	Miłość filozofem	20
Miłość i lato	11	Xięga miłości	21
Miłość i jesień	12		

II.

Miłość malarzem	27	Skarga miłości przed Jowiszem na nienawiść	34
Miłość uciekająca od starości	28	Miłość i spokojność	36
		Miłość i skrytość	39
Żale miłości przed matką	29	Miłość i niewinność	42
Wojna miłości z przyjaźnią	30	Władza miłości	45
Siatki	33	Czas do Malwiny	47

Rozmaite wiersze.

Bajki.

Człowiek i motyl	51
Mądry i głupi	—
Orzeł i skowronek	52
Emina i żaba	54
Duma upokorzona	55
Strumyk i potok	—

Pieśnie.

I.	58
II. Skowronek do	—
III.	59
IV.	60
V.	61

Strona.

Powieści.

Dziecię Idy 62
Młodość i roskosz 63

O strumyku do Haliny . . 64
Do Jana 67
Do x. A. C. 68
Nagrobek proboszczowi w Ozdeniżu 69
Motyl do Malwiny 70
Pszczółka, z Anakreona . 71
Wiersz 72

Strona.

Do moich niwek w Worończynie 73
Emrod 74
List do x. A. C. 78
List do J.* L.* 80
Poeta podlotek 83
Pożar 85
Do młodych 88
Atrament i ołówek . . . 89
Portret 90
Poeci. Satyra 95

Sztuka rymotwórcza.

Przemowa 101
Pieśń I. 103
Pieśń II. 115
Pieśń III. 121
Pieśń IV. 127

Ostrzeżenie 140
Wieczór I. 141
Wieczór II. 146

Modlitwy.

Modlitwa I. 150
Modlitwa II. . . . . —
Modlitwa III. 151

Życie człowieka 152
O niewdzięczności . . . 155
Do x. M. W. . . . . —
Alkar i Emina 157

Żale na śmierć Telimeny.

Żal I. 159
Żal II. . . . . —
Żal III. 160
Żal IV. . . . . —

Dumanie 161
Wiersze napisane w imionniku Henryki z Działyńskich Błędowskiej . . . 162
Do Karola Lipińskiego . . —
Napis do monumentu, który panna Emilia Plater swojej matce wystawiła . . 163
Do imionnika pani W * U * —
Do imionnika pewnej damy 164

Strona.

Do Izydora 165
Obraz Alexandra Błędowskiego 166
Do mędrka 167
Pod kaskadą w Woroniczynie 170
Bezsenny . . . . . —

Moje uczucia, rady, uwagi i przestrogi, jedynie dla moich córek.

Ostrzeżenie autora 175
Do moich córek Zosi i Maryni. Wstęp 177

Uwagi jedynie dla moich córek.

Uwaga I. 182
» II. 184
» III. . . . . —
» IV. 185
» V. 187
» VI. 188
Uwaga VII. 189
» VIII. 190
» IX. 194
» X. 196
» XI. 200
» XII. 202
Zakończenie 203

Moje marzenia w szarych wieczorach.

Marzenia w szarych wieczorach 209

Ludgarda, tragedia oryginalna wpięciu aktach.

Przemowa wydawcy . . 225
Przemowa autora 226
List J. U. Niemcewicza do autora 228
List J. Tarnowskiego do tegoż 229
List Alojzego Felińskiego do tegoż 231
List do Romualda Bystrego 235
Do Z.. Z.. 242
Ludgarda, tragedia w pięciu aktach 243

W tłoczni J. P. Sollingera w Wiedniu.

LWÓW, STANISŁAWÓW I TARNÓW.

NAKŁAD JANA MILIKOWSKIEGO.

1844.

PG
7158
.K775
.A6
1844

PG 7158 .K775 .A6 1844 C.1
Rozmaite pisma Ludwika Kropiny
Stanford University Libraries
3 6105 036 662 851

DATE DUE

Stanford University Libraries
Stanford, Ca.
94305